cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #218 11/2024

Piotr Lisiewicz
WOLĘ ZGINĄĆ JAKO POLAK, NIŻ ŻYĆ JAKO ZDRAJCA

Tomasz Łysiak
MOLIER – CHORY NIE TYLKO Z UROJENIA

Krzysztof Wołodźko
TOTALITARYZM Z LUDZKĄ TWARZĄ. JAK OSWOIĆ TERROR

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

//Cenckiewicz i Rachoń//

Prawda o Tusku w objęciach Putina



OKŁADKA: MARIUSZ TROLIŃSKI FOT. BARTOSZ KALICH/GAZETA POLSKA

ISSN 1895-4960

eprasa.pl c90328c217

TEMAT NUMERU ▼ 4–12



Cenckiewicz i Rachoń – prawda o Tusku w objęciach Putina / 4

IDEE ▼ 14–27



Jak Chińczycy chrystianizowali Tybet... / 14

HISTORIA ▼ 28–55



Wolę zginąć jako Polak, niż żyć jako zdrajca / 28

KULTURA ▼ 60–73



Miłość i sztuka w Bronowicach / 60

ŚWIAT ▼ 74–98



Utopijne przesłanie tegorocznej Pokojowej Nagrody Nobla / 74

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Grochmalski
Cenckiewicz i Rachoń – prawda o Tusku w objęciach Putina / 4

IDEE

Tomasz Gromadka
Jak Chińczycy chrystianizowali Tybet, czyli reportaż z nestoriańskiej Azji / 14

Małgorzata Matuszak
Non omnis moriar / 20

Jacek Rutkowski
Kim jest Gulo? / 24

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Wolę zginąć jako Polak, niż żyć jako zdrajca / 28

Agnieszka Kowalczyk
Anioł Majdanka. Pamięci Stefanii Perzanowskiej / 34

Dariusz Jarosiński
Polska odrodziła się w 1918 roku jako królestwo / 40

Ewa Polak-Pałkiewicz
„Ubrany w szkarłatny ornat ran swoich” / 46

Marian Zdziechowski
W obliczu końca / 52

KULTURA

Łukasz Czarnecki
Miłość i sztuka w Bronowicach / 60

Tomasz Łysiak
Molier – chory nie tylko z urojenia / 68

Krzysztof Karnkowski
Korea strollowana / 71

ŚWIAT

Hanna Shen
Utopijne przesłanie tegorocznej Pokojowej Nagrody Nobla / 74

Antoni Rybczyński
Hybrydowa inwazja Rosji na Europę / 78

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji / 84

Stefan Czerniecki
Rozczochrane myśli spisane w leniwym cieniu peruwiańskiej wiosny / 86

oprac. Antoni Rybczyński
Rosja zmienia doktrynę atomową. Pokazucha czy realne zagrożenie? / 94

Stałe rubryki



Katarzyna Gójska
Polskę paraliżuje tajność
NA POCZĄTEK 3



Marcin Wolski
Mentalność renegata
PAPKULTURA 13



Małgorzata Matuszak
Czym jest... wdzięczność
KATECHIZM INTELIGENTA 23



Krzysztof Wołodźko
Totalitaryzm z ludzką twarzą. Jak oswoić terror
DZIENNIK LEKTUR 56



Marek Kalinowski
Blues ze stodoły Gilmoura
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 67



Tomasz Sakiewicz
Koniec epoki ideologii
OSTATNIE SŁOWO 99

OD GRUDNIA 2024
„NOWE PAŃSTWO”
DOSTĘPNE WYŁĄCZNIE W PRENUMERACIE!
Zamów na prenumerata.swsmedia.pl i zyskaj dostęp do treści, które mają znaczenie!

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl c90328c217



Katarzyna Gójska

Polskę paraliżuje tajność

W czasach tuskowej przyjaźni z Rosją taką, jaka ona jest, w kluczowych momentach kontaktów nie tworzono dokumentacji lub produkowano ją *post factum* jako jakiś pozór, a nie element obrazujący działania władzy.

Polską demokrację od lat paraliżuje tajność. Jak dokonywać oceny działań władzy, jak ją kontrolować, gdy niemal wszystko można uczynić niedostępnym dla obywateli? Bo utajnianie w III RP jest przede wszystkim sposobem na ochronę władzy – jej interesów i jej spokoju, a nie troską o bezpieczeństwo państwa. Dlatego z takim trudem autorzy serialu „Reset", a dziś monumentalnej i pionierskiej pozycji „Zgoda" wydobywali z archiwów dokumenty, z których ogromna część nigdy nie powinna być niedostępna. W czasach tuskowej przyjaźni z Rosją taką, jaka ona jest, w kluczowych momentach kontaktów nie tworzono dokumentacji lub produkowano ją *post factum* jako jakiś pozór, a nie element obrazujący działania władzy. Dlatego tak wiele wydarzeń z tamtych czasów trzeba wręcz rekonstruować na strzępach zdań, a nie na materiałach, które obowiązkowo i bezdyskusyjnie winny zostać stworzone. Książka „Zgoda" jest unikatowa, bowiem rekonstruuje – niezwykle precyzyjnie – współpracę służb z czasów Donalda Tuska ze służbami Władimira Putina. Ta arcyważna dla bezpieczeństwa i przyszłości Polski sprawa powinna być opisana opinii publicznej: wyjaśniona, naświetlona i wytłumaczona. Ale nie została, bo rządowi Zjednoczonej Prawicy zabrakło czasu w dwóch kadencjach, gdy sprawował pełnię władzy. To oczywiście ironia – nie czasu, a zrozumienia sprawy, a być może odwagi i umiejętności. Trudno to dziś ocenić. Choć trzeba także uczciwie przyznać, iż nie ma aktualnie innej siły politycznej zdolnej zmierzyć się z tym wyzwaniem niż PiS. Królująca w naszym kraju mania tajności doprowadza wręcz do kuriozalnych sytuacji: niedostępne dla obywateli mają być notatki z rozmów Tuska z Putinem, za to agent GRU w kancelarii tajnej największej polskiej służby może delektować się lekturą akt opisujących pracę funkcjonariuszy RP nad jego dekonspiracją! Profesor Sławomir Cenckiewicz i Michał Rachoń obficie cytowali zapis – słowo w słowo! – z rozmowy prezydentów Polski i Stanów Zjednoczonych, bowiem taka kultura dokumentacji działań władzy istnieje w USA i po pewnym czasie archiwalia w ogromnej większości stają się dostępne dla opinii publicznej. Tymczasem u nas nawet zeznania byłego marszałka Senatu na temat zarzucanej mu korupcji w procesie, który on sam wytoczył dziennikarzom opisującym sprawę, są zakazane dla obywateli! Czas raz na zawsze skończyć z tym terrorem tajności, bo gołym okiem widać, iż jest on wyłącznie narzędziem ochrony interesów polityków, a nie racjonalnym wymogiem dotyczącym bezpieczeństwa.

> Książka „Zgoda" jest unikatowa, bowiem rekonstruuje – niezwykle precyzyjnie – współpracę służb z czasów Donalda Tuska ze służbami Władimira Putina.

Prace nad materiałem do książki „Zgoda" trwały łącznie kilka lat. Bez tej publikacji trudno zrozumieć, co wydarzyło się w polskich służbach w czasie pierwszego premierostwa Donalda Tuska, i nie sposób właściwie interpretować tego, co dzieje się w nich dziś. Bo resetowcy powrócili z nową władzą na newralgiczne stanowiska w strukturze odpowiedzialnej za bezpieczeństwo naszego państwa. „Zgoda" to zatem pozycja obowiązkowa. ■

To ostatni numer „Nowego Państwa", który można kupić na poczcie. Możliwości sprzedaży gazet kurczą się w zastraszającym tempie, zatem gorąco apelujemy do Państwa o wykupowanie pakietów prenumeraty cyfrowej. Jeśli wolne media mają przetrwać mimo represji „demokracji walczącej", musimy uniezależnić ich sprzedaż od władzy koalicji 13 grudnia. Najlepszym sposobem jest właśnie prenumerata elektroniczna.

eprasa.pl c90328c217

Cenckiewicz i Rachoń – prawda o Tusku w objęciach Putina



Piotr Grochmalski



„Zgoda" – tych pięć liter miażdżąco obciąża szefa obecnej koalicji 13 grudnia. Słowo to, napisane ręką Tuska, a żywcem wyciągnięte z dokumentu z 2011 roku, w którym szef Kontrwywiadu Wojskowego, gen. Janusz Nosek, prosi ówczesnego premiera o przystanie na współpracę SKW ze służbami Algierii, Ukrainy, Gruzji, Federacji Rosyjskiej i Chin, znalazło się na okładce książki prof. Sławomira Cenckiewicza i redaktora Michała Rachonia. Jest ono najbardziej szokującym świadectwem zdrady polskiej racji stanu dokonanej przez ekipę Tuska. W tym kontekście przeraża fakt, iż człowiek, który wydał zgodę na drastyczne podporządkowanie się wpływom Putina, nie tylko nie poniósł za to żadnych konsekwencji, lecz także dziś stoi na czele rządu Rzeczypospolitej.



FOT. BARTOSZ KALICH/GAZETA POLSKA

Histeria i brutalizacja działań Donalda Tuska ma swe źródło w jego głębokim uwikłaniu w politykę radykalnego zbliżenia do Rosji za pierwszej jego kadencji jako premiera RP. Już serial dokumentalny „Reset", zrealizowany przez prof. Sławomira Cenckiewicza i red. Michała Rachonia, stał się przełomem w ukazaniu pełnej skali tej zakulisowej gry, jaką prowadziła ekipa Tuska z Kremlem. Stała się ona śmiertelną pułapką dla Polski. Smoleńsk był oczywistą konsekwencją owego resetu, a potem stał się jego integralną częścią.

▶ „Zgoda. Donald Tusk"

To był też jeden z powodów, że koalicja 13 grudnia rozpoczynała swoją władzę od siłowego przejęcia telewizji publicznej, a potem zablokowania serialu. Krok ten był bez precedensu. W żadnym demokratycznym państwie żadna władza nigdy wcześniej nie odważyła się na wtargnięcie siłą do budynków telewizji publicznej i wyłączenie nadajników. Tak Tusk zrobił pierwszy wielki krok w stronę przekształcania Polski w państwo autorytarne. Widać to wyraźnie z dzisiejszej perspektywy. Ale strachem nie zabije się prawdy. Kolejnym bolesnym ciosem pokazującym, jak Tusk stał się politycznym zakładnikiem Putina i podporządkował nasz los interesom Rosji, jest potężna, licząca

eprasa.pl c90328c217

751 stron, monografia wydana przez Transatlantic Foudation. Tusk, jako premier, starał się nie zostawiać po swoich prorosyjskich działaniach śladów w dokumentach. Zwykle wykorzystywał innych do tej roboty. To niemal zawsze ich podpisy widniały pod kompromitującymi dokumentami. Ale jest szokujący wyjątek – kartka papieru z 17 października 2011 roku skierowana przez szefa Kontrwywiadu Wojskowego, gen. Janusza Noska, do premiera Tuska. Prosi w niej o wyrażenie zgody na współpracę SKW ze służbami Algierii, Ukrainy, Gruzji, Federacji Rosyjskiej i Chin. Nosek pisze: „Podjęcie powyższej współpracy wynika z planowanej realizacji w zakresie właściwości Służby Kontrwywiadu Wojskowego". U góry, po lewej stronie jest jedno słowo: „Zgoda". I podpis: „Donald Tusk". Tych pięć liter miażdżąco obciąża szefa obecnej koalicji 13 grudnia. Są oczywistym i jednoznacznym świadectwem, że to ten człowiek ponosi pełną i jednoznaczną odpowiedzialność za intensywną współpracę naszych służb z rosyjskim FSB. Był to jednak tylko element większej całości w szokującym procesie intensywnej współpracy w wielu wymiarach rządu Tuska z zaufanymi bandytami Putina – wielkiego resetu, który stworzył śmiertelne zagrożenie dla Polski. To słowo „Zgoda", żywcem wyciągnięte z owego dokumentu, napisane ręką Tuska, znalazło się na okładce książki – jako jej główny tytuł – jest najbardziej szokującym świadectwem zdrady polskiej racji stanu dokonanej przez ekipę Tuska. Podtytuł owego dzieła autorstwa prof. Sławomira Cenckiewicza i red. Michała Rachonia – „Rząd i służby Tuska w objęciach Putina" – nie pozostawia wątpliwości, o jaką zgodę chodzi. Książka ujawnia setki stron dokumentów ukazujących kulisy wielkiej operacji, która prostą drogą prowadziła nas do narodowej katastrofy. Ale też kreśli portret polityka budującego swoją karierę na skrajnym podporządkowaniu Niemcom interesów Polski. Zdumiewa, jak bardzo ujawniony obraz przypomina obecną politykę Tuska wasalizacji naszego państwa wobec Berlina. Cenckiewicz i Rachoń pokazują dramatyczne skutki ówczesnych działań ekipy Tuska. W tym kontekście bodaj najbardziej przeraża fakt, iż człowiek, który wydał zgodę na drastyczne podporządkowanie się wpływom Putina i Merkel, nie tylko nie poniósł za to żadnych konsekwencji, lecz także dziś stoi na czele rządu Rzeczypospolitej.

▶ Tusk z zaburzoną tożsamością polskości

Profesor Cenckiewicz wśród najważniejszych powodów wewnętrznych owego resetu w latach 2007–2014 na pierwszym miejscu stawia „zaburzoną tożsamość polskiej elity rządzącej, kreatorów polityki resetu i korpusu dyplomatycznego, (częściowo ze względu na jej postkomunizm i uwikłania agenturalne)". Jak uzupełnia w przypisie: „Wystarczy wspomnieć, że wielu polityków i dyplomatów zaangażowanych w politykę »nowego otwarcia« w relacjach z Rosją wywodziło się z prosowieckiej szkoły dyplomacji PRL, współpracowało w przeszłości z komunistycznymi służbami specjalnymi, a nawet funkcjonowało w instytucjach międzynarodowych, które odgrywały znaczenie w polityce i strategii ZSRS. Przykład A.D. Rotfelda jest tutaj bardzo reprezentatywny". Mimo upływu całej dekady ten klucz interpretacyjny prof. Cenckiewicza nadal skutecznie wyjaśnia obecne działania ekipy Tuska. Przypomnijmy, iż jedną z kluczowych postaci owej radykalnej prorosyjskiej polityki był Jarosław Bratkiewicz, absolwent MGiMO w 1980 roku, kuźni kadr byłej KGB i obecnej FSB. Był on jednym z założycieli Konferencji Ambasadorów PR, która zasłynęła prorosyjską aktywnością. A gdy Putin rozpoczął z Łukaszenką wojnę hybrydową na granicy białorusko-polskiej, towarzystwo to 3 listopada 2021 roku wystosowało wezwanie do polskiego rządu, domagając się „przestrzegania fundamentalnych aktów prawa międzynarodowego". Stwierdziło, że „sytuacja na granicy z Białorusią staje się dla Polski haniebna i zaczyna spełniać znamiona zbrodni przeciwko ludzkości". A niemiecko-szwajcarski portal Onet, który odgrywał w czasach resetu jedną z kluczowych ról, reklamował ten haniebny tekst, którego współautorem był Jarosław Bratkiewicz, szokującym tytułem: „Zbrodnia przeciwko ludzkości. Ostry komentarz Konferencji Ambasadorów RP wobec sytuacji na granicy". A to pokazuje, jak mocno reset jest powiązany z aktualną polityką, której podstawę znów stanowią osoby posiadające polską „zaburzoną tożsamość".

Cenckiewicz i Rachoń mocno podkreślają, że od początku ogłoszona przez ekipę Tuska „wspólnota celów strategicznych" z Rosją obejmowała kwestie bezpieczeństwa. Jak zauważa Cenckiewicz już w „Tezach o polityce RP wobec Rosji i Ukrainy" z początku marca 2008 roku, wspomniany Jarosław Bratkiewicz, wówczas dyrektor Departamentu Polityki Wschodniej MSZ, „nie tylko polemizował z poglądem na temat historycznej wrogości Rosji wobec Polski, ale również relatywizował zagrożenia związane z ekspansjonizmem rosyjskim". Stwierdzał bowiem, iż „możliwości ekspansji Rosji w rozumieniu politycznym i gospodarczym – a już tym bardziej militarnym – są dosyć ograniczone. Napotykają one poważne przeszkody w krajach WNP, takich jak Ukraina czy Gruzja; natomiast możliwości wpływania Moskwy (w sensie uzyskania przez nią »specjalnych praw«) na kraje Europy Środkowo-Wschodniej, przynależące do UE i NATO, są znikome lub zgoła żadne". Kilka miesięcy później Rosja napadnie na Gruzję, a dwa lata później przeprowadzi gigantyczną operacje dezinformacyjną dotyczącą zarówno zbrodni katyńskiej, jak i smoleńskiej. Cenckiewicz pokazuje skuteczność ludzi pokroju Bratkiewicza, Sikorskiego i Tuska w lansowaniu przyjaznego oblicza Rosji. Jak zauważa: „Tak sformułowany pogląd na temat rosyjskiej niemocy (wsparty ponadto przekonaniem o demokratyzacji i modernizacji Rosji pod przywództwem Władimira Putina i Dmitrija Miedwiediewa), pozwolił absolwentowi Moskiewskiego Państwowego Instytutu Stosunków Międzynarodowych (MGIMO)

eprasa.pl c90328c217

z 1980 r. i jednemu z najbliższych współpracowników szefa MSZ, Jarosławowi Bratkiewiczowi, przeciwstawić niejako przewidywalność i wiarygodność Federacji Rosyjskiej w oczach Polski i Zachodu, »post-sowietyzmowi«, »prowincjonalnemu politykierstwu«, »oligarchicznym koteriom« i »rozpasaniu korupcji« państwa ukraińskiego. O ile zatem »system polityczny w Rosji, choć nabierający cech autorytarnych, daleki jest od biurokratycznej, policyjnej i militarnej sprawności poprzednich rosyjskich/sowieckich autorytaryzmów«, o tyle – w tej wewnętrznej analizie porównawczej polskiego MSZ – Ukraina jawi się jako państwo nieprzewidywalne i *de facto* chylące się ku upadkowi, przez co pozbawiona została jakichkolwiek szans na członkostwo w Unii Europejskiej i NATO. W związku z tym Ukraina nie powinna być – jak dotąd – kluczem do polskiej polityki wschodniej. Przyjęcie tak fałszywego stanowiska posłużyło polskiemu MSZ do sformułowania poglądu o braku »organicznej sprzeczności w polityce wobec Rosji i w polityce wobec Ukrainy«, zaś dialog z Rosją uznano za priorytetową »samorzutną wartość polityczną dla Polski«. Tym bardziej że – jak pisze Bratkiewicz – nawet cała sfera werbalnej »buńczuczności«, a nawet antypolonizmu rosyjskich elit »motywowana« jest »bardziej wyniosłym ignorowaniem i deprecjonowaniem roli tych krajów [środkowoeuropejskich] – zwłaszcza Polski – aniżeli chęcią ich ponownego zdominowania«. Tylko skrajnie naiwny analityk mógłby uznać, że kierunek rozważań Bratkiewicza, w których ten zawarł stawianie pod znakiem zapytania dotychczasowej formuły polskiej aktywności na Wschodzie, nadanie dialogowi z rzekomo niezagrażającą nam Rosją »samorzutnej wartości politycznej« i porzucenie zależności pomiędzy wspieraniem niepodległości Ukrainy a bezpieczeństwem Polski, nie wychodził naprzeciw rosyjskiej strategii odzyskania pełnej kontroli nad Ukrainą".

Wysadzić całą polską politykę wschodnią w powietrze

To, co zrobiła ekipa Tuska w relacjach z Rosją, to nie była drobna korekta. To było zmasakrowanie i zniszczenie całego dorobku polskiej polityki wschodniej od 1989 roku. Cenckiewicz i Rachoń pokazują na ujawnionych dokumentach, że Tusk, aby dogodzić Niemcom, zaczął się zachowywać jak niebezpieczny idiota, dyletant, któremu marzy się europejska kariera, poklask salonów, więc jest gotów wszystko zniszczyć w imię wspólnej fotki z Merkel. W „Tezach o polityce RP wobec Rosji i Ukrainy", zaaprobowanych przez Radosława Sikorskiego, tego „geniusza" strategii, który znów masakruje naszą politykę zagraniczną (ostatni spektakularny sukces Tuska – nie został zaproszony do Berlina na rozmowy o przyszłości Ukrainy przez Niemcy, USA, Francję i Wielką Brytanię), aż bije od dyletantyzmu lub świadomej dezinformacji. Jak czytamy w tym dziwnym dokumencie: „Na czoło kluczowych celów pozytywnych w relacjach z Rosją wysuwa się dialog dwustronny stanowiący wartość samą w sobie. Dialog ten uwiarygodni Polskę w oczach naszych zachodnich partnerów i sojuszników jako kompetentnego, opierającego swoją wiedzę o Rosji na realnych kontaktach, znawcę i interpretatora tego kraju. Tego rodzaju wiedza i kompetencja jest szczególnie wysoko ceniona na Zachodzie". A przecież owe tezy to oczywisty stek bzdur opisujących nieistniejącą Rosję. Profesor Cenckiewicz zwraca przy tym uwagę, że Tusk otrzymywał opracowania analityczne, które w czambuł rozbijały owe idiotyzmy Bratkiewicza. Jak stwierdza: „Jak radykalnym zerwaniem z dotychczasowym postrzeganiem Rosji były […] omawiane dokumenty założycielskie nowych relacji polsko-rosyjskich, ukazuje notatka przygotowana dla premiera Donalda Tuska przez Sławomira Dębskiego, dyrektora Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, po zamkniętej naradzie eksperckiej z 18 grudnia 2007 r. Nie zdając sobie sprawy z zapowiadanej przez premiera i szefa dyplomacji rewolucji, w niecały miesiąc od sejmowego exposé szefa rządu, w PISM powstały rekomendacje stojące w jaskrawej sprzeczności z materiałami tezowymi Departamentu Polityki Wschodniej MSZ. Już sam fakt uznania (wszyscy eksperci byli co do tego zgodni!), że stosunki polsko-rosyjskie determinuje »kolizja interesów strategicznych obu państw« i »przeciwstawna wizja rozwoju wspólnego sąsiedztwa« oraz że Rosja »dąży do podtrzymania postsowieckiego modelu funkcjonowania państwa opartego na współzależności polityki, biznesu i środowisk kryminalnych«, przeczyła całości rozważań i wniosków Jarosława Bratkiewicza. Dębski zrekapitulował także polityczne, gospodarcze i strategiczne oczekiwania Rosji wobec Polski, z których każde stało w sprzeczności z polską racją stanu".

Wszystko zaczęło się od Berlina

Cenckiewicz i Rachoń, na podstawie ujawnionych dokumentów, ukazują, że źródłem resetu Tuska była niemiecka presja. Był im potrzebny do spacyfikowania Europy Środkowej. Ale też zarówno Berlin, jak i Moskwa zainteresowane były storpedowaniem tarczy antyrakietowej, którą chciał w Polsce zbudować prezydent George W. Bush. Zdumiewające, ale przed udaniem się do Waszyngtonu, Tusk odbył w tej sprawie konsultacje z Niemcami, a potem udał się na rozmowy z Putinem. Powstanie tarczy potężnie wzmocniłoby naszą ówczesna pozycję w NATO, gdzie nadal byliśmy traktowani jako państwo drugiej kategorii. Spowodowałoby też, że Amerykanie już wówczas rozmieściliby na stałe w Polsce swoich żołnierzy. Ranga naszych relacji z USA wzrosłaby, wzmacniając też naszą pozycję z UE. Cenckiewicz i Rachoń ujawniają również, że rzeczywistą i podstawową przyczyną wojny Tuska z prezydentem Lechem Kaczyńskim była próba powstrzymywania i storpedowania jego polityki dotyczącej tarczy antyrakietowej, a także two-

eprasa.pl c90328c217

rzenia układu politycznego w Europie Środkowej, który dał początek Trójmorzu. Zarówno Niemcy, jak i Rosja uznawały te projekty jako śmiertelnie groźne dla ich wizji strategicznej osi Berlin–Moskwa. Stąd wywierały presję na Tuska.

Cenckiewicz przytacza analizę Grzegorza Kucharczyka i Krzysztofa Raka, którzy stwierdzają, że „żeby Niemcy mogły zawierać geoekonomiczne i geopolityczne układy z Rosją, muszą zachować zdolność manewru w regionie, który ta ostatnia uważa za swoją strefę wpływów, czyli w Europie Środkowej i Wschodniej. Gdyby region ten stał się wyłączną strefą wpływów Zachodu, to Niemcy nie mogłyby handlować na jego terytorium z Rosjanami. Z tego właśnie powodu Berlin zawsze co najmniej sceptycznie odnosił się do członkostwa Ukrainy w NATO i Unii Europejskiej. Jeśli zatem chodzi o szeroko rozumianą niemiecką politykę wschodnią, a więc wobec obszaru znajdującego się na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej, to od momentu dojścia do władzy Schrödera zawsze obowiązywała niepisana zasada: Russia first! Berlin przedkładał interesy Moskwy nad interesy swoich sojuszników z NATO i partnerów z UE z tego regionu. Dowodzi tego niemiecka polityka energetyczna i polityka bezpieczeństwa w odniesieniu do krajów wschodniej flanki NATO".

Berlin i Moskwa rozgrywały Tuskiem nie tylko relacje z USA, lecz także wykorzystywały go do pogarszania naszych kontaktów z państwami regionu, w tym głównie Ukrainą, Litwą, Łotwą i Estonią. Cenckiewicz zwraca też uwagę, że od samego początku „Rosjanie monitorowali też narastający konflikt wewnętrzny w Polsce i – niezależnie od jego wymiaru publicznego (konflikt premiera z prezydentem) – znając nieskuteczność polskiego kontrwywiadu i wadliwość całego systemu ochrony informacji niejawnych, bez wątpienia sporo na jego temat wiedzieli. Tym bardziej, że istotną częścią jawnego konfliktu Tuska z prezydentem Kaczyńskim była polityka wschodnia i w gruncie rzeczy związana z nią kwestia amerykańskiej tarczy antyrakietowej. Za kulisami było jeszcze bardziej poważnie. Okazuje się bowiem, że pomimo deklaracji premiera Tuska o wsparciu przez Polskę amerykańskich wysiłków na rzecz przyznania MAP Gruzji i Ukrainie oraz pełnej na tym polu zgodzie z prezydentem RP, niemal w przededniu bukaresztańskiego szczytu NATO, polski MSZ postanowił storpedować inicjatywę Lecha Kaczyńskiego w tej sprawie. Kiedy 26 marca 2008 r. Prezydent RP przygotował pełen dyplomatycznego taktu list do głów państw i szefów rządów państw NATO, w którym opowiadał się za rozszerzeniem NATO (o Albanię, Chorwację i Macedonię), a poprzez przyznanie MAP, włączeniem w tę perspektywę również Gruzji i Ukrainy, decyzją ministra Sikorskiego wysłanie listu zostało wstrzymane. Niezależnie od takich zakulisowych intryg, wiedząc, że MAP dla obu państw i tak zostanie zablokowany przez duet niemiecko-francuski, Sikorski mógł w Bukareszcie i później na salonach dyplomatycznych świata pokazać się jako stronnik prezydenta Kaczyńskiego w wysiłkach na rzecz Gruzji i Ukrainy. Czasem, w swoim stylu, akcentował nawet swój antyrosyjski radykalizm, jak podczas rozmowy z wpływową dyplomatką amerykańską Paulą Dobriansky, której wiosną 2008 r. miał wyznać, że Niemcy to »rosyjski koń trojański w NATO«. Podobna sytuacja powtórzyła się zresztą zaledwie kilka tygodni później, kiedy w związku z działaniami i prowokacjami Rosji w Abchazji i Osetii Południowej, w kwietniu 2008 r. Lech Kaczyński stanął w obronie niepodległości Gruzji i jej integralności terytorialnej, wydając specjalne oświadczenie. Sikorski nie krył swojego oburzenia i domagał się od Prezydenta RP »uprzednich konsultacji z MSZ« i »kontrasygnowania« oświadczeń składanych w imieniu państwa polskiego przez premiera".

Instrukcje z Berlina

Cenckiewicz ukazuje też w książce, jak Niemcy instruowali Tuska w sprawie jego polityki wobec Rosji. Przypomina, że już w lutym 2008 roku „doszło w Berlinie do polsko-niemieckich konsultacji w sprawie polityki wobec Rosji, Ukrainy, Białorusi, Mołdowy, Kaukazu Południowego i Azji Centralnej. Z ideą konceptualizacji polityki wschodniej w ramach Trójkąta Weimarskiego na rozmowy do Berlina udał się dyrektor Departamentu Polityki Wschodniej MSZ i kreator nowej »filozofii stosunków polsko-rosyjskich« Jarosław Bratkiewicz, który rozmawiał z odpowiedzialnym w niemieckim MSZ za politykę wschodnią Hansem-Dieterem Lucasem, Robertem Nikelem z Urzędu Kanclerskiego oraz szefem Sztabu Planowania MSZ i ojcem formuły »zbliżenia przez powiązanie« Markusem Edererem". Przytacza też notatkę dyplomatyczną z tych rozmów: „Zarówno H.D. Lucas, jak i M. Ederer zwrócili uwagę, że za rządów D. Miedwiediewa jest możliwe przyspieszenie przez Rosję procesu modernizacji. Również W. Putin powinien sobie uzmysławiać, że nowa osoba na szczycie władzy stwarza psychopolityczny bodziec do ponownego podjęcia trudu modernizacyjnego. Gdyby przypuszczenie to potwierdziło się, Zachód powinien zachęcać Rosję do przemian modernizacyjnych tym bardziej, że intelektualnie i politycznie D. Miedwiediew jest do nich »lepiej przygotowany niż Gorbaczow« (M. Ederer). Takim zachętom sprzyjałaby »dwudzielna strategia« UE w odniesieniu do Rosji (H.D. Lukas). Z jednej strony nie należy kryć krytycyzmu w stosunku do niepokojących zjawisk, zwłaszcza w sferze demokracji i praw człowieka w Rosji. Z drugiej strony, istnieje potrzeba zacieśniania współpracy z Rosją w sprawach międzynarodowych (problem Iranu, walka z terroryzmem itd.) i socjoekonomicznych (np. energetyka, demografia, edukacja). Wszyscy rozmówcy pozytywnie ocenili ostatnie zdynamizowanie stosunków polsko-rosyjskich. Odnosząc się do sprawy nowej umowy UE–Rosja (PCA II), oceniali, iż Litwini i Brytyjczycy nie powinni stwarzać szczególnych utrudnień w uruchomieniu procedur negocjacji. Pytali się o polskie warun-

eprasa.pl c90328c217

ki odnośnie do zniesienia naszego weta. W szczególności R. Nikel indagował, czy proponowana przez nas deklaracja energetyczna do mandatu nie neguje projektu Nord Stream (»nie wróżyłoby to wówczas powodzenia tej deklaracji«). Ustosunkowując się do projektu Nord Stream, M. Ederer przywołał dotychczasową niemiecką argumentację na temat celowości dalszych rozmów polsko-niemieckich w tej sprawie, w tym rozważenia przez Polskę inwestycyjnego włączenia się do projektu i/lub przyjęcia opcji odgałęzienia od gazociągów niemieckich do Polski. Wyraził gotowość strony niemieckiej do przedyskutowania z Polską wszystkich aspektów tego projektu, w tym politycznych i ekologicznych. Mocno jednak podkreślił, że gazociąg Nord Stream to przedsięwzięcie przede wszystkim komercyjne, a nie polityczne, i »nie istnieje tu żaden alternatywny plan«. Podkreślił, że w swojej strategii energetycznej RFN łączą zasady dywersyfikacji źródeł dostaw z zaufaniem do sprawdzonych dostawców".

▶ Niemiecko-rosyjski sojusz kosztem interesów Polski

Dziś, gdy Tusk w szokującym tempie zmarginalizował Polskę i podporządkował ją interesom niemieckim, nie dziwi, że przypomina to do złudzenia jego postępowanie w okresie od 2007 do 2014 roku. Cenckiewicz pokazuje, że to Frank-Walter Steinmeier, który 13 lutego 2022 roku, tuż przed agresją Rosji na Ukrainę, został po raz drugi wybrany na prezydenta Niemiec, był kluczową postacią resetu w relacjach z Putinem. A w marcu 2008 roku to on, jako minister spraw zagranicznych w pierwszej ekipie Merkel, złożył w Rosji propozycję partnerstwa modernizacyjnego. Było to tuż po owym agresywnym wystąpieniu Putina w Monachium, na którym zaatakował NATO i USA. A już 13 maja Steinmeier przedstawił w Instytucie Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Uralskiego w Jekaterynburgu – jak zauważa Cenckiewicz – „plan nowego partnerstwa strategicznego… Niemiecka propozycja dotyczyła najistotniejszych obszarów polityki międzynarodowej i była faktycznym zaproszeniem Rosji do wzięcia współodpowiedzialności za bezpieczeństwo Europy i świata zgodnie z bukaresztańskim napomnieniem Putina, by »poszukiwać wspólnego podejścia do rozwiązywania różnych problemów globalnych«". To wówczas Steinmeier przekonywał, że „Rosja jest i pozostaje niezbędnym partnerem Niemiec i UE w kształtowaniu politycznego świata jutra. Potrzebujemy Waszego kraju jako partnera na rzecz bezpieczeństwa i stabilności w Europie i daleko poza nią. Potrzebujemy siebie nawzajem w kwestiach bezpieczeństwa energetycznego, kontroli zbrojeń i globalnej walki z terroryzmem. Jestem przekonany, że nie będzie bezpieczeństwa w Europie, w całym regionie eurazjatyckim, bez Rosji lub nawet wbrew niej. Ale obowiązuje także sytuacja odwrotna: główny cel, jakim jest europejski ład pokoju od Atlantyku po Władywostok, zakończy się sukcesem tylko wtedy, gdy Rosja będzie gotowa spotkać się z nami na tej drodze. […] Widzę duże pokrywanie się wspólnych interesów we wszystkich tych obszarach. Niemcy i UE są naturalnymi partnerami modernizacyjnymi Waszego kraju. Chcemy tego partnerstwa i wzajemnej współzależności dla wspólnego dobra obywateli Rosji, Niemiec i całej Europy! Chcemy, aby wyjątkowy w historii Rosji proces transformacji i modernizacji zakończył się sukcesem! Z radością przeczytałem, że prezydent Miedwiediew i premier Putin za swoje priorytety przyjęli poprawę systemu prawnego i zwiększenie praworządności. Wierzę, że skuteczne, przejrzyste i samoregulujące instytucje są podstawą modernizacji. Biurokracja i nadgorliwość kontroli paraliżują rozwój – to dotyczy każdego kraju. Tutaj również możemy współpracować, na przykład w zakresie dokształcania sędziów i prawników, doradztwa policyjnego oraz współpracy z organami celnymi".

▶ „Jedność wspólnej przestrzeni bezpieczeństwa"

W odpowiedzi już w czerwcu do Niemiec udał się nowy prezydent Rosji Dmitrij Miedwiediew i ogłosił koniec „atlantyzmu", przekonując jednocześnie o wstrzymaniu rozszerzenia NATO i budowy tarczy przeciwrakietowej w Europie. Jak stwierdził: „Jestem przekonany, że atlantyzm jako jedyna zasada zdezaktualizował się – teraz powinna być mowa o jedności przestrzeni euroatlantyckiej, od Vancouver do Władywostoku. Samo życie dyktuje tego rodzaju współpracę". Komentując to wydarzenie, prof. Cenckiewicz zauważa, że „Poza rytualnymi kłamstwami o poszanowaniu integralności terytorialnej i suwerenności państw, powstrzymywaniu się od przemocy w stosunkach międzynarodowych i ograniczeniu zbrojeń, »plan Miedwiediewa« reaktywował dawne projekcje Rosji po rozwiązaniu Układu Warszawskiego i rozpadzie ZSRS, zakładając przede wszystkim światową »jedność wspólnej przestrzeni bezpieczeństwa« (»od Władywostoku do Lizbony« i »od Vancouver do Władywostoku«), której nie powinny się przeciwstawiać jakiekolwiek koalicje państw i sojusze wojskowe. Projekt tego nowego oszustwa prezentowany był przez Rosjan sekwencyjnie – w Berlinie przez Dmitrija Miedwiediewa (5 czerwca 2008 r.), w Brukseli podczas Rady NATO–Rosja przez Dmitrija Rogozina (26–27 czerwca 2008 r.), w Nowym Jorku na sesji ONZ przez Siergieja Ławrowa (27 września 2008 r.) i znów przez prezydenta Rosji w Evian (8 października 2008 r.). Ale najistotniejszym dla naszych rozważań jest fakt, że jedynie kanclerz Merkel z całego Zachodu została wprowadzona w »elementy węzłowe« »planu Miedwiediewa« podczas pobytu w Soczi (15 sierpnia 2008 r.), a Niemcy jako jedyne państwo NATO – za sprawą deklaracji ministra Franka-Waltera Steinmeiera – uznały tę fikcyjną »rosyjską inicjatywę jako okazję do debaty na temat ogólnoeuropejskiego porządku pokojowego, którego fundamentem powinny być wspólne interesy, wartości oraz wspólne i niepo-

eprasa.pl c90328c217

dzielne bezpieczeństwo«. »Pokój i bezpieczeństwo w przestrzeni euroatlantyckiej możliwe są wyłącznie wspólnie z Rosją, a nie w opozycji do niej« – twierdził Steinmeier".

Partnerstwo modernizacyjne UE–Rosja

Cenckiewicz zauważa, że tak naprawdę stawką w tej grze pozorów, w której Berlin wyznaczył Tuskowi rolę statysty, było zbudowanie imperialnego sojuszu Rosji z Niemcami. Jak stwierdza: „Skoro więc w wizji ministra Franka-Waltera Steinmeiera antyatlantycka Rosja miała być »niezbędnym« partnerem Niemiec w kształtowaniu przyszłości politycznej Europy i świata, a współpraca partnerska miała obejmować kwestie energetyczne, kontrolę zbrojeń i walkę z terroryzmem, to zasadnym wydaje się postawienie pytania: czy tak wyłożone przez niemieckiego szefa dyplomacji »partnerstwo modernizacyjne« nie miało być jedynie »legendą« dla ukrycia prawdziwego celu? Może więc stawką tej gry było zdominowanie Europy przez Niemcy, uprzywilejowana pozycja Rosji w handlu z UE (nowa umowa PCA-2, Nord Stream 1-2 i ruch bezwizowy) oraz podział stref wpływów w Europie Wschodniej (wywrócenie amerykańskich planów obrony przeciwrakietowej w Europie, nierozszerzanie NATO na Wschód, eliminacja amerykańskiej obecności na kontynencie, dezintegracja Gruzji i częściowy jej zabór oraz odzyskanie przez Rosję kontroli nad Ukrainą przy biernej postawie UE i europejskich członków NATO)? Częściowo hipotezę tę potwierdzają liczne dokumenty polskiej dyplomacji. Z jednego z nich, powstałego w oparciu o dyskusje dyplomatów Trójkąta Weimarskiego w Moskwie, wynika, że ówczesnym celem (priorytetem) polityki rosyjskiej było zdobycie uprzywilejowanej pozycji handlowo-politycznej Rosji w relacjach z UE (PCA-2) wzorowanej na Radzie NATO–Rosja, a w dalszej perspektywie wypracowanie takiej pozycji Rosji, która da jej możliwość »współdecydowania, również w sferze bezpieczeństwa«, o losach Europy. Trudno oprzeć się wrażeniu, że w scenariusz Steinmeiera stopniowo, ale i dość konsekwentnie wpisywała się polityka polska. 7 maja 2008 r. Sikorski zapewniał w polskim Sejmie, że dokonująca się na naszych oczach »konsolidacja Unii« »przyczynia się do prowadzenia przez Rosję bardziej konstruktywnej polityki«, że zacieśnienie relacji Polski z Niemcami i Francją dobrze wróży »projektowanemu zdynamizowaniu współpracy Trójkąta Weimarskiego«, zaś »przyjmując z dobrą wolą amerykańską argumentację w kwestii obrony przeciwrakietowej«, oczekujemy, że »Stany Zjednoczone odegrają aktywniejszą rolę w modernizacji polskich sił zbrojnych«. Krótko potem doszło do telefonicznych konsultacji Sikorskiego ze Steinmeierem w sprawie napięcia w relacjach rosyjsko-gruzińskich i polityki wobec Rosji. Ich istotą było wspólne przekonanie, że mimo kryzysu wokół Abchazji i Osetii Południowej Rosja nie zdecyduje się na naruszenie integralności terytorialnej Gruzji i kontynuowane będzie partnerstwo modernizacyjne UE–Rosja".

Potem nastąpiły polskie konsultacje z Niemcami w Berlinie na temat polityki wschodniej. Naszej delegacji przewodził Jarosław Bratkiewicz. A natychmiast po nich Sikorski złożył Tuskowi projekt listu do Putina, z propozycją „nadania stosunkom dwustronnym właściwej dynamiki". List został wysłany 5 czerwca i był efektem uzgodnień z Berlinem.

Polska Tuska uwiarygadnia Rosję

Cenckiewicz pokazuje debilizm ekipy Tuska, gdy po agresji Rosji na Gruzję zostaliśmy zdegradowani do roli kraju uwiarygadniającego Kreml. Jak zauważa jednak: „Tradycyjnie, zanim Warszawa okazała się pierwszą stolicą UE, którą po wybuchu wojny z Gruzją odwiedził szef rosyjskiej dyplomacji, doszło w Berlinie do konsultacji polsko-niemieckich na temat polityki wschodniej. […] Trzeba przyznać, że w ówczesnym teatrze gry rosyjskiej rząd Tuska nie tylko odegrał rolę pożytecznego aktora, ale również »kupił« przesłanie Ławrowa i przekazał je coraz bardziej zaniepokojonym odradzaniem się rosyjskiego imperializmu sojusznikom". Cenckiewicz na dowód oczywistej głupoty ekipy Tuska przytacza wnioski MSZ z wizyty Ławrowa: „[…] z wypowiedzi szefa rosyjskiej dyplomacji wynikało, że Polska jest traktowana przez Rosję jako jeden ze znaczących członków UE i NATO. (…) Zrealizowanie przez min. Ławrowa pierwszej wizyty zagranicznej po wybuchu konfliktu gruzińsko-rosyjskiego należy ocenić pozytywnie zarówno w kontekście bilateralnym, jak też unijnym. Utrzymanie wizyty w zasadzie we wcześniej ustalonym terminie potwierdza, że strona rosyjska przywiązywała dużą wagę do spotkań z przedstawicielami rządu RP, traktując je jak swego rodzaju rozpoznanie unijnego gruntu po wizytach w Moskwie prezydenta Sarkozy'ego (12 sierpnia i 8 września). Tym samym można uznać, że Warszawa została zaliczona przez Moskwę do grona tych stolic europejskich, których głos staje się decydujący w dyskusji o przyszłości relacji UE–Rosja".

Reset prowadził do Smoleńska

Z obecnej perspektywy, gdy Tusk zaangażował niemal całe państwo do kolejnej walki o zakłamanie Smoleńska, nie ulega wątpliwości, iż to wydarzenie na każdym etapie było w pełni kontrolowane przez Moskwę. Putinowi udało się też skutecznie wykorzystać Tuska do spacyfikowania zbrodni katyńskiej. Jak zauważa Cenckiewicz: „W końcu stycznia 2010 r., po kilku rosyjskich sugestiach, Tusk ostatecznie »podjął decyzję o przewodniczeniu delegacji polskiej podczas głównych uroczystości w lesie katyńskim 10 kwietnia«. Wbrew późniejszym rosyjskim kłamstwom o tym, że Prezydent RP jakoby »nie chciał uczestniczyć w tej uroczystości, stąd zorganizował własną«, oznaczało to ostateczne wyeliminowanie ze wspólnych obchodów Lecha Kaczyńskiego i rozdzielenie wizyt dwóch najważniej-

eprasa.pl c90328c217

szych osób w państwie. Kiedy zaś tydzień później szef KPRM Tomasz Arabski, chcąc »zamknąć sprawę Katynia«, przyjął propozycję zastępcy szefa Administracji Rządu FR Jurija Uszakowa, by uroczystości z udziałem premierów Polski i Rosji w Katyniu odbyły się 7 kwietnia, rozgrywka z prezydentem Kaczyńskim osiągnęła swoje apogeum. Jej potwierdzeniem był karygodny wręcz sposób przygotowania wyjazdu Głowy Państwa na uroczystości 10 kwietnia w Katyniu przez KPRM, MSWiA (w tym podległe ministerstwu Biuro Ochrony Rządu) i MON, a nawet zwlekanie przez MSZ z notyfikowaniem przyjazdu prezydenta do Rosji. Wiosną 2010 r. wszystko układało się po myśli Moskwy. Rosjanie monitorowali, stymulowali i kreowali wewnątrzpolski konflikt polityczny, nie tylko zresztą z powodu korzyści związanych z poskromieniem »polskiej rusofobii«, którą symbolizował w ich oczach Prezydent RP. Kiedy 9 kwietnia 2010 r. większość sejmowa cyzelowała kolejną kłamliwą uchwałę w sprawie Katynia, tak by Rosja nie poczuła się urażona jakąkolwiek sugestią o ludobójczym charakterze mordu katyńskiego, prezydent Dmitrij Miedwiediew w towarzystwie byłego kanclerza Niemiec Gerharda Schrödera inicjował budowę Gazociągu Północnego".

Mord smoleński wyznaczył też szczególną rolę, jaką w kalkulacjach Kremla miał odegrać Tusk. Stał się on bowiem śmiertelnie zainteresowany tym, aby nadać skrajną wiarygodność ówczesnym działaniom Putina. Cenckiewicz zauważa, iż „Polska, jako adwokat i żyrant Rosji wdzięczny Putinowi na arenie międzynarodowej i zaświadczający o jej niewinności, zanim cokolwiek ustalono w śledztwie, była niezwykłym kapitałem Moskwy. Sam sposób funkcjonowania państwa polskiego w dniu 10 kwietnia 2010 r. i przez kolejne dni, kiedy faktycznie decydowały się losy późniejszego śledztwa i kształt relacji z Rosją na długie lata, budzi poważne wątpliwości. Mając za sobą kapitał niemal wszystkich Polaków i całego cywilizowanego świata przyglądającego się wydarzeniom w Smoleńsku, nie wykorzystano okazji, by obiektywnie osłabionej wizerunkowo Rosji narzucić warunki śledztwa i zmusić ją do ustępstw. O skrajnym bałaganie, chaosie oraz braku instynktu i profesjonalizmu państwowego świadczą m.in.: nieprotokołowane rozmowy telefoniczne Tuska z Putinem (dwie) i Miedwiediewem (trzy), których treści nigdy nie zrekonstruowano i nie spisano nawet *post factum*, zbyt pochopna decyzja o wyjeździe premiera do Smoleńska (bez uprzedniego wypracowania planu działania), kontakty dwustronne prokuratorów generalnych (Andrzeja Seremeta i Jurija Czajki) i ministrów (Cezarego Grabarczyka i Igora Lewitina) oraz przedstawicieli komisji badających wypadki lotnicze w Polsce i w Rosji (Edmunda Klicha i Aleksandra Morozowa), w sytuacji kiedy w Warszawie nie ustalono jakiejkolwiek strategii działania i zasad współpracy z Rosjanami. Nie postawiono służb specjalnych w stan alertu, nie rozstrzygnięto ostatecznie, kto z polskiej strony będzie wyjaśniał okoliczności zdarzenia (niezależnie od prokuratury) oraz nie rozpoznano sytuacji prawnej pod kątem optymalnej podstawy dla sposobu badania katastrofy. Nawet kwestia wydostania z Rosji ciała prezydenta Lecha Kaczyńskiego padła ofiarą niedecyzyjności i państwowego chaosu, bo po wstępnych ustaleniach między Donaldem Tuskiem a Siergiejem Szojgu (ministrem ds. sytuacji nadzwyczajnych) w Smoleńsku i wylocie premiera do Polski, z którym w dodatku utracono łączność na parę godzin, Władimir Putin zmienił decyzję i negocjacje w tej sprawie zaczęły się od nowa. »Wtedy ujawniła się przewaga Rosji nad Polską, także przewaga w działaniu zgodnie z państwowym instynktem« – mówił później Paweł Kowal, który bezpośrednio podjął negocjacje z Putinem i ostatecznie ustalił, że Prezydent RP wraz z Pierwszą Damą powrócą 11 kwietnia do Polski, a ich ciała nie zostaną przewiezione do Moskwy".

Smoleńsk a blokada polskich służb

Cenckiewicz przytacza opinię Pawła Kowala napisaną kilka miesięcy po 10 kwietnia 2010 r., dziś bezkrytycznego członka otoczenia Tuska: „Kluczowe było pierwsze dwanaście godzin po katastrofie, zanim uwagi świata nie przykuły inne wydarzenia. To wówczas popełniono główne błędy: dotyczące informowania o tragedii, przyjęcia niepewnej podstawy prawnej, formuły prowadzenia śledztwa i połączenia kwestii związanych z wyjaśnianiem przyczyn katastrofy z ogólnymi ocenami relacji polsko-rosyjskich. Już pierwsze komentarze po polskiej stronie eksploatowały »wątek pojednania«". Najbardziej szokuje jednak reakcja polskich służb w sytuacji, gdy ginie polityczna elita państwa i całe dowództwo armii. Cenckiewicz przytacza niezwykłe informacje przekazane przez płk. Piotra Wrońskiego, wieloletniego oficera SB, UOP i Agencji Wywiadu: „Grzechem Agencji Wywiadu po 10 kwietnia 2010 roku było zaniechanie jakichkolwiek działań. Gdybym ja był szefem wywiadu i dostał polecenie, że mam się tą sprawą nie zajmować, to natychmiast podałbym się do dymisji. (…) W poniedziałek 12 kwietnia 2010 roku do rezydentur Agencji Wywiadu na Wschodzie miał zostać rozesłany szyfrogram z Centrali, który zakazywał funkcjonariuszom zbierania informacji na temat katastrofy w Smoleńsku, ponieważ sprawą zajmuje się prokuratura i sprawa ta nie interesuje Agencji Wywiadu. (…) Odkąd zacząłem mówić o tym głośno, wiele pracujących w polskich służbach osób zgłasza się do mnie, mówiąc, że 10 kwietnia 2010 roku chcieli przyjść do pracy. Często nie mieli gdzie. Tak było na przykład w przygranicznych delegaturach AW. (…) Część rezydentur zaczęła natychmiast przesyłać do centrali meldunki, ale drogą zwrotną funkcjonariusze otrzymali odpowiedź, że mają się tą sprawą nie zajmować, bo tą sprawą zajmuje się już prokuratura. To jest pod każdym względem chory sposób działania, no chyba że to przemyślane i inten-

eprasa.pl c90328c217

cjonalne zaniechanie. Po czasie dochodzę do wniosku, że decyzję o zakazie zajmowania się zbieraniem informacji o Smoleńsku Agencja Wywiadu podjęła w sposób przemyślany i świadomy, a symptomy tych działań były widoczne już od wielu lat".

Wszystko to faktycznie potwierdził później płk Grzegorz Małecki, szef Agencji Wywiadu w latach 2015–2016, który zarządził audyt rekonstruujący postawę Agencji po 10 kwietnia 2010 roku. Okazało się, że szefostwo AW starało się „wyciszyć atmosferę wokół katastrofy i paraliżowało próby wyjaśnienia okoliczności, w jakich do niej doszło", nie zważając chociażby na fakt, że w Smoleńsku zginął ważny funkcjonariusz Agencji pozostający w czynnej służbie: „Zamiast natychmiastowego zmobilizowania wszelkich dostępnych zasobów w celu zabezpieczenia wszystkich danych mogących odtworzyć przebieg katastrofy i wyjaśnić jej przyczyny, kierownictwo zwlekało z jakimkolwiek działaniami do poniedziałku 12 kwietnia. Powiem więcej, w jednym z wydziałów natychmiast po katastrofie naczelnik samodzielnie postawił cały personel w stan gotowości. Jednak dyrektor biura, zawiadomiony o tym fakcie przez naczelnika, odwołał alarm, polecił wszystkim »iść na spacer z rodziną, bo weekend i ładna pogoda« (sic!). (…) W kolejnych dniach wszelkie działania koncentrowały się na neutralizowaniu jakichkolwiek samodzielnych prób, inicjowanych przez oficerów za granicą i w kraju, gromadzenia informacji o możliwych przyczynach katastrofy, w tym weryfikacji hipotezy o zamachu. Oficerowie wywiadu rezydujący w różnych krajach przysyłali propozycje, co mogą zrobić, jakie podjąć rozmowy z różnymi ludźmi – i była na to blokada. (…) Chcieli podjąć dialog z naszymi partnerami – ale był zakaz. Był zakaz jakichkolwiek rozmów. Jasna dyspozycja: my w tym nie uczestniczymy, nas to nie dotyczy, nie było żadnego zamachu. (…) To był zakaz pisemny szefa Agencji [gen. Macieja Huni]".

Ale na tym nie koniec zagadek z 10 kwietnia 2010 roku, bo do Ambasady RP w Moskwie zgłosił się „oferent" chcący przekazać informacje dotyczące katastrofy. I choć sprawa wydaje się niemal pewną prowokacją FSB, to zachowanie AW uznać należy za skrajnie amatorskie: „Wydano zakaz rozmowy z nim. To było absolutnie nieprofesjonalne. W tym biznesie zawsze się zakłada, że to może być prowokacja. Ale tu znaków zapytania było więcej. To, że nie podjęto z nim próby dialogu, może być oznaką braku profesjonalizmu. Ale już przekazanie jego danych stronie rosyjskiej – to niepojęte".

Cenckiewicz przytacza też, na potwierdzenie opinii byłego szefa Agencji Wywiadu, wnioski raportu Podkomisji do ponownego zbadania wypadku lotniczego, która na podstawie materiałów Agencji w ten sposób opisywała działania wywiadu cywilnego po 10 kwietnia 2010 r.: „Szef AW nie powołał Centrum Zarządzania Kryzysowego, do którego zadań należało m.in. pełnienie całodobowego dyżuru w celu zapewnienia przepływu informacji na potrzeby zarządzania kryzysowego, współdziałanie z innymi centrami, dokumentowanie działań, realizowanie działań na potrzeby podwyższania gotowości obronnej państwa. AW nie miała również opracowanego planu zarządzania kryzysowego. 10.04.2010 r. liczni funkcjonariusze AW deklarowali przełożonym gotowość do podjęcia działań. Część z nich dostała informację, że »nie ma potrzeby osobistego stawiennictwa«. Część przybyła do centrali i nie otrzymała poleceń. Był też przypadek wezwania funkcjonariusza jedynie w celu sporządzenia fotografii sztandaru AW z żałobnym kirem. Brak zadań postawionych AW sprawił m.in., że służba skupiła się jedynie na monitoringu mediów, a także pozostała bierna w zakresie pozyskiwania dowodów. Kontakty międzynarodowe były inicjowane przez służby partnerskie poprzez złożenie kondolencji i deklaracji gotowości pomocy. W odpowiedzi Agencja zawnioskowała o informacje do jednej ze służb partnerskich i uzyskała fragment transkrypcji zarejestrowanej komunikacji radiowej. Jednak pozyskane dane nie zostały wykorzystane ani przekazane innym podmiotom, chociażby W[ojskowej] P[rokuraturze] O[kręgowej]. Wiele propozycji wsparcia nie spotkało się w ogóle z reakcją ze strony polskiego wywiadu".

▶ Tysiące ludzi Tuska związanych na śmierć i życie smoleńskim kłamstwem

Książka Cenckiewicza i Rachonia dostarcza imponującego materiału, aby ukazać, w jaki sposób Tusk dał się wciągnąć Rosji w śmiertelną pułapkę. Bez tej publikacji nie jesteśmy w stanie zrozumieć, jak znaleźliśmy się dziś w tej sytuacji, gdy na naszych oczach, ze wsparciem Rosji, niszczone jest państwo polskie. Cenckiewicz cytuje opinię Johna J. Mearsheimera z jego głośnej pracy „Dlaczego politycy kłamią. Cała prawda o kłamstwie w polityce międzynarodowej": „[…] ukrywanie błędnej polityki może doprowadzić do dalszych katastrof nie tylko dlatego, że na ważnych stanowiskach przywódczych przynajmniej przez pewien czas utrzymuje się ludzi niekompetentnych, ale i z tego powodu, że posługiwanie się strategicznym tuszowaniem utrudnia funkcjonowanie systemu bezpieczeństwa narodowego, w którym politycy i dowódcy wojskowi są rozliczani ze swoich działań. Żadna organizacja nie może skutecznie działać bez odpowiedzialności na każdym poziomie operacji. I wreszcie, jeśli skrzętnie maskuje się spartaczoną politykę, trudno o sensowną dyskusję na temat tego, co się nie udało i w jaki sposób można najlepiej zapobiec powtarzaniu się takich niepowodzeń". W przypadku resetu Tuska cenę za ukrywanie przerażającej prawdy o tym, jak jego rząd i służby znalazły się w objęciach putinowskiej Rosji, zapłaciły dotąd dwa pokolenia Polaków. ■

eprasa.pl c90328c217

Marcin Wolski

Mentalność renegata

Dziś o zdradzie największego kalibru, nie małżeńskiej czy towarzyskiej, lecz własnej Ojczyzny. Kalkulacje zdrajców bywają różne, choć rezultaty zdrady przeważnie są podobne. Z czasowego dystansu motywacje Philippe'a Petaina i Vidkuna Quislinga są mniej ważne, bo liczą się rezultaty ich działalności. Petain kapitulując i zgadzając się na kadłubowe państwo Vichy, uchronił swych rodaków przed największymi okropnościami II wojny światowej. Co osiągnął Quisling? Trudno powiedzieć W Holocauście wziął udział, można rzec, na ochotnika, władze Vichy działały pod przymusem (choć niektórzy Francuzi wykazywali się sporą aktywnością). W każdym razie miano „Quisling" stało się synonimem zaprzaństwa, a Petain pozostaje zasłużonym dowódcą z I wojny światowej. Mimo powszechnego potępienia i wydanych wyroków (ten na Quislinga został wykonany) nie można jednak im zarzucić, że nie myśleli o własnym państwie, lecz wyłącznie o sobie. Postawili tylko na niewłaściwego konia. A potem się go kurczowo trzymali.

Na tym tle odmiennie prezentuje się kariera księcia Talleyranda – zdradzał często i łatwo, jednak cały czas pozostając wierny interesowi Francji. A na koniec na kongresie wiedeńskim po mistrzowsku zadbał, by wyszła z zawieruchy napoleońskiej bez szwanku. Ale taki zdrajca zdarza się raz na tysiąc.

Od wieków obecne jest pytanie: co kieruje zdrajcami? Przeważnie decydują pieniądze i przyszłe korzyści, choć detonatorem mogą być urażone ambicje, jak w przypadku Hieronima Radziejowskiego, współautora potopu szwedzkiego, czy marzenia o koronie Janusza Radziwiłła.

Jego przykład dowodzi, że na decyzję wpływają również polityczne kalkulacje. Często mylne. Osławieni targowiczanie nie byli samobójcami, lecz jedynie durniami, którzy chcieli, „by było, jak było". Dwa ostatnie rozbiory okazały się ich osobistą tragedią. Niezależnie od powszechnej infamii, stracili państwo, w którym żyło im się jak pączkom w maśle, a stali się poddanymi cara, który mógł dysponować ich losem, jak chciał. Formalnie, mimo zachowania olbrzymich majątków, swym statusem zrównali się z pozostałymi mieszkańcami imperium zależnymi od łaski imperatora.

Jeśli chodzi o porównanie dzisiejszych i dawnych renegatów, różnica rzuca się w oczy. Tamtym, zajętym wprawdzie pomnażaniem swoich majątków, ani w głowie nie postała myśl, by celowo szkodzić swemu krajowi. Wedle ich własnych słów kochali ojczyznę. Największy z jurgieltników Stanisław August Poniatowski, który zapracował na tron w łóżku carycy, choć służył Katarzynie, dbał o Rzeczpospolitą, jej pomyślność i kulturę. Podobnie Sascy Wettyni działali w interesie Saksonii, ale żeby celowo niszczyć podległą im Polskę, do głowy im nie przyszło.

W historii wielu było satrapów, nasłanych z zewnątrz, którzy przeważnie starali się dbać o rozwój podległej sobie prowincji. Wyjątkiem w naszych dziejach było Generalne Gubernatorstwo i polityka Fryca Wielkiego (psucie monety itp.), przynajmniej do czasu, kiedy zagarnął lwią część Polski.

Gdzie więc szukać analogii do postępowania dzisiejszych namiestników kraju nad Wisłą? Rabunkowa eksploatacja i działanie na korzyść hegemona właściwe są dla terytoriów podbitych, i to w dodatku gdy wielkorządcy czują, że prędzej czy później będą musieli stąd uciekać. Nienawidzą więc tego miejsca, jego kultury, tradycji i społeczeństwa, które wprawdzie chwilowo im czapkuje i bije brawo, ale w głębi ducha wybiera już dla nich właściwe latarnie. Z oporu przeciw takiej eksploatacji wziął się bunt 13 kolonii w Ameryce Północnej i posypało się imperium hiszpańskie w Ameryce Południowej.

Oczywiście nawet najbardziej obrzydliwa służalczość była kraszona autousprawiedliwieniami. Mało kto jest cynikiem do cna (choć paru by się znalazło). Wymyślono więc na użytek swoich akolitów – idee misji cywilizacyjnej. Wbić do głowy europejskość, choćby kolbami! Nauczyć prawa nawet bezprawiem!

Po co? Nawet przy zbiorze szparagów jakiś ordnung musi być.

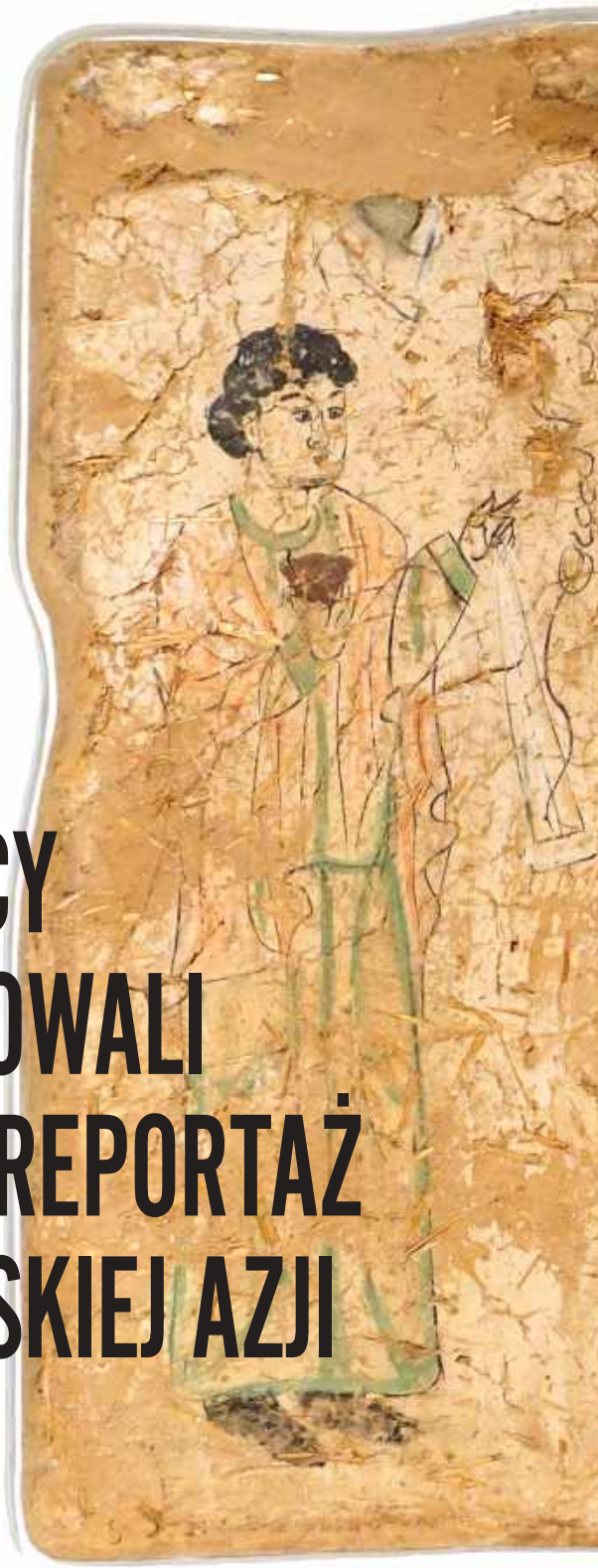
Czasami bardzo chciałbym się mylić w mojej ocenie, znaleźć jakieś inne wytłumaczenie tych wszystkich działań. Głupotę, bezrozumną nienawiść... Ale mi nie wychodzi. Zdrada jest zdradą! Niezależnie czy zdradza decydent, czy tylko pismak, urzędnik, użyteczny idiota czy agent wpływu. ■

eprasa.pl c90328c217

Wpływ bp. Teodora z Mopswetii na Kościół Wschodu porównać można chyba tylko z wpływem Akwinaty na Kościół katolicki. Ten drugi pokazywał jednak chrześcijanom Prawdę, podczas gdy pierwszy… ją przesłaniał.

Tomasz Gromadka

JAK CHIŃCZYCY CHRYSTIANIZOWALI TYBET, CZYLI REPORTAŻ Z NESTORIAŃSKIEJ AZJI



eprasa.pl c90328c217



FOT. WIKIMEDIA

eprasa.pl c90328c217

W latach 20. XVII wieku francuski jezuita o. Nicolas Trigault wędrował po Chinach. Znał od długiego czasu zarówno Państwo Środka, jak i jego przedziwny język – był autorem przekładów z chińskiego na łacinę i z języków europejskich na chiński. Wykonał m.in. pierwsze tłumaczenie dzieł Konfucjusza, a także stworzył pierwszy system transkrypcji chińskiego na alfabet łaciński, opublikowany pod nader wdzięcznym tytułem „Pomoc uszom i oczom zachodnich uczonych".

Religia światła

W jednym z buddyjskich klasztorów, położonym niedaleko miasta Xi'an, o. Trigault pokazano kamienną stelę, którą nieco wcześniej robotnicy przypadkowo znaleźli w ziemi, spisaną częściowo po chińsku, częściowo po aramejsku. Towarzysz misji o. Trigault – o. Michał Boym – Polak, urodzony we Lwowie, przetłumaczył jej tekst na łacinę, wywołując zdumienie i niedowierzanie wśród uczonych kręgów Europy. Stela pochodziła z końca VIII wieku i opisywała przybycie misjonarzy z Zachodu, którzy przynieśli do Państwa Środka „religię światła", jak Chińczycy nazywali chrześcijaństwo.

Tysiąc lat przed o. Trigault po Chinach podróżował inny zakonnik, o imieniu A-lo-pen. W przeciwieństwie do francuskiego jezuity A-lo-pen nie reprezentował papieża. Był nestorianinem – należał do Kościoła, który w wyniku konfliktu o naturę Chrystusa odłączył się od Rzymu i innych patriarchatów. A-lo-pen dotarł na dwór cesarza T'ai-tsunga z dynastii Tang i opowiedział mu podstawy doktryny chrześcijańskiej. Poruszony władca wydał edykt tolerancyjny, podobny do tego, który 300 lat wcześniej Konstantyn Wielki ogłosił w Cesarstwie Rzymskim (w przeciwieństwie do syna św. Heleny, T'ai-tsung ostatecznie nie przyjął chrztu). Edykt głosił: „Droga [tao] ma więcej niż jedną nazwę. Nie tylko jeden Mędrzec istnieje. Nauki różnią się w rozmaitych krajach, a ich dobrodziejstwa obejmują całą ludzkość. A-lo-pen, człowiek niezwyklej cnoty, pochodzący z Ta-ts'in [Cesarstwa Rzymskiego] przywiózł z daleka wizerunki i księgi, aby je przedstawić w naszej stolicy. Po zapoznaniu się z jego naukami stwierdziliśmy, że są głębokie i pokojowe. Po przestudiowaniu ich zasad uznaliśmy, że kładą one nacisk na to, co dobre i doniosłe. Jego nauka nie jest rozwlekła, a rozumowanie wydaje się trafne. Religia ta niesie dobro wszystkim ludziom. Niechaj więc będzie swobodnie głoszona w naszym cesarstwie" (tłum. A. Bogdański, [za:] A. Flis, B. Kowalska, „Zapomniani bracia…").

Katedra w skałach

Na południowo-wschodnich rubieżach Turcji leży 200-tysięczna Antiochia, po turecku zwana Antakyą. Wysokie góry oddzielają miasto od Syrii i trwającej tam od 13 lat wojny domowej, nie są jednak zaporą przed milionami syryjskich uchodźców, których napływu rząd w Ankarze nie chce kontrolować. Drogę w góry znad Orontesu, rzeki przepływającej przez centrum Antiochii, przebywam w kilkadziesiąt minut, a gdy ścieżka wznosi się tak wysoko, że widać z niej całe miasto, mijam odzianego w długą suknię starca. Zagaduję doń po turecku, ale staruszek go nie zna – rozpoznaję, że mówi po arabsku, a widząc, że nie rozumiem, pokazuje rękoma, że przybył z drugiej strony gór. Choć nasze drogi krzyżują się, nie idę do Syrii, ale do niewielkiej groty wykutej w skale, w której stoi kamienny ołtarz, a na podłodze zachowały się resztki starożytnych mozaik. Lokalna tradycja podaje, że jest to świątynia, w której św. Piotr odprawił pierwszą Mszę świętą w Antiochii. Właśnie tam miał swoją siedzibę Książę Apostołów, nim powędrował do Rzymu, a jeśli rzeczywiście celebrował Najświętsze Tajemnice w tej skalnej grocie, można śmiało powiedzieć, że jest to najstarsza katedra św. Piotra, starsza siostra Lateranu i Watykanu.

Antiochia – gdzie trudno spotkać dziś jakiegokolwiek chrześcijanina – w późnym antyku jako wielka, tętniącą wiarą metropolia stanowiła stolicę jednego z pięciu patriarchów – głównych przywódców ówczesnego Kościoła katolickiego, z których pierwszy i najważniejszy zasiadał w Rzymie. (Wyjaśnijmy tu, że określanie ówczesnego Kościoła mianem katolickiego nie jest anachronizmem – wprost przeciwnie, była to nazwa stosowana w tamtym okresie powszechnie, podobnie jak powszechny – czyli po grecku „katolikos" – był Kościół). Późny antyk to czas, gdy z pustyń Arabii nie wyłonił się jeszcze islam, a szerokie połacie Bliskiego Wschodu stały otworem przed chrześcijaństwem. Tereny Syrii i Mezopotamii pokrył gęsty las kościołów i klasztorów, w których liturgię sprawowano w języku nazywanym aramejskim, syriackim lub syryjskim. Należał on (i wciąż należy, bo nadal jego dwoma żywymi odmianami posługują się małe grupy chrześcijan) do rodziny semickiej, podobnie jak hebrajski czy arabski. Językiem tym mówił na co dzień sam Chrystus.

Granice Cesarstwa Rzymskiego nie stanowiły bariery dla ekspansji chrześcijaństwa – w istocie stworzyła ją dopiero ekspansja islamu w VII wieku. Wcześniej przekaz ewangeliczny docierał daleko na południe i wschód, także do ludów koczowniczych i półkoczowniczych, u których działali „biskupi namiotów", wędrujący wraz ze swoimi diecezjanami.

eprasa.pl c90328c217

Społeczności chrześcijańskie istniały wśród Arabów, aż po Jemen, a także wśród Kurdów.

W szczególny sposób toczyła się historia Kościoła w Persji. Choć formalnie podlegał on patriarchatowi w Antiochii i sprawował liturgię w języku syryjskim, de facto zależny był od niej w niewielkim stopniu. Wynikało to z wrogości, jaką darzyły się Rzym i Persja, co skutkowało tym, że szachowie nad wyraz niechętnie spoglądali na wszelkie powiązania perskich katolików z Cesarstwem. Jak bardzo utrudnione bywały kontakty, pokazuje fakt, że na Sobór w Nicei przybył z Persji tylko jeden biskup, a w samym imperium szachów jego dekrety wcielono w życie dopiero po 85 latach zwłoki, i to bynajmniej nie dlatego, że istniały przeciw jakieś opory. Zwierzchnik Kościoła w Persji nosił tytuł katolikosa i rezydował w Seleucji-Ktezyfonie, stolicy imperium, położonej nieopodal współczesnego Bagdadu. Podlegali mu również chrześcijanie żyjący jeszcze dalej na wschód – w indyjskiej Kerali. Ich społeczność założył św. Tomasz Apostoł, a jej kontakty z resztą katolików pozostawały przez wieki zupełnie znikome.

Teodor i Nestoriusz

Począwszy od 431 roku granice Rzymu i Persji przekraczać zaczęły grupy duchownych, szukających na Wschodzie azylu i schronienia przed prześladowaniami. Byli to zwolennicy herezji Nestoriusza, potępionej przez Sobór Efeski. Izolacja Kościoła w Persji sprawiła, że tamtejsi duchowni nie orientowali się w konfliktach teologicznych toczących się w Cesarstwie i chętnie przyjęli przybyszów. Sytuacja była na rękę nie tylko nestorianom, lecz także perskiemu szachowi – heretycy w przeciwieństwie do katolików nie byli podporządkowani papieżowi i patriarsze Antiochii, obaj żyjącym na terenie Cesarstwa, tradycyjnie skonfliktowanego z Persją. Dużo łatwiej mógł ich kontrolować.

Przejęcie Kościoła perskiego przez nestorian nie dokonało się natychmiast – dopiero w 610 roku zmarł ostatni wielki tamtejszy teolog, popierający katolicką ortodoksję – Henana z Adiabeny. Z błogosławieństwem perskich szachów uczniowie Nestoriusza zasiedli na katedrze katolikosów, przyznając sami sobie tytuł patriarchów Wschodu.

Nestoriusz zapewne zdziwiłby się, gdyby dowiedział się, że jego uczniowie działać będą w Persji. Sam stamtąd się wywodził, ale był arcybiskupem Konstantynopola i posługiwał się greką. Nurtowany przez pytanie, czy Bóg mógł ponieść mękę, uległ tej samej pokusie, która popchnęła później Mahometa do uznania, że Chrystus jako prorok nie mógł umrzeć tak haniebną śmiercią. W Koranie zapisano: „Powiedzieli: »zabiliśmy Mesjasza, Jezusa, syna Marii, posłańca Boga« – podczas gdy oni ani Go nie zabili, ani Go nie ukrzyżowali, tylko im się tak zdawało". Dla Nestoriusza śmierć krzyżowa również była do pewnego stopnia zgorszeniem. Wybrnął jednak z tej trudności inaczej niż Mahomet, uznając, że w Jezusie Chrystusie istniały dwie, całkowicie niezależne natury – Boska i ludzka. W kazaniu na Boże Narodzenie 428 roku mówił: „Pytają, czy Maryję można nazywać nosicielką Boga. Czy Bóg ma matkę?... Maryja nie nosiła w łonie Boga... Stworzenie nie mogło urodzić Stwórcy, lecz zwykłego człowieka, który jest narzędziem w ręku Boga. [...] Ten, który nabierał kształtów w łonie Marii, nie był samym Bogiem, lecz adoptowanym przezeń [stworzeniem]". Na Krzyżu cierpiał więc nie Bóg-człowiek, ale wyłącznie człowiek – Jezus z Nazaretu. Wszystko, co nie dość piękne i chwalebne, by być godnym Boga, można byłoby przypisać odtąd wyłącznie ludzkiej naturze Chrystusa. Konsekwentnie wierny swemu „odkryciu" teologicznemu uznał, że nie godzi się nazywać Maryi Theotokos – Bożą Rodzicielką, Bogarodzicą. Nazwał ją... Anthropotokos – Rodzicielką Człowieka, a gdy spotkał się z oporem słusznie zgorszonych, ukuł kompromisowy termin Christotokos – Matka Chrystusa.

Hilaire Belloc stwierdził, że Nestoriusz uległ „wiecznej ludzkiej tendencji do racjonalizowania i odrzucania tego, co jest poza zasięgiem rozumu". Warren H. Carroll, współczesny historyk Kościoła, ujął to w sposób bardziej dosadny: „Delikatna, odwieczna tajemnica Wcielenia – a Nestoriusz, podobnie jak wcześniej Ariusz, chciał zamknąć ją w pudełku".

W istocie arcybiskup Konstantynopola naruszał same fundamenty doktryny chrześcijańskiej, bez których rozpadłaby się ona niczym domek z kart. Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że w jego doktrynie Wcielenie i śmierć Chrystusa na Krzyżu zawierały jakiś fałsz.

Sobór Efeski potępił te tezy, uznając istnienie unii hipostatycznej, łączącej obie natury Chrystusa (z czego wynika, że był On integralną Osobą, która cierpiała całą pełnią siebie, i której Matka może nosić tytuł Theothokos). Nestoriusza złożono z urzędu, a skoro nie chciał wyrzec się swoich poglądów, został ekskomunikowany i zesłany do Egiptu, gdzie pozwolono mu prowadzić życie mnicha. Tam też umarł bez komunii z Kościołem. Nie dożył tryumfu swoich uczniów na Wschodzie.

Perscy nestorianie oddalili się od ortodoksji nie tylko za sprawą Nestoriusza, lecz także – a może nawet w jeszcze większym stopniu – przez bp. Teodora z Mopswetii, jego nauczyciela. Wpływ Teodora na Kościół Wschodu porównać można chyba tylko z wpły-

eprasa.pl c90328c217

wem Akwinaty na Kościół katolicki. Ten drugi pokazywał jednak chrześcijanom Prawdę, podczas gdy pierwszy ją przesłaniał.

Synod nestoriański, zwołany przez Sabriuszu, patriarchę Ktezyfonu, w 596 roku orzekł: „Odrzucamy i wyklinamy wszystkich, którzy nie trzymają się komentarzy, tradycji i nauk znakomitego Doktora, błogosławionego Teodora Komentatora; i którzy starają się wprowadzać nowe i obce doktryny przesiąknięte błędami i bluźnierstwami, które są sprzeczne z prawdziwą i dokładną nauką tego świętego". Dziewięć lat później kolejny synod stanowił: „Postanowiliśmy, że każdy z nas powinien przyjąć i zaakceptować wszystkie komentarze i dzieła napisane przez błogosławionego Teodora Komentatora, biskupa Mopswestii, męża z łaski Bożej ustanowionego nad skarbami dwóch Testamentów, Starego i Nowego, który za życia i po śmierci niczym rzeka obfitych powodzi nawadniał i karmił dzieci Kościoła prawdziwym znaczeniem świętych ksiąg, o którym pouczony został przez Ducha Świętego".

Teodor zasłynął z interpretacji Pisma Świętego, w którym uznawał wyłącznie znaczenie… dosłowne. Jak pisze św. kard. Newman: „Teodor kładł nacisk na ustalenie sensu dosłownego, a zatem szło mu o cel, któremu nie można było nic zarzucić, ale to kierując go oczywiście do tekstu hebrajskiego zamiast do Septuaginty, doprowadziło go także do komentatorów żydowskich. Żydowscy komentatorzy zaś podsuwali naturalnie zdarzenia i przedmioty dalekie od ewangelicznych, stanowiących wypełnienie zapowiedzi prorockich, a także – kiedy tylko było to możliwe – znaczenie etyczne zamiast prorockiego".

Sprowadziło to Teodora na manowce, szczególnie przy interpretowaniu Starego Testamentu, który Kościół od zawsze czytał w świetle Ewangelii. Wyjątkowo jaskrawym przykładem jest jego interpretacja Pieśni nad Pieśniami, którą – odrzuciwszy przekaz symboliczny – uznał za li tylko poemat miłosny. „Tędy prowadziła łatwa lub nawet konieczna droga do wykluczenia księgi z kanonu" – podsumowuje kard. Newman. Rzeczywiście Kościół Wschodu wyrzucił z kanonu biblijnego Pieśń nad Pieśniami, podobnie jak księgi: Hioba, Kronik, Ezdrasza czy List św. Jakuba. (Dodać trzeba, że współcześnie Kościół ten znów uznaje księgi te za natchnione).

Azjatycki kościół na piasku

Przepełnieni tymi poglądami misjonarze Kościoła Wschodu ruszali w głąb Azji, działając w pierwszej kolejności wśród tureckich i mongolskich ludów Azji Środkowej i Wielkiego Stepu. Stamtąd przenikali do Chin, gdzie – począwszy od edyktu tolerancyjnego cesarza T'ai-tsunga – cieszyli się poparciem dynastii Tang.

Językiem liturgii pozostawał syriacki, choć oczywiście kazania głoszono w językach pospolitych. Na początku XX wieku w miejscowości Bulayïq (prow. Sincjang) niemiecka ekspedycja odnalazła ruiny nestoriańskiego klasztoru i biblioteki, a tam resztki spisanych po ujgursku modlitewników, dzieł hagiograficznych, psałterzy, ksiąg liturgicznych oraz tekst apokryfu „Pokłon Magów", opisujący losy mędrców, którzy złożyli dary Dzieciątku Jezus. W istocie było to tłumaczenie syryjskiego apokryfu z dodatkiem pewnych ujgurskich modyfikacji, czasem dość wdzięcznych – przykładowo król Herod stał się… chanem.

Jak pisał Andrzej Flis, antropolog i znawca kościołów orientalnych, chiński generał A-lo-han (czyli Abraham) zaniósł nestorianizm do Tybetu i, choć ostatecznie przegrał on rywalizację z szamanizmem i buddyzmem, wywarł pewien wpływ na tybetańską religijność – zdaniem prof. Flisa chętnie używane w tybetańskich rytuałach woda święcona i kadzidło są właśnie chrześcijańskimi zapożyczeniami.

W Tybecie nestorianizm przetrwał do przełomu X i XI wieku, w Chinach natomiast zaczął tracić swoją pozycję, odkąd w 845 roku cesarz Wu Zong zdeleagalizował chrześcijaństwo. Ostatnia wzmianka o jego chińskich wyznawcach tamtej epoki pochodzi z końca X wieku. Wciąż za to rozwijały się ich społeczności wśród plemion tureckich i mongolskich Wielkiego Stepu i, gdy na przełomie XII i XIII wieku ludy te jednoczył silną ręką Temudżyn, liczne z nich wyznawały już chrześcijaństwo. Mongołów cechowała duża tolerancja religijna – pozwalali oni działać nestoriańskim duchownym nawet na swoim dworze. Wnuk Czyngis-chana, który dokonał podboju Bliskiego Wschodu, Hulag-chan, poślubił gorliwą nestoriankę z plemienia Kereitów, Dokuz-chatun, ich syn z kolei, Abaka-chan, ożenił się z prawosławną księżniczką Marią z Konstantynopola.

Z mongolskimi oddziałami nestorianizm powrócił do Chin po kilku wiekach nieobecności. Przyjacielem chrześcijan był Kubilaj-chan, pierwszy mongolski władca Państwa Środka. Wysłał on poselstwo do Europy, w którym proponował jej władcom sojusz przeciw muzułmanom i wspólne zdobycie Jerozolimy. Na czele misji stał Rabban bar Sauma, nestoriański mnich pochodzący z mongolskiego plemienia Ongutów. W latach 1287–1288 przebywał on na Zachodzie, gdzie spotkał się z cesarzem Bizancjum, królami Francji i Anglii oraz papieżem, przez którego serdecznie przyjęty, uczestniczył jako honorowy gość w uroczystościach Triduum Wielkanocnego w Rzymie. W swojej relacji z podróży opi-

eprasa.pl c90328c217

sał długie dysputy teologiczne toczone z rzymskimi kardynałami i prałatami.

Choć poselstwo przyniosło wielkie owoce w postaci nawiązania wzajemnych kontaktów i poszerzenia horyzontów obu stron, jego główny cel się nie powiódł – europejscy monarchowie byli zajęci własnymi problemami i nie mieli chęci na kolejną wyprawę na Wschód.

Wkrótce po wizycie bar Saumy w Europie na Wschód wyruszył z kolei włoski dominikanin, o. Riccoldo da Monte di Croce. Jego relacja – w przeciwieństwie do zapisków wielu innych średniowiecznych podróżników – charakteryzuje się bardzo dużą wiarygodnością i obiektywizmem. Włoch ze zdumieniem spostrzegł, że świadomość religijna nestoriańskiego laikatu pozostawia wiele do życzenia. Podczas gdy wielką wagę przywiązywano do praktykowania modlitw, postów i surowej ascezy, a także do skomplikowanego ceremoniału, katechumenat był zupełnie zmarginalizowany. Od nawracających się wymagano jedynie wiary w Trójcę Świętą, uznania kanonu Pisma Świętego oraz… jedzenia wieprzowiny – jakby w kontrze do islamu. W istocie ten groteskowy wymóg przypomina właśnie ducha islamu, w którym prawo i rytuał mają całkowity prymat nad myślą i doktryną. Jadąc pewnego razu autobusem z Izmiru do Stambułu, miałem okazję rozmawiać z pewnym bogobojnym Turkiem, który próbował nawrócić mnie na islam. Zaczął bynajmniej nie od tego, by skłonić mnie do odrzucenia nauki o Trójcy lub wyznania, że Mahomet jest prorokiem, ale od prośby, która brzmiała: „Thomas, please, don't eat pigs" – „Tomaszu, proszę, nie jedz świń!".

Kościół Wschodu zdominowała również powszechna praktyka rozwodów. To dość zadziwiające, że wszystkie prawie grupy, które odłączają się od Kościoła katolickiego, prędzej czy później legalizują rozwody, zdając się mówić do Chrystusa, który przecież tak stanowczo wypowiadał się za nierozerwalnością małżeństwa: „Posłuchamy Cię innym razem".

Wszystkie te przywary średniowiecznego nestorianizmu świadczyć mogą o tym, że ulegał on popularnej w każdej epoce pokusie mówiącej, że im mniejsze będą wymagania, tym więcej będzie nawróceń. W istocie jest to pójście na kompromis z duchem tego świata, na którym chrześcijaństwo zawsze będzie tracić. Nestoriańskie wspólnoty, rozsiane po całej prawie Azji, zniknęły nagle i niespodziewanie, gdy tylko nastały prześladowania. W Azji Środkowej nie przetrwały burzy podbojów Tamerlana (zm. 1405), który krwawo jednoczył Wielki Step, tym razem pod sztandarem islamu. W Chinach upadły, gdy w II połowie XIV wieku nowa dynastia Ming zakazała wyznawania chrześcijaństwa. Gdy w XVI wieku do Chin dotarli jezuici, wśród nich o. Michał Boym, nestorian już tam nie było.

Nie mniejsze prześladowania spotykały orientalnych chrześcijan w Persji setki lat wcześniej i w Imperium Osmańskim setki lat później, a mimo to zachowali oni wiarę, ci natomiast stracili ją bezpowrotnie.

Epilog

Kościoła na przedmieściach Erbilu, stolicy irackiego Kurdystanu, dzień i noc pilnują z karabinami kurdyjscy peszmergowie. W niedzielę do świątyni przybywają tłumy wiernych. Liturgia trwa półtorej godziny, a dym kadzidła i piękny śpiew w gardłowym, tajemniczym języku syryjskim, tak różny od chorału gregoriańskiego czy śpiewu cerkiewnego, unosi dusze do nieba. Msza odprawiona jest w starożytnym obrządku, ustanowionym według Tradycji przez świętych Addaja i Mariego, tym samym, w którym wieki temu w dalekich Chinach sprawował Najświętszą Ofiarę mnich A-lo-pen. W przeciwieństwie do A-lo-pena ten erbilski ksiądz oraz jego parafianie pozostają jednak w komunii z Kościołem katolickim. „Ofiarujemy też Tobie tę ofiarę za papieża Franciszka" – modlą się w trakcie anafory, najświętszej części Mszy.

Minęły wieki, a historia zatoczyła koło. Dziś znów domeną orientalnych chrześcijan jest Bliski Wschód – nie licząc asyryjskiej diaspory rozsianej po świecie, liturgię w języku syryjskim sprawuje się tylko w Iraku i Syrii. Wyjątek to indyjska Kerala, gdzie również przetrwali chrześcijanie. Wszędzie tam znaczna ich część powróciła do katolickiej ortodoksji i zawarła unię z papiestwem, tworząc unickie Kościoły syromalabarski i syromalankarski w Indiach oraz chaldejski na Bliskim Wschodzie. Ci ostatni, katolicy chaldejscy, stanowią małą, lecz pełną wiary społeczność, której świątynie wypełnione są w niedzielę młodymi ludźmi, modlącymi się w starożytnym języku. Zwierzchnikiem tych orientalnych unitów jest patriarcha Bagdadu (do 2021 roku noszący tytuł patriarchy Babilonu), obecnie Ludwik Rafał I kard. Sako. W lipcu 2024 roku synod Kościoła chaldejskiego zapisał się chlubnie na kartach historii, potępiając i odrzucając papieski dokument „Fiducia supplicans", umożliwiający błogosławienie par homoseksualnych. Ci, których przodkowie przez tak wiele wieków ulegali herezji, okazują się teraz – za łaską Bożą – strażnikami prawowiernej doktryny. Być może ich wierność skutkować będzie tym, że w przyszłości cała Azja znów zakwitnie wiarą, tym razem bez skazy Teodora i Nestoriusza. Wszystko zależy jednak od tego, czy chaldejscy katolicy będą gorliwie się modlić i czy pozostaną wierni Tradycji. ■

eprasa.pl c90328c217



Małgorzata Matuszak



Non omnis moriar. O różnych rodzajach nieśmiertelności życia ludzkiego

Oprócz nieśmiertelności, którą można nazwać metafizyczną i która wynika z nieśmiertelności istoty człowieka, czyli z jego duszy, można też wyróżnić inne jej rodzaje, dzięki którym człowiek, kończąc swoje życie, nie umiera w całości, bo jakaś jego część wciąż jest obecna w przestrzeni społecznej i kulturowej.

eprasa.pl c90328c217

Lęk przed śmiercią jest prawdopodobnie wrodzony. Boimy się jej również dlatego, że ludzie z natury swej obawiają się nieznanego, a śmierć przecież stanowi granicę naszej wiedzy. Jednocześnie większość naszych zmagań życiowych oraz nadziei dotyczy nieśmiertelności, a życie wieczne to najstarsze i największe marzenie ludzkości. Śmierć jednak jest nieusuwalnie wpisana w nasze życie i nie rozumiejąc jej, nie jesteśmy w stanie w pełni pojąć swego życia. Fizyczna śmierć człowieka nie musi oznaczać jednak całkowitego jego unicestwienia, możemy bowiem mówić o różnych rodzajach ludzkiej nieśmiertelności.

Nadzieja na nieśmiertelność i metafizyka

Już w najstarszym eposie świata, „Eposie o Gilgameszu", bohater tej opowieści, na wpół legendarny, na wpół historyczny król miasta Ur w starożytnej Mezopotamii, poszukuje nieśmiertelności, uświadamia sobie bowiem, że nawet największe czyny, których dokonał na ziemi, nie uchronią go przed śmiercią. Wiele legend i mitów w historii dotyczy poszukiwania środków, które mogłyby zapewnić nieśmiertelność bądź wieczną młodość. Także bohaterowie bajek często udają się po wodę życia czy magiczne zioło, mające uczynić ich nieśmiertelnymi. Czy nieśmiertelność jest tylko marzeniem ludzkim, czy może jednak istnieje w jakiejś formie, a jeśli tak – to w jakiej? Nie chcemy przecież uznać, że śmierć jest bezwzględnym końcem. W naszej ludzkiej naturze tkwi przekonanie, które nie pozwala zgadzać się na śmierć, i zachęca do tego, by uciekać przed nią i z nią „walczyć".

Już w starożytności znany był ludziom lęk przed śmiercią i ówcześni mędrcy na różne sposoby próbowali oswoić to, co nieuchronne. Filozofia, czyli „umiłowanie mądrości", nazywana była również „meditatio mortis", czyli „rozważaniem śmierci", „nauką umierania" bądź „przygotowaniem do śmierci". Mądrość polegała na tym, aby pokonać największy z ludzkich lęków – lęk przed śmiercią. Uczył tej umiejętności również nieustraszony Sokrates, gotowy umrzeć za to, w co wierzył – prawda okazała się dla niego darem cenniejszym niż jego własne życie. Z Platońskiego dialogu „Fedon" dowiadujemy się o nieśmiertelności duszy, o tym więc, co stanowiło postawę tej nieustraszonej postawy Sokratesa, dla którego śmierć nie była kresem, lecz uwolnieniem tylko z ziemskich okowów duszy, która wszak nie może umrzeć.

Nieśmiertelność metafizyczna jest tą najważniejszą, najwłaściwszą, tą, która najbardziej nas dotyczy i na której najbardziej zależy ludziom. Jest to wiara w to, że nasze indywidualne „ja" i to, kim jesteśmy, będzie trwało po naszej śmierci, i – jednocześnie – wiara w to, że ludzie, których kochaliśmy, trwają w jakiejś formie w innym wymiarze bytu. Jako chrześcijanie wierzymy, że nie jesteśmy istotami śmiertelnymi, które trwają tylko w śladach, pozostałych po nas na ziemi, ale że w innym wymiarze bytu, kiedyś, u kresu dziejów, zostaniemy wskrzeszeni, aby cieszyć się ponowną obecnością tych, których nie ma już z nami, i obecnością żywego Boga. Wierzymy, że dusza ludzka stworzona została przez Boga i dzięki temu jest nieśmiertelna. Co więcej, czeka ona na ponowne połączenie z ciałem w chwili ostatecznego zmartwychwstania. Filozofia musi zadowolić się postulatem nieśmiertelności duszy i poprzestać na nim, religia zaś może iść dalej, łącząc ideę nieśmiertelności duszy z ideą zmartwychwstania umarłych. Bóg jest bowiem Miłością, a – jak pisał filozof Robert Spaemann – „nieśmiertelność duszy jest postulatem miłości, postulatem takiej miłości, która nie potrafi pomyśleć swego końca nie niszcząc tym samym swej własnej idei".

Oprócz tej nieśmiertelności, którą można nazwać metafizyczną i która wynika z nieśmiertelności istoty człowieka, czyli z jego duszy, można również wyróżnić inne jej rodzaje, dzięki którym człowiek, kończąc swoje życie, nie umiera w całości, bo jakaś jego część wciąż jest obecna w przestrzeni społecznej i kulturowej.

Nieśmiertelność społeczna i kulturowa

Przychodząc na ten świat, wchodzimy w pewne miejsce określone społecznie, w sieć pokoleń i więzi międzyludzkich. Mamy rodzinę, potem przyjaciół, później wiążemy się z drugim człowiekiem, aby wydać na świat następne pokolenia. W tym porządku życie, które przenosimy z pokolenia na pokolenie, jest nieśmiertelne, i nie do wymazania jest nasze miejsce w określonej sieci społecznej, do której należymy. Zostaniemy zapamiętani w kontekście tego, co wnieśliśmy w życie innych ludzi, którzy nas znali, i jeśli było to coś dobrego, będą oni myśleć o nas dobrze również wtedy, gdy nas już nie będzie. W tej sieci społecznej, do której należymy, i w zakresie ról, które pełnimy, każdy jest sobą i jest niezastępowalny, choć sama sieć społeczna i role społeczne nieustannie się powielają. Każdy ma rodziców, każdy ma kogoś bliskiego, kto go zna na tej ziemi, nawet jeśli nie jest znany dużej liczbie ludzi.

Nie sposób przejść przez życie jako ktoś całemu społeczeństwu obcy i nieznajomy. Może dlatego już Arystoteles mówił, że samotny może być tylko bóg lub zwierzę; człowiek, aby żyć, nieustannie potrze-

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl c90328c217

buje innych ludzi i czy chce, czy nie chce, jest zanurzony w sieci społecznych zależności, gdzie wprawdzie role społeczne – ojca, matki, brata, siostry, żony, przyjaciela, męża – się powtarzają, ale ten, kto je wypełnia, jest niepowtarzalny, wnosząc nową jakość w tę sieć społeczną, w której uczestniczy.

Gdy ktoś umrze, nie da się uzupełnić jego miejsca w sieci społecznej. Nie można zastąpić danego człowieka bowiem jako ojca, brata, siostry czy męża, gdy już nim był, drugi mąż to nie pierwszy, drugi przyjaciel to nie ten, który kiedyś umarł. Dlatego role się powtarzają, ale miejsca w sieci społecznej są niepowtarzalne i żyją wiecznie w jakiejś formie ci, którzy już byli w żywej pamięci pokoleń. Może pamięć ta jest ulotna, gdyż trwa tak długo, jak długo żyje człowiek, ale życie, które jest przekazywane wraz z tą siecią społeczną, nie umiera, przenosząc się z pokolenia na pokolenie.

Inaczej ująć trzeba nieśmiertelność kulturową. Ona dotyczy wielkich twórców ludzkiego świata i ludzkiej kultury, jest nieustannie przechowywana w naszych księgozbiorach, w historii, w muzeach czy salach koncertowych. To nieśmiertelność działań ludzkich i czynów, to nieśmiertelność ludzkich wytworów oraz wynalazków. Każdy w tym zakresie, w jakim żyje, dziedziczy i otrzymuje jakiś świat, który przekazały mu poprzednie pokolenia. Dziedziczy ich porażki i ich osiągnięcia. Nie da się ponownie wynaleźć żarówki czy Internetu. Zawdzięczamy innym ludziom całość naszych urządzeń świata, tak społecznych, technicznych, kulturowych, jak i narodowych – tym, którzy byli przed nami i którzy żyją w swoich dziełach i w pamięci narodowej czy kulturowej. Jest to nieśmiertelność należna tym, którzy byli prawodawcami i twórcami historii danego państwa oraz tworzyli zręby jego państwowości. Bohaterowie narodowi, artyści, naukowcy, twórcy wielkich religii są obecni w naszym życiu i żyją poprzez swoje dokonania mocniej, niż to sobie uświadamiamy. Taki jest sens stwierdzenia Horacjańskiego „non omnis moria", czyli „nie wszystek umrę" – nie umrę zupełnie, zostawię bowiem po sobie pomnik trwalszy niż ze spiżu, bo duchowy, moja poezja mnie unieśmiertelni.

Dokonania ludzkiej myśli i ludzkie czyny żyją dłużej niż ich twórcy i zostawiają trwały ślad na historii narodu czy ludzkiego świata w ogóle. Ludzkość, przechowując pamięć o wielkich twórcach, oddaje im ich nieśmiertelność po śmierci w formie uczestnictwa w kulturze i świecie, którzy oni tworzyli. Ta nieśmiertelność kulturowa jest dziedziczona przez następne pokolenia i przekazywana w postaci tradycji, jako dorobek wielu pokoleń ludzkości.

Pamięć i jej kultywowanie

Współczesny świat hołduje jednostkowości i samowystarczalności człowieka. Zostajemy zachęcani do uczenia się niezależności i wiary w to, że samodzielnie możemy osiągnąć najwyższe (dla nas) cele. Nie wiedząc nawet kiedy, dajemy się tym samym wciągnąć w pułapkę – odcinamy się od innych ludzi, stajemy się coraz bardziej samotni, innego człowieka zaczynamy postrzegać raczej jako zagrożenie niż kogoś Drugiego, kogoś ważnego. Przestajemy czuć wdzięczność względem innych ludzi, których spotykamy na swojej drodze, wolimy bowiem wszystko zawdzięczać sobie. Niestety odnosi się to także do ludzi, z którymi wiążą nas rodzinne więzy. We współczesnych czasach nie spotykamy się już tak często z bliskimi, zajęci swoimi sprawami nie mamy dla nich czasu. Kiedyś ludzie widywali się po to, by rozmawiać, by w opowieściach przywoływać tych, którzy są już nieobecni. Bowiem chociaż życie człowieka rozciąga się między jego własnym początkiem i własnym końcem, to jego historia nie zawiera się w granicach wytyczonych przez jego narodziny i śmierć. Nie zaczyna się i nie kończy wraz z nimi, lecz włącza się w historię rodziny, miasta, państwa. Oprócz pamięci indywidualnej istnieje wszak pamięć zbiorowa. Historia życia człowieka dziedziczy przeszłość przodków i staje się częścią historii potomków. Sama też sięgać może tam, gdzie sięga pamięć. Trzeba o niej opowiadać – po to, żeby nie zapomnieć. Tyle, ile pamiętamy, i o ile pamiętamy. Przywoływanie w opowieściach wynurzanych z pamięci jest sposobem na unieśmiertelnienie tych, którzy wprawdzie odeszli, lecz odżyją tylekroć, ilekroć są wspominani.

Listopadowe święta, Dzień Wszystkich Świętych i dzień zaduszny, to czas, w którym w szczególny sposób czcimy życie i śmierć osób nam bliskich. Oni odeszli, ale w tych dniach wspominamy ich w szczególny sposób, pragniemy kultywować naszą o nich pamięć. W Dzień Wszystkich Świętych Kościół wspomina tych, którzy cieszą się już obecnością Boga, osiągnęli stan zbawienia i przebywają w Niebie. Kościół oparty jest bowiem na pamięci – tych, z którymi związani jesteśmy przez więzy chrztu, a którzy uświadamiają nam, na czym polega świętość, kim jesteśmy my sami i do jakiej wielkości i doskonałości jesteśmy powołani. Dzień zaduszny to czas modlitwy za wszystkich zmarłych, zwłaszcza za dusze przebywające w czyśćcu, szczególnie więc naszej modlitwy potrzebujące. Dni te mogą też skłaniać nas do refleksji: co my pozostawimy po sobie? ■

eprasa.pl c90328c217

Małgorzata Matuszak

Czym jest... wdzięczność

Z jednej strony ceniona przez wielu myślicieli starożytnych, obecna w wielu systemach religijnych i filozoficznych, w literaturze, zwłaszcza w poezji, z drugiej – wciąż skrywająca się w cieniu racjonalno-naukowej wizji człowieka, często zapomniana lub wręcz ignorowana, przez długi czas nie uzyskała wdzięczność takiego statusu, na jaki zasługuje.

Pod koniec XX wieku nastąpił renesans pojęcia wdzięczności. Za sprawą przedstawicieli psychologii pozytywnej, psychologii religii i duchowości, wdzięczność zaczęła być postrzegana jako bardzo ważny atrybut człowieka. Jeśli bowiem weźmiemy po uwagę, jak bardzo postawa wdzięczności przyczynia się do dobrostanu człowieka, jak bardzo jest cenna na wielu poziomach naszego życia, szybko dojdziemy do wniosku, że powinniśmy ją wzmacniać i pielęgnować w sobie jako jedną z najważniejszych. Nie bez powodu Cyceron uważał ją za najwyższą z cnót i matkę wszystkich pozostałych, a współcześnie Sam Keen pisze o jej roli w życiu człowieka w ten sposób: „Im większym stajesz się koneserem wdzięczności, tym mniej padasz ofiarą niechęci, depresji i rozpaczy. Wdzięczność niczym eliksir stopniowo rozpuści skorupę twojego »ja« – zachłanność i potrzebę władzy – przemieniając cię w istotę szczodrą. Dzięki wdzięczności dokonuje się zaiste alchemiczna reakcja duchowa, pod wpływem której stajemy się wspaniałomyślni, wielkoduszni".

Wdzięczność jest reakcją, która pojawia się w określonej sytuacji – jest odpowiedzią na dar. By się pojawiła, osoba obdarowana musi ów dar dostrzec i go docenić, stąd reakcję emocjonalną poprzedza proces poznawczy, obejmujący zauważenie i ocenienie gestu ze strony darczyńcy. Uczucie wdzięczności zależy więc od naszych umiejętności w kilku obszarach naszego życia. Od naszej świadomości tego, co jest, a jednocześnie od umiejętności dostrzeżenia, że nie jest to konieczne, gdyby bowiem było konieczne, nie moglibyśmy postrzegać tego jako dar, ale jako coś, co musiało się wydarzyć i co niejako nam się należy. Zależy ono również od naszej aksjologii, a więc zdolności wartościowania rzeczywistości i postrzegania czegoś jako wartości. Zależy wreszcie wdzięczność od naszej umiejętności bycia szczęśliwym. Jednocześnie, zwrotnie, wdzięczność pozwala nam być szczęśliwymi. Daje naszemu szczęściu powody do zaistnienia. Jeśli bowiem czujemy się obdarzeni czymś ważnym, odczuwamy swoje bycie w posiadaniu czegoś ważnego jako wystarczający powód do szczęścia.

Wdzięczność jest dość złożoną umiejętnością. Można ją odczuwać spontanicznie, ale czasem musimy się jej nauczyć. Umiejętność ta polega na poczuciu szczęścia z powodu bycia obdarzonym czymś ważnym dla nas, co otrzymało się w darze od innych ludzi bądź od Boga, czy też tym, co nam się przypadkowo wydarzyło, ale przecież nie musiało się zdarzyć. Ze względu na źródła i okoliczności pojawiania się tej emocji wyodrębniamy bowiem dwa jej rodzaje: wdzięczność personalną, odnoszącą się do konkretnych osób i działań, i transpersonalną, wykraczającą poza świat relacji międzyludzkich, ukierunkowaną w stronę tego, co poza bądź nad nami. Analizowana może być stąd wdzięczność z dwóch perspektyw: horyzontalnej, jako odpowiedź na dar od kogoś drugiego, i wertykalnej, odsłaniając nasze relacje z Bogiem, losem czy naturą.

> WDZIĘCZNOŚĆ JEST REAKCJĄ, KTÓRA POJAWIA SIĘ W OKREŚLONEJ SYTUACJI – JEST ODPOWIEDZIĄ NA DAR.

Wdzięczność wystawia nas na przeżywanie rzeczywistości jako nieustannego cudu, gdzie to, co jest, dzieli tylko krok od nieistnienia, a jednak jest. I ten zdumiewający fakt bycia może już być powodem do wdzięczności, gdyż stoi on u podstaw wszelkiego rozumienia tego, że coś jest ważne. Gdyby nie było czegoś, nie moglibyśmy bowiem przypisać mu wartości, a to, że jest, wbrew niejako swej niekonieczności, czyni również jego istnienie samo w sobie czymś ważnym. Gdybyśmy zaś na naszej drodze życia nie spotkali tych ludzi, których dane było nam spotkać, nie bylibyśmy tym, kim jesteśmy. Stajemy się sobą przecież również dzięki tym ludziom, którzy pomagają nam w tym procesie, nie tylko dzięki własnym staraniom. ■

eprasa.pl c90328c217

KIM JEST GULO?

Jacek Rutkowski

Kim jest Gulo? Każdym. Kim początkowo był w powieści „Quo vadis"? Nikim. Kim się stał w toku tej książki? Kimś. Tak parafrazując słynne słowa Emmanuela Sieyèsa, otwierające przedrewolucyjny pamflet pod tytułem „Czym jest stan trzeci?", można streścić dzieje najciekawszego spośród trzecioplanowych bohaterów powieści Henryka Sienkiewicza.



eprasa.pl 6983



FOT. WIKIMEDIA

Gulo, niewolnik Winicjusza, pojawia się na kartach książki tylko na chwilę, żeby zaraz zginąć – dalej w ciągu całej powieści pojawia się natomiast jeszcze kilkukrotnie, aby posłużyć jako egzemplifikacja procesu uczłowieczenia jednostki i uzyskania przez nią uznania. Ten proces stał się później niezwykle istotny w klasycznej filozofii niemieckiej. Według Hegla stanowi on kanwę i osnowę dziejów: rozwój ducha (Geist) w świecie polega na postępie w walce o uznanie. Ze względu na ograniczone miejsce pominę tutaj Hegla, by zająć się jego koncepcją i jej konsekwencjami we współczesnym świecie w późniejszych artykułach. Tymczasem wróćmy do Gula.

Krótkie dzieje Gula

O samym Gulu wiemy bardzo mało, jest on uczestnikiem tylko jednej sceny. Oto Winicjusz płonie żądzą do pięknej Ligii, córki królewskiego rodu, wysłanej cezarowi jako zakładniczka z barbarzyńskiego plemienia Ligów. Za pomocą starannie przygotowanego podstępu Ligia ma już niebawem pojawić się na wspaniale i wykwintnie urządzonej uczcie u Winicjusza. Ten jednak nie dba ani o ucztę, ani o jej wspaniałość, chce tylko Ligii, jej ciała i pocałunków. Zrywa się na każdy dochodzący z zewnątrz dźwięk, o mało co nie wybiega Ligii na spotkanie, mimo że kłóciłoby się to z wymogami dobrego wychowania. Tymczasem wokół lektyki Ligii zaczynają gromadzić się dziwnie milczący ludzie: to Ursus, wierny sługa Ligii, wraz z towarzyszami. Przybyli odbić swą panią z pogańskich rąk. Potężny Ursus sam jeden rozprawia się z obrońcami, nie mają oni najmniejszych szans na opór przeciwko temu rosłemu barbarzyńcy z dalekiej Północy. Ligia zostaje odbita i w tym momencie wkracza na scenę Gulo. To jeden z niewolników Winicjusza, którzy mieli doprowadzić Ligię do jego domu. Trzeba teraz oznajmić panu straszną nowinę, że dziewczyna została odbita. Winicjusz znany był ze swej gwałtowności i skłonności do okrucieństwa, toteż niewolnicy dywagują niespokojnie nad tym, kto mógłby oznajmić panu, co się stało, wychodząc przy tym bez szwanku. „Gulo niech oznajmi – zaczęło szeptać kilka głosów. – Krew mu płynie, jak i nam, z twarzy i pan go kocha. Gulowi bezpieczniej od innych". W jakim sensie „kocha"? Nie wiadomo. Dość, że Gulo Winicjusza „nosił na ręku i pierwszy uczył, jak strzałę na łuk nakładać", jak się później dowiadujemy. Towarzyszył zatem Winicjuszowi od pierwszych lat życia, był jego przewodnikiem, nauczycielem, pomocnikiem. Teraz doczekał się już stosunkowo spokojnej starości. Możemy przypuszczać, że jako zasłużony niewolnik wykonywał tylko pomniejsze posługi i wzbudzał respekt u młodszych niewolników.

Tak zatem Gulo mógł ze spokojem wyglądać dnia następnego i pogodnie patrzeć w przyszłość – na ile niewolnik w ogóle mógł sobie pozwolić na takie przyjemności.

0328c217

Tymczasem jednak nie wypełnił rozkazu przyprowadzenia Ligii. Nie mógł oczywiście nic zrobić, nec Hercules contra plures. Zbójcy mieli przewagę liczebną, a przy tym ten Ursus! Żeby objąć jego muskuły, potrzeba by kilku mężczyzn! Ursus, który w ligijskich lasach potykał się dla rozrywki z niedźwiedziami, turami i żubrami! Nie, stanowczo, żadna obrona nie wchodziła w grę, nie dało się przyprowadzić Ligii. Gulo powinien być bezpieczny.

Wchodzą więc wszyscy. Żeby przygotować pana na przyjęcie żałosnej nowiny, zaczynają jęczeć i biadolić. Winicjusz widzi, że coś się musiało stać. Drży, mieni się na obliczu, po czym, krzycząc, pyta, gdzie jest Ligia. Wtedy, zgodnie z umową, Gulo wysuwa się naprzód i mówi: „Oto krew, panie! Broniliśmy! Oto krew, panie, oto krew!… Lecz nie zdołał dokończyć, gdyż Winicjusz chwycił brązowy świecznik i jednym uderzeniem strzaskał czerep niewolnika, po czym objąwszy się za głowę rękoma, wpił palce we włosy, powtarzając chrapliwie: Me miserum! Me miserum!…".

A zatem mord. Gulo – wierny, kochany sługa, od niepamiętnych czasów domownik Winicjusza – został zamordowany. Za co? Ot, akurat był blisko, a pan chciał w jakiś sposób wyładować napięcie. Później Winicjusz zażyczył sobie jeszcze rózeg przez całą noc dla wszystkich niewolników. Chciał widzieć mięso i krew, chciał nasycić się torturami. Nie mógł zaspokoić jednej żądzy, więc zapragnął zaspokoić inną – żądzę krwi. Taki kaprys. W oczach prawa był oczywiście zupełnie niewinny. Pater familias był panem życia i śmierci nie tylko swoich niewolników, lecz także swych dzieci. Mógł dowolnie dysponować ich losem selon son bon plaisir, jak później mówiono o królach Francji, według swojego widzimisię.

Inni stali się ludźmi

Gulo znika równie szybko, jak się pojawia. Od jego pojawienia się w powieści do nagłej i niespodzianej śmierci mija zaledwie pół strony. Najciekawsze są jednak jego losy pośmiertne. Tuż po opisanych wydarzeniach Petroniusz przypadkiem wspomina o Gulu w rozmowie. Winicjusz mówi wówczas: „Chciałem go nawet wyzwolić, lecz mniejsza z tym. Mówmy o Ligii". Co za łatwość w przechodzeniu od Tanatosa do Erosa! Mniejsza o człowieka, któremu wczoraj strzaskałem czerep i zaprowadziłem do Hadesu, mówmy o moich miłostkach! Lecz właśnie te miłostki sprawią, że Winicjusz wróci do sprawy Gula. Oto pod wpływem Ligii Winicjusz poznaje naukę Chrystusa. Dowiaduje się, że trzeba z całej duszy kochać Boga, który jest miłością, a bliźniego swego jak siebie samego. Nie jest na razie w stanie przyjąć tej nauki – on, kwiryta rzymski, któremu zostało powierzone panowanie nad światem! Miałby kochać barbarzyńców! Niewolników! Z czasem dzięki Ligii przebija się do jego głowy pewna zaskakująca myśl: że otaczające go istoty są ludźmi. Ludźmi, czyli istotami rozumnymi, czującymi, godnymi szacunku i miłości. Winicjusz pisał w liście do Petroniusza: „Zamknąłem się samotny w bibliotece i tam przyszły mi jeszcze dziwniejsze myśli do głowy, mianowicie, że po tym, co słyszałem i widziałem między chrześcijanami, nie godzi mi się postępować z niewolnikami tak, jak postępowałem dotąd, i że to są także ludzie". Po dwóch tysiącach lat stało się to tak oczywiste, że zrozumienie innej perspektywy wymaga niemałego wysiłku. Jest to wspaniale widoczne w jednych z najstraszniejszych słów, jakie kiedykolwiek wypowiedziano, w przemówieniu Heinricha Himmlera do gruppenführerów. Himmler mówi, że „uczciwi, przyzwoici, wierni, koleżeńscy, mamy być tylko wobec ludzi naszej własnej krwi, wobec nikogo więcej. My, Niemcy, mamy przyzwoity stosunek do zwierząt. Dlatego również nasz stosunek do tych człowiekozwierząt będzie przyzwoity". Niemcy musieli stłumić w sobie naturalne dla każdego wyrosłego w świecie przesiąkniętym chrześcijaństwem uznanie drugiego człowieka jako człowieka, odczuwanie dla niego empatii. Żeby jakoś złagodzić powstające w sumieniu wyrzuty sumienia, wynikające z – nomen omen – nieludzkiego traktowania narodów podbitych, zastosowano iście szatański zabieg językowy: ludzi nazwano „człowiekozwierzętami".

Winicjusz musiał się przełamywać w drugą stronę. Zamiast uznawać, że pewne istoty tak naprawdę nie są ludźmi, spostrzegł, że pewne otaczające go istoty są przecież ludźmi. Dla Winicjusza ta myśl stanowiła wielkie odkrycie, niczym poznanie nowego kontynentu. Zaczął tym odkryciem igrać, obracać nim na różne strony, badać. Postanowił – nie z wyrachowania, ale jakby dla sprawdzenia, co też się stanie – zmienić postępowanie ze swymi klientami (Winicjusz jako możny patrycjusz miał licznych klientów). Zamiast traktować ich wyniośle i z pewną pogardą, zaczął zwracać na nich uwagę: na ich wytarte płaszcze i wygłodniałe twarze. I oto bezwzględny wojak, dumny arystokrata, poczuł względem tych żebraków litość. „Kazałem im dać jeść, a nadto mówiłem z nimi; nazwałem kilku po imieniu". Klienci, pozostający wcześniej bezładną masą proszących o pomoc, zyskali imiona. W oczach Winicjusza stali się ludźmi, stali się kimś.

Gulo zyskuje osobowość i uznanie

Również Gulo, spoczywający już w grobie, domagał się uznania. Wymagała go poznawana przez Winicjusza nauka chrześcijańska. Miłosierny Samarytanin ujrzał na drodze pobitego do nieprzytomności Izraelitę i pomógł mu. Bliźni to ten, który jest na drodze, którego się spotyka, który jest blisko. Greckie słowo πλησίος tłumaczy się jako bliźni, ale oznacza ono również sąsiada. Człowieka, który akurat jest obok, którego się nie wybiera. Niekoniecznie ten, który ma dużo pieniędzy albo ma dostatecznie wysokie pochodzenie czy wykształcenie. Również niewolnik to bliźni. Ta myśl rozsadzała od środka głowę Winicjusza, od kiedy tylko ją poznał. Myśl, która odnawia oblicze ziemi.

eprasa.pl c90328c217

„Oto czynię wszystko nowe" (Ap 21, 5). Petroniusz nigdy nie będzie mógł się zgodzić z tym wywyższeniem niewolników i z przykazaniem miłości do wszystkich ludzi. W liście do Winicjusza pisał: „Wasza nauka nie dla mnie. Mamże miłować Bityńczyków, którzy noszą moją lektykę, Egipcjan, którzy palą w moich kąpielach, Ahenobarba i Tygellina? Nie potrafię. W Rzymie jest co najmniej sto tysięcy ludzi mających albo krzywe łopatki, albo grube kolana, albo wyschłe łydki, albo okrągłe oczy, albo za wielkie głowy". Dla tego estety jest nie do zniesienia, by miał choćby na chwilę zająć swą myśl istotami tak pozbawionymi powabu i uroku jak noszący jego lektykę Bityńczycy czy ludzie z krzywymi łopatkami. Uznaje swą wyższość za naturalną, wielu ludzi budzi w nim niechęć, to dla niego istoty niższej kategorii. Znamienna jest scena, gdy przechadza się z Winicjuszem po Rzymie i staje im na drodze natrętny pijany gladiator, który krzyczy: „Chrześcijanie dla lwów!". Petroniusza ogarnęła irytacja: „Przyjacielu – rzekł – cuchniesz winem i zawadzasz mi. I tak mówiąc, wbił mu w pierś aż po rękojeść krótki mieczyk, w który uzbroił się, wychodząc z domu, po czym wziąwszy pod rękę Winicjusza, mówił dalej, jak gdyby nic nie zaszło". O ile Winicjusz zabił Gula w afekcie i nie panując nad swymi czynami, o tyle Petroniusz wpędza do grobu gladiatora, będąc w pełni władz umysłowych, całkowicie nad sobą panując. O ile Gulo ma dalszą historię w wyrzutach sumienia Winicjusza, gladiator przemija bez pamięci. A przecież i on miał swoje pragnienia, swoje aspiracje, znajomych, przyjaciół. Zniknął jak trawa polna, gdyż „cuchnął winem i zawadzał".

Winicjusz też z początku jest oporny względem nowej nauki, względem myśli, że drugi to bliźni. Później jednak sam spróbował postępować z miłością w stosunku do bliźnich i ujrzał obfite owoce takiego postępowania, zarówno wewnętrzne, we własnym sumieniu, jak i zewnętrzne. Okazało się, że niewolnicy, którym wyświadcza się łaskę, pracują pilniej. Gdy Winicjusz zamiast ukarać przewinienie, przebaczył opieszałym niewolnikom, oni zaczęli tym skwapliwiej pracować. Nigdy strach nie pobudzał ich tak do służby jak wdzięczność. Jak powiedział Winicjuszowi święty Paweł: „Silniejszą obręczą jest miłość niż groza". Dzięki nowej postawie duchowej Winicjusza Gulo niejako wstał z martwych. Dzięki nawróceniu swego pana zyskał po śmierci osobowość i uznanie. Winicjusz pisał w liście do Petroniusza: „Wiedz także, że kazałem rzeźbiarzowi obrobić kamień grobowy dla Gula, którego zabiłem w gniewie. Za późno przyszło mi na myśl, że on jednak na ręku mnie nosił i pierwszy uczył, jak strzałę na łuk nakładać. Nie wiem, dlaczego zbudziła się teraz we mnie pamięć o nim, podobna do żalu i do wyrzutu…".

Niewolnictwo w cywilizacji łacińskiej

My jednak wiemy, że ta myśl zbudziła się w Winicjuszu dzięki chrześcijaństwu. Według Feliksa Konecznego zniesienie niewolnictwa należy do podstawowych postulatów cywilizacyjnych etyki katolickiej, obok małżeństwa monogamicznego, zniesienia msty oraz wyższości siły duchowej nad materialną. Te cztery postulaty wbijają się niczym klin w każdą cywilizację, a cywilizacja łacińska jest na nich oparta. Mniej chodzi tu nawet o niewolnictwo samo w sobie, ile raczej o pewną postawę duchową, z której w sposób konieczny wynika dążenie do zniesienia niewolnictwa. W liście do Filemona święty Paweł nie tyle prosił o wyzwolenie Onezyma, ile żeby Filemon i Onezym stali się „umiłowanymi braćmi". Wolno mielące młyny Kościoła wywiodą później z tego nakazu postulat całkowitego zniesienia niewolnictwa – umiłowany brat nie może być przecież niewolnikiem. W każdym razie mniej chodzi o instytucję niewolnictwa samą w sobie, ile raczej o postrzeganie drugiego człowieka jako człowieka, jako umiłowanego bliźniego. Feliks Koneczny wskazuje, że żaden misjonarz nie znosi niewoli od razu. Powolność i stopniowość jest tu wskazana choćby ze względu na dobro niewolników, którzy mogliby nagle stracić źródło utrzymania. Kluczowa jest zasada miłości, za którą stoi zniesienie niewolnictwa.

Nasza współczesna cywilizacja przypomina szkielet bez ciała; za fasadowym zniesieniem niewolnictwa w szumnie ogłaszanych prawach człowieka (a ostatnio też w prawach zwierząt czy prawach drzew – sic!) odchodzi coraz dalej od ewangelicznego nakazu miłości bliźniego. Wynika to z faktu, że nie możemy wciąż jeszcze otrząsnąć się z grozy, jaką niesie ze sobą samo słowo „niewolnik". Mamy przed oczyma niewiarygodne poniżenie, Spartakusa, nagłą śmierć bez jakiegokolwiek sądu. Dwa tysiące lat cywilizacji łacińskiej odcisnęły swe piętno. Dlatego konieczne jest obmyślanie form zastępczych, w których niewola nie zostaje nazwana po imieniu, aby nie drażnić ucha. Według Hilarego Belloka, przyjaciela Chestertona, światowa plutokracja, rosnąca władza międzynarodowych korporacji oraz zmniejszanie własności prywatnej prowadzą nieuchronnie do państwa *de facto* niewolniczego. Zależność zwykłego obywatela od obracającymi potężnymi kapitałami grup staje się coraz większa. Mógłby ktoś spytać, co to właściwie za problem, że taka zależność rośnie? Dlaczego właściwie nie poświęcić trochę wolności czy prywatności na przykład dla zwiększenia bezpieczeństwa? W starożytnym Rzymie można było sprzedać się w niewolę w celu spłaty długów albo dla zyskania opieki. Teraz jest to zakazane przez prawa człowieka, jednak w cywilizacji, głoszącej wiarę w prawa człowieka bez wiary w prawdę i dobro, taki zakaz nie ma żadnego oparcia, obraca się w beznadziejnej próżni. Tylko patrzeć, aż okaże się, że w niewolnictwie nie ma nic złego, ale ze względu na złą sławę tego słowa trzeba będzie to pewnie nazwać jakoś inaczej. Osobiście postawiłbym na „junior freedom consultant" [„młodszy konsultant ds. wolności" – przyp. red.]. ■

eprasa.pl c90328c217

Piotr Lisiewicz



Wolę zginąć jako Polak, niż żyć jako zdrajca

Bronisław Czech malował w swoim domu w Zakopanem tatrzański pejzaż, gdy do jego drzwi załomotał Sepp Röhrl, Austriak, przedwojenny trener polskich narciarzy. Teraz chodził po Zakopanem w mundurze Gestapo. Złożył polskiemu mistrzowi nart, olimpijczykowi, propozycję nie do odrzucenia: albo zgodzi się trenować niemieckich juniorów, albo trafi do Auschwitz. Ten stanowczym tonem odmówił: „Wolę zginąć jako Polak, niż żyć jako zdrajca". Wściekły gestapowiec wyszedł. Już w Auschwitz, gdzie Czech zaangażowany był w konspirację organizowaną przez Witolda Pileckiego, usłyszał propozycję trenowania Niemców jeszcze raz i mimo złego stanu, ponownie powiedział „nie". Zginął w obozie z wycieńczenia.

eprasa.pl c90328c217



FOT. NAC

eprasa.pl c9c228c217

Był maj 1940 roku. Według kalendarza była wiosna, ale niebo miało barwę ołowianoszarą, a otaczające miasto góry omiatał ostry, północno-wschodni wiatr. Bronisław Czech siedział w swoim domu i malował tatrzański pejzaż. To przecież była jego pasja, jedna z wielu. Nagle łomotanie do drzwi… Po drugiej stronie stał średniego wzrostu mężczyzna, chudy jak śledź. Twarz jego była wąska i ostra. Bronisław znał tę twarz jeszcze sprzed wojny. Należała do jego kolegi Seppa Roehrla" – tak opisują to zdarzenie Przemysław Słowiński i Teresa Kowalik w książce „Bohaterowie Auschwitz".

Kolega trener w mundurze Gestapo

Skąd obaj panowie się znali? Kilka lat wcześniej Polski Związek Narciarski otworzył na Kasprowym Wierchu Szkołę Narciarstwa Zjazdowego. Obaj zostali w niej trenerami. „Bronisław od początku nie darzył go sympatią. Raził go brak kultury osobistej i butne zachowanie Austriaka, patrzącego na Polaków z wyraźną wyższością. Ale jego wiedzy fachowej nie mógł nic zarzucić" – piszą Słowiński i Kowalik. Jak się okazało, intuicja nie myliła polskiego mistrza. Bo Roehrl realizował w Zakopanem także inne zadania. Zawzięcie rozpracowywał polskich patriotów. Wyszło to na jaw, gdy po wkroczeniu Niemców zaczął chodzić po Zakopanem w niemieckim mundurze.

„Na tyle dobrze opanował język polski, że służył za tłumacza w trakcie brutalnych przesłuchań prowadzonych w hotelu Palace, gdzie hitlerowcy urządzili siedzibę tajnej policji. Niemało młodych zakopiańczyków wpadło w ręce Niemców dzięki wskazaniom Seppa Roehrla. Pracując przez kilka lat w Zakopanem, doskonale orientował się w nastrojach tutejszej młodzieży, którą tak niedawno szkolił na stokach Kasprowego Wierchu. Wiedział, kto może chwycić za broń, zejść do podziemia, ruszyć w Tatry z misją kurierską czy w inny sposób zagrozić interesom III Rzeszy" – czytamy w książce „Bohaterowie Auschwitz".

Do tych, którzy zajmowali się misjami kurierskimi, należał Bronisław Czech. Gestapowiec nie rzucał słów na wiatr. Legendarny polski narciarz znalazł się wśród pierwszych 728 polskich więźniów przetransportowanych z Tarnowa do nowo powstającego obozu Auschwitz. Jak relacjonował współwięzień Tadeusza Baudyna, Niemcy w obozie zaproponowali Czechowi szkolenie strzelców alpejskich. Znowu odmówił, choć śmierć była już blisko.

Rekordzista, malarz, poeta

Był jednym z najwybitniejszych sportowców przedwojennej Polski. Absolutnym rekordzistą, bo aż 24 razy zdobywał tytuł mistrza Polski w konkurencjach narciarskich. Trzy razy reprezentował Polskę na zimowych igrzyskach olimpijskich. Był też najbardziej wszechstronnym narciarzem swoich czasów.

„Był skoczkiem narciarskim, biegaczem, narciarzem zjazdowym, ale także lekkoatletą, szybownikiem i grał doskonale w ping-ponga. Co więcej, realizował się jako artysta, pięknie malował i pisał wiersze. Śmiało można powiedzieć, że Czech był połączeniem Kamila Stocha, Justyny Kowalczyk, Sebastiana Kawy i Andrzeja Bargiela, bo też uprawiał turystykę i narciarstwo ekstremalne" – mówił o nim Kamil Siemiradzki z Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie w Polskim Radiu. Nic dziwnego, że sportowca i trenera tej klasy chcieli pozyskać Niemcy.

Narty zrobił samodzielnie, mając 8 lat

Urodził się 25 lipca 1908 roku w Zakopanem, stolicy polskiego narciarstwa. Był synem Józefa, mechanika kotłowego i palacza w Wodoleczniczym Zakładzie doktora Andrzeja Chramca, a także skrzypka i znanego cyklisty, oraz Stanisławy z Namysłowskich – hafciarki o talencie artystycznym. Miał troje rodzeństwa: brata Władysława, również narciarza i taternika, oraz siostry – starszą Stanisławę i młodszą Janinę. Obie malowały na szkle, były narciarkami i taterniczkami.

„Nie był góralem z dziada pradziada. Do Zakopanego jako pierwszy przybył ojciec Bronka, Józef, z zawodu kotlarz. Zamieszkał tam ze swoją żoną Stanisławą. Dzieci Czechów przyszły na świat w niewielkim góralskim domku przy ul. Chramcówki… Bronka posłano do Szkoły Ludowej Męskiej w Zakopanem. Po jej ukończeniu przez pół roku uczył się w prywatnym gimnazjum, ale musiał przerwać naukę ze względu na kłopoty finansowe, w które wpadła rodzina" – piszą o jego początkach Magdalena Stokłosa i Aleksandra Wójcik, autorki książki „Sportowcy dla Niepodległej". Potem uczył się w Szkole Przemysłu Drzewnego w Zakopanem zawodów praktycznych: najpierw ślusarstwa, a później ciesielstwa.

„Można przyjąć, że wszystkie dzieci w Zakopanem do dziś są trochę na tę pasję skazane. Wtedy, w pierwszych latach XX w., konstruowały narty samodzielnie. Tak samo zrobił ośmioletni Bronek. Latem odbywał pierwsze wycieczki w góry i spróbował wspinaczki" – piszą o ówczesnych czasach Stokłos i Wójcik. Halina Zdebska, autorka książki „Bohater sportowy. Studium indywidualnego przypadku Bronisława Czecha", pisze, że to 1920 rok, gdy Polacy pokonali bolszewików, był przełomem, czasem pierwszego zwycięstwa 12-letniego Bronka. Do biegów płaskich zgłosił się z pożyczonymi od starszego brata nartami. Gdy wrócił z zawodów, miał już własne, bo były one nagrodą w konkursie, którą odebrał w siedzibie zakopiańskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół".

Ale rozwijał się nie tylko sportowo. „Sport nie przesłaniał mu całego świata. Może po mamie, która była utalentowaną hafciarką, odziedziczył zamiłowanie do sztuki. Jako nastolatek trafił do klasy rzeźby Państwowej Szkoły Przemysłu Drzewnego, jednak to malarstwo okazało się

eprasa.pl c90328c217

jego ukochaną formą wyrazu. Najbardziej lubił malować na szkle motywy tatrzańskiej przyrody, górali i zbójników" – czytamy w „Sportowcach dla Niepodległej".

Narciarz ekstremalny

Pierwszy poważny start Bronisława Czecha na nartach miał miejsce 18 stycznia 1925 roku na Lipkach w biegu na 5 kilometrów. Zawody zorganizowane były przez sekcję narciarską zakopiańskiego „Sokoła". Zajął w nich pierwsze miejsce w kategorii juniorów. Już w lutym zdobył w Krynicy tytuł mistrza Polski juniorów w skokach, po osiągnięciu 17 metrów oraz 17,5 metra. Tydzień później w mistrzostwach Zakopanego uplasował się na 10. pozycji.

„W 1925 r., w wieku 17 lat, został członkiem sekcji narciarskiej Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego Zakopane. W barwach klubu występował aż do roku 1936, kiedy przeszedł do krakowskiego AZS-u. Gdy czyta się zestawienia wyników sportowych Czecha, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że musiał kochać narciarstwo we wszystkich jego odsłonach. Nigdy nie ograniczył się do doskonalenia jednej wybranej dyscypliny. Uprawiał biegi (indywidualnie i w sztafecie), skoki, dwubój klasyczny (dzisiejszą kombinację norweską), biegi zjazdowe i slalom. Był również jednym z pierwszych polskich narciarzy ekstremalnych – zjeżdżał z tatrzańskich szczytów i przełęczy niezwykle stromymi żlebami i ścianami. Nic dziwnego, że prasa okrzyknęła go duszą narciarstwa polskiego" – piszą Wójcik i Stokłosa.

W 1926 roku wygrał dwa juniorskie konkursy skoków na Krokwi i przeszedł do kategorii seniorskiej. W grudniu po raz pierwszy wygrał seniorskie zawody.

Naśladowcy stylu Bronisława Czecha

W 1927 roku w mistrzostwach Zakopanego zajął już szóstą pozycję. Zaczął startować w konkursach zagranicznych. Został międzynarodowym mistrzem Austrii w kombinacji norweskiej, a w skokach osiągnął odległość 33,5 m, ustanawiając rekord skoczni w Raksie. Przeżył tam wypadek – w drugiej serii silny wiatr zniósł go cztery metry w lewo, poza nawis śnieżny. Upadł na lód i stoczył się ze stromego zbocza. W lutym wystartował w mistrzostwach świata w Cortinie d'Ampezzo. Zdobył tytuły mistrza Polski w kombinacji i w sztafecie 5 × 10 kilometrów, wygrał też mistrzostwo kraju w skokach III klasy. To już były sukcesy zauważane przez Polaków. W plebiscycie „Przeglądu Sportowego" na 10 Najlepszych Sportowców Polski zajął szóste miejsce, otrzymawszy 2956 głosów.

Wypracował swój własny styl skakania, który naśladowali inni. Jego młodszy kolega, Roman Serafin, wspominał w książce Haliny Zdebskiej: „Robił umiejętny wyrzut z progu i miał odwagę przy tym położyć się do przodu. Wyglądało to bardzo efektownie, zwłaszcza że nie kręcił jak wiatrak, a tylko wyciągniętymi do przodu rękami parę razy rozgarniał powietrze, jakby płynął. W powietrzu był lekko załamany w biodrach, silnie wychylony do przodu z lekko podniesioną głową. Narty w locie utrzymywał Bronek w idealnie równej pozycji. Taki skok wyglądał ładnie. Nic więc dziwnego, że inni zawodnicy zaczęli wnet naśladować zarówno jego styl, jak i ubiór. Skok miał bardzo lekkie i dobre lądowanie, z prawą nogą nieco cofniętą i ugiętą w kolanie".

W styczniu 1928 roku wygrał trzy konkursy skoków w Zakopanem. 22 stycznia zdobył tytuł mistrza Zakopanego w skokach, a tydzień później zwyciężył w mistrzostwach Krynicy.

Olimpijczyk na spotkaniu z Mościckim

To było już preludium do olimpijskich występów. Pierwszymi igrzyskami olimpijskimi Czecha były igrzyska w Sankt Moritz w 1928 roku. W biegu do kombinacji klasycznej zajął piąte miejsce, wyprzedzając… mistrza świata w biegach i kombinacji Otakara Německiego. W konkursie skoków swoją próbę zakończył upadkiem na 56. metrze. W drugiej serii osiągnął 60,5 m i został sklasyfikowany na 23. miejscu.

Potem, po raz pierwszy w karierze, zdobył złoty medal w mistrzostwach Polski w skokach narciarskich. Oddał skoki na 58 m i 61 m, zostając dzięki tej drugiej odległości rekordzistą Wielkiej Krokwi. Wynik ten poprawił o dwa metry rok później. Sukcesom towarzyszyła rosnąca popularność. W plebiscycie „Przeglądu Sportowego" zajął drugą pozycję (53 416 głosów), przegrywając jedynie z mistrzynią olimpijską, Haliną Konopacką.

Podczas narciarskich mistrzostw świata FIS w 1929 roku w Zakopanem wygrał w biegu zjazdowym z Kasprowego Wierchu. Rozegrano go w dwóch etapach. Pierwszy ciągnął się ze szczytu „na Halę Gąsienicową, drugi z Kopy Magury na Halę Olczyską. Pierwszy etap wygrał Czech z przewagą 18 sekund nad rywalem, Brackenem". W przerwie spotkał się z obserwującym zmagania prezydentem Rzeczypospolitej Ignacym Mościckim. Prezydent życzył mu zwycięstwa w drugim etapie. Bracken odrobił w nim 15 sekund, ale to Polak został zwycięzcą.

„Recordo mondiale"

11 stycznia 1931 roku Bronisław Czech wygrał konkurs skoków w Zakopanem. Wkrótce wraz z innym wielkim narciarzem Stanisławem Marusarzem wzięli udział w konkursie skoków narciarskich zorganizowanym we włoskiej miejscowości Ponte di Legno, gdzie Czech zajął drugie, a Marusarz czwarte miejsce.

Po zakończeniu konkursu organizatorzy zaproponowali uczestnikom bicie rekordu ich skoczni i zara-

eprasa.pl c90328c217

zem rekordu świata. Zgłosiło się tylko dwóch zawodników: Czech i Marusarz. Bronisław uzyskał 79,5 metra, ale upadł i stracił przytomność oraz doznał pęknięcia torebki stawu skokowego. Mimo to otrzymał puchar z napisem Recordo mondiale – rekord świata. „Uważałem, że skoczyłem z upadkiem, jednak sędziowie uznali ten skok za ustany ze względu na to, że upadłem dopiero po przejechaniu pewnej ilości metrów" – wspominał.

Podczas wieczornego rozdania nagród Włosi chcieli wręczyć polskiemu narciarzowi za pobicie rekordu czek na 15 000 lirów, ale to były inne czasy – polski narciarz honorowo odmówił jego przyjęcia.

Ameryka za droga dla Polaków

W 1932 roku były kolejne zimowe igrzyska, tym razem w Lake Placid, w Stanach Zjednoczonych. Wyjazd za ocean odbywał się w nerwowej atmosferze, ponieważ Polski Związek Narciarski nie miał pieniędzy. W efekcie wyjechało tylko pięciu narciarzy: Czech, Stanisław i Andrzej Marusarzowie, Zdzisław Motyka i Stanisław Skupień. W Warszawie dołączyli do nich hokeiści, w przypadku których koszty wyjazdu pokryła Polonia amerykańska. Czech był w skokach dwunasty, a w klasyfikacji dwuboju siódmy. Po igrzyskach wziął jeszcze udział w ogólnoamerykańskich zawodach narciarskich w Pittsfield i… zwyciężył w zawodach skoków.

W tym samym roku Czech zagrał w filmie Adama Krzeptowskiego „Biały ślad". Polski Związek Narciarski przyznał mu tytuł „honorowego nauczyciela narciarstwa w stopniu trenera", a w Plebiscycie na Sportowca Roku 1932 po otrzymaniu 20 009 głosów i znalazł się na piątym miejscu.

Ogółem Czech sięgał po tytuł mistrza Polski aż 24 razy. Jak wyliczają Wójcik i Stokłosa, mistrzostwo zdobywał w kilku konkurencjach: biegu na 18 km (1929, 1933), skokach na średniej skoczni (1928, 1929, 1931, 1934), kombinacji klasycznej (1927–1929, 1934, 1937), biegu zjazdowym (1929, 1932, 1937), slalomie (1936, 1937), kombinacji alpejskiej (1936, 1937) i sztafecie 5 × 10 kilometrów (1927–1933).

Chorąży polskiej reprezentacji i Hitler na honorowej trybunie

Na igrzyskach olimpijskich w Garmisch-Partenkirchen w 1936 roku Bronisław Czech był chorążym polskiej reprezentacji. Rozpoczęła je defilada przed trybuną kanclerza Adolfa Hitlera. Obok niego zasiadła niezła zgraja – Wilhelm Frick, Joseph Goebbels i Rudolf Hess. Polacy, pod przewodnictwem Bronisława Czecha, w przeciwieństwie do innych reprezentacji, nie unieśli ręki, defilując przed Hitlerem.

Od 1925 roku Bronisław Czech został taternikiem, do czego przekonał go przyjaciel, taternik Kazimierz Schiele. W 1927 roku razem z Schielem i Mieczysławem Świerzem pokonał północną ścianę Koziego Wierchu. „Był też świetnym wspinaczem, pokonał wiele tatrzańskich ścian w znakomitym stylu. Zdobył np. w 1929 roku północną ścianę Żabiego Konia. To była wtedy najtrudniejsza droga skalna w Tatrach Polskich. Bronek wykonał wtedy skrajnie trudną drogę, wykonał opis. Z pasji do gór wyrosła też inna – był ratownikiem Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego" – opowiadał historyk narciarstwa Wojciech Szatkowski w Polskim Radiu.

„Odwala ściany i granie z taką samą łatwością, z jaką pokonuje najcięższe przeszkody w zjeździe na nartach… Cieszy się i raduje swoją młodością, odwagą, pogodą" – pisał o nim „Przegląd Sportowy". W książce Haliny Zdebskiej kolega z wypraw wysokogórskich Jerzy Ustupski mówił, że Czech wspinał się po górach tak lekko jak kot.

Skoki narciarskie nad Wisłą w… Warszawie

W 1930 roku Bronisław Czech odbył służbę wojskową w 3. Pułku Strzelców Podhalańskich. Jak piszą Wójcik i Stokłosa, po jej zakończeniu złożył dokumenty na Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie, ale w ostatniej chwili wycofał się z tych planów i postanowił zostać studentem Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego. Zaś w Warszawie z tęsknoty za górami ćwiczył na sucho… skoki narciarskie. „Mamy niedaleko stromy, piaszczysty brzeg Wisły. Rzucam się z góry w dół, lecę w powietrzu kilkanaście metrów z pochyleniem i w pozycji narciarskiej, aż wreszcie ląduję na stromiźnie po kolana w piachu" – mówił reporterowi „Przeglądu Sportowego".

Dyplom ukończenia instytutu Bronisław Czech zdobył w 1934 roku. „Czech był już nie tylko zawodnikiem, ale też instruktorem. Uchodził za najlepszego w swoim fachu. Uczył zresztą i na stoku, i na sucho. W styczniu 1933 r. w studiu Polskiego Radia wygłosił odczyt »Jakim powinien być narciarz«. W przepisie Bronisława znalazły się takie elementy, jak zdrowie, dobra wola, ale i zrozumienie dla piękna górskiej przyrody. Nie zdziwiło to jego znajomych, którzy powtarzali, że góry nigdy nie były dla Bronka boiskiem sportowym służącym do bicia rekordów. Równie ważne były przeżycia duchowe i doznania estetyczne, z jakimi nieodłącznie wiąże się przebywanie w górskim otoczeniu" – piszą autorki „Sportowców dla Niepodległej".

Zawodnik-gentleman

W 1936 roku Czech został kierownikiem Szkoły Narciarstwa Zjazdowego na Kasprowym Wierchu. „Oczywiście funkcja administracyjna go nie zadowalała – pracował również na stoku jako instruktor. Był uwiel-

eprasa.pl c90328c217

biany przez uczniów, dziennikarzy, a nawet rywali (największego konkurenta ze skoczni, Stanisława Marusarza, pewnego razu uratował, gdy ten wpadł do lodowatego górskiego potoku. Przez cały czas swej długiej kariery sportowej i zawodniczej Bronek ani razu nie wyszedł z roli zawodnika-gentlemana, szczerego i dobrego kolegi, opiekuna i przewodnika młodszych, rycerskiego rywala i godnego reprezentanta barw Polski" – pisał o nim „Przegląd Sportowy".

W 1939 roku 36-letni Bronisław Czech myślał już o definitywnym zakończeniu kariery sportowej. Planował założyć rodzinę. Los zdecydował inaczej.

Kurier na Węgry i bezradni Niemcy

1 września 1939 roku Niemcy uderzyły na Polskę. „Bronek nie wahał się ani chwili. Postanowił dołączyć do polskich oddziałów próbujących odeprzeć niemiecki atak. Wspólnie z bratem pieszo dotarli do Krakowa, by stamtąd udać się na wschód. 17 września Polskę zaatakowała Armia Czerwona. Czechowie zdali sobie sprawę, że ich rozpaczliwa wyprawa nie ma sensu. Po niemal miesięcznej tułaczce powrócili do Zakopanego, w którym właśnie urządzał się niemiecki okupant" – piszą Stokłosa i Wójcik. Natychmiast przystąpił do antyniemieckiej konspiracji. Został kurierem przemycającym ludzi na Węgry. Do legendy przeszły opowieści, jak to Niemcy bezradnie obserwowali zamaskowaną postać, zjeżdżającą w ekstremalnych warunkach po dzikim zboczu góry.

Gdy odmówił kariery trenera młodych niemieckich narciarzy, Gestapo przyszło po niego 14 maja 1940 roku. Z zakopiańskiego więzienia „Palace" trafił do zakładu karnego w Tarnowie. 14 czerwca został przewieziony w pierwszym transporcie więźniów do niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz. W obozie otrzymał numer 349. Został przydzielony do pracy w Tischlerei (stolarni) i Schnitzerei (rzeźbiarni). Rzeźbił kasetki i popielniczki, a potem łyżki i buty. Uczestniczył w ruchu oporu organizowanym przez rotmistrza Witolda Pileckiego.

„Bronkowi Czechowi zawdzięczam życie"

„Listopadowy poranek w Auschwitz. Z nieba spada pierwszy tej zimy śnieg. Więźniowie tłoczą się w blokach, czekając na apel. Jeszcze przez chwilę mogą się uchronić przed przenikliwym chłodem, który czeka na nich na zewnątrz. Nagle z bloku wymyka się więzień numer 349. Dochodzi do końca placu, blisko obozowych drutów. Zwraca twarz w stronę gór. Jest obserwowany przez strażnika, któremu wydaje się, że oto kolejny więzień chce popełnić samobójstwo, stykając się z drutami pod wysokim napięciem. Nic takiego jednak się nie dzieje. Więzień klęka na idealnie białej pierzynce, która zdążyła pokryć plac. Nabiera pełne ręce śniegu. Płacze. Po chwili wstaje z klęczek i wraca do towarzyszy. Obozowy gong wybija na apel. Niemieckie krzyki, przekleństwa, przemoc. Zaczyna się normalny dzień w Auschwitz" – takie wspomnienie misterium powitania zimy w 1941 roku zanotował jego współwięzień, dr Stanisław Kłodziński, cytowany w książce „Chwała olimpijczykom".

Jak piszą Wójcik i Stokłosa, jeden ze współwięźniów Bronisława Czecha, Edmund Zabawski, po wojnie wspominał go ze wzruszeniem i wdzięcznością. Zatrudniony początkowo przy rozładunku materiałów budowlanych, szybko tracił siły i zdrowie. Został przydzielony do lżejszej pracy w stolarni, ale pewnego dnia zasłabł, ugrzązł w błocie i nie miał siły się podnieść. Zobaczywszy to, Czech szybko go podniósł i zadbał o to, by koledzy zajęli się osłabionym więźniem.

„Kiedy już wiedziałem, że to Bronkowi Czechowi zawdzięczam życie, wzbierała we mnie wdzięczność do tego człowieka, którego znałem z prasy, ze zdjęć, którego podziwiałem za wspaniałą karierę sportową… Przyniósł mi pół porcji swojego chleba. Nie chciałem wziąć, wcisnął mi w kieszeń na pożegnanie… Bronka polubiłem bardzo, był mi jak brat. Nawet po jakichś smutnych wydarzeniach w obozie starał się nas podtrzymać na duchu, rozweselić" – wspominał Zabawski w książce „Bohater sportowy. Studium indywidualnego przypadku Bronisława Czecha".

W Zakopanem musi być piękna wiosna

„W Zakopanem musi być na pewno piękna wiosna" – pisał w swoim ostatnim liście z 22 maja 1944 roku. Zmarł 5 czerwca. Rodzina otrzymała list od współwięźnia, rzeźbiarza Xawerego Dunikowskiego. „Wzruszający był moment jego zgonu. Siedzieliśmy w oknie, piękny słoneczny dzień. Przed naszym barakiem na placu obozowali Cyganie, grali bez przerwy na instrumentach rozmaite wesołe utwory muzyczne. Dowiedziawszy się od nas o nagłym zgonie p. Bronisława, przerwali granie i za chwilę zagrali Marsz żałobny Szopena" – pisał Dunikowski. Symboliczny grób Czecha znajduje się na Cmentarzu Zasłużonych na Pęksowym Brzyzku w Zakopanem.

Komuna nie zabraniała pamięci o ofiarach Niemców, tak jak było to w przypadku przyjaciół Czecha zamordowanych przez Sowietów, choć oczywiście także opowieści o ofiarach Niemców fałszowano. Od 1946 roku corocznie rozgrywany jest Memoriał Bronisława Czecha i Heleny Marusarzówny, najgłośniejsza forma jego upamiętnienia. Imię Bronisława Czecha od 1978 nosi Akademia Wychowania Fizycznego w Krakowie, a także zielony szlak turystyczny w Karkonoszach od Starej Polany do Karpacza. Jest patronem licznych szkół. 25 lipca 2008 roku Czech wrócił na Krokiew – zakopiańską Średnią Krokiew nazwano jego imieniem. ■

eprasa.pl c90328c217

Przez szesnaście miesięcy doktor Stefania Perzanowska (1896–1974) spieszyła na ratunek setkom, a potem tysiącom więźniarek Majdanka – niemieckiego obozu koncentracyjnego w Lublinie. W każdej chwili mogła zginąć, bowiem dla Niemców była tylko numerem w pasiaku. Dla współtowarzyszek niedoli natomiast – prawdziwym aniołem w piekle Majdanka, ratującym zbolałe ciała i dusze żywych jeszcze szkieletów… Sama otarła się o śmierć kilkakrotnie, raz prowadzona już nawet do krematorium, które szczęśliwym trafem w tym dniu nie działało.

Agnieszka Kowalczyk

Anioł Majdanka. Pamięci Stefanii Perzanowskiej





FOT. PAŃSTWOWE MUZEUM NA MAJDANKU

Do Majdanka trafiła wraz z pierwszym kobiecym transportem srogą zimą 1943 roku. Wśród uwięzionych były chore na tyfus plamisty, dur brzuszny, biegunkę obozową, świerzb, wycieńczone pracą ponad siły i dogorywające z głodu, otępiałe i zobojętniałe, a nawet i chore psychicznie… Z takim samym oddaniem leczyła Polki, co i Żydówki, Rosjanki, Greczynki, Angielki, Francuzki, Niemki i Dunki, kobiety stare, matki w połogu i kilkunastoletnie dziewczęta, więźniarki polityczne i kryminalne, szmuglerki i te schwytane w łapankach… Wszystkim potrzebującym służyła od pierwszego do ostatniego dnia obozowej gehenny.

Pierwsza lekarka na Majdanku

Stefania Perzanowska była więźniarką nie tylko Majdanka, lecz także Auschwitz-Birkenau, Ravensbrück i Neustadt-Glewe, patriotką, która w młodości służyła w Polskiej Organizacji Wojskowej i Ochotniczej Legii Kobiet, a po wybuchu II wojny światowej wstąpiła do Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej. W czasie okupacji prowadziła szkolenia dla kadry podziemnej służby zdrowia, potajemnie przenosiła broń i amunicję w miejsca akcji dywersyjnych, swoje mieszkanie udostępniła jako skrzynkę kontaktową Komendzie Głównej AK. W nocy z 10 na 11 listopada 1942 roku została pojmana przez gestapo. Po dwóch miesiącach aresztu i 15 przesłuchaniach znalazła się wśród 35 kobiet, które 7 stycznia 1943 roku z radomskiego więzienia załadowano do bydlęcego wagonu i wraz z setką innych wywieziono do niemieckiego obozu koncentracyjnego w Lublinie.

Konzentrationslager der Waffen SS Lublin, potocznie zwany Majdankiem od jednej z dzielnic Lublina (Majdanu Tatarskiego), utworzony został na rozkaz Heinricha Himmlera jesienią 1941 roku. Początkowo przeznaczony dla jeńców wojennych (zagłodzono tu i wymordowano 7,5 tys. jeńców sowieckich) z czasem przeistoczył się w obóz koncentracyjny i obóz zagłady, gdzie w obrębie pięciu tzw. pól więźniarskich (cztery męskie i jedno kobiece) przetrzymywano łącznie do 35 tys. więźniów. Od wiosny 1942 roku zwożono na Majdanek polskich więźniów politycznych z Warszawy, Radomia, Lublina, Białegostoku, inteligencję polską, ofiary pacyfikacji Zamojszczyzny, schwytanych w łapankach, rolników, którzy nie dostarczyli kontyngentów, a także ludność spacyfikowanych wsi Białorusi, Ukrainy i Rosji. Majdanek to zarazem obóz zagłady Żydów polskich, słowackich, czeskich, francuskich, a także pochodzących z innych krajów. Masowej eksterminacji więźniów służyło siedem komór gazowych. Jednocześnie dokonywano egzekucji przez rozstrzelanie w lesie Krępiec oraz w sąsiedztwie krematorium. Według usta-

Egzemplarz prywatny 0328c217

leń Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce (1948) spośród 500 tys. więźniów Majdanka życie straciło 360 tys., w tym 200 tys. Żydów i 120 tys. Polaków (60 proc. zmarło tzw. śmiercią obozową, 25 proc. zagazowano, 15 proc. rozstrzelano, powieszono, zabito zastrzykami).

W styczniu 1943 roku z lubelskiego dworca esesmani pognali skazańców z „piętnem więzienia i badań gestapowskich" przez śniegi i wertepy wprost na Majdanek. Na Stefanię i 300 innych więźniarek z Radomia, Kielc, Skarżyska-Kamiennej, Tomaszowa, Częstochowy, które jako pierwsze kobiety zostały tam osadzone, czekały zaśnieżone baraki z powybijanymi szybami, przerażająco zimne w środku, bez wody i kanalizacji, do spania – trzypiętrowe prycze, zamiast latryn – doły kloaczne na hulającym wietrze, do picia i mycia – śnieg.

Na ratunek chorym

Już pierwszego dnia swojego pobytu na Majdanku Stefania Perzanowska, absolwentka Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego, doświadczona internistka praktykująca w Warszawie, Radomiu i Wiedniu, usiłowała pomagać chorym, choć nie miała ani słuchawek, ani termometru, ani leków. Najgorzej było ze współwięźniarką mającą wielki ropień w gardle. Ledwo mówiła i oddychała, dusząc się coraz bardziej. Perzanowska nie miała wyboru i chwyciła za kuchenny nóż, okręciła go szmatką, pozostawiając na wierzchu tylko ostrze. „Siłą rozwieram jej usta moją lewą ręką – opowiada – a prawą celuję w ropień. Nóż był ostry, ropień nabrany i ledwo dotknęłam, strumień ropy zalał mi twarz. […] Moja chora zaczęła mówić i oddychać normalnie".

Potrzebujących pomocy ciągle przybywało, a prośby Perzanowskiej o leki, stetoskop i jakąkolwiek izolację chorych zderzały się z murem obojętności władz obozowych. Dopiero szóstego dnia od jej przybycia zjawił się w baraku niemiecki lekarz Franz Bodmann, który z chwilą gdy Stefania stwierdziła u jednej z więźniarek wystąpienie tyfusu plamistego (choć nie było jeszcze wysypki), wpadł w furię, wygrażał jej pięściami, rzucał najgorsze obelgi, po czym szybko opuścił barak. Dwa dni później zjawił się powtórnie. Kiedy okazało się, że miała rację, bowiem po zerwaniu koca z chorej, na jej ciele ujrzał wyjątkowo obfitą wysypkę, w jednej chwili zmienił się nie do poznania. Uprzejmie zaczął wypytywać Perzanowską, gdzie studiowała medycynę i czy ma jakieś szczególne życzenia. Stefania od razu zaproponowała, by przeznaczyć osobny barak na szpital oraz odizolować pacjentki z tyfusem. A że Niemcy panicznie bali się tej przenoszonej przez wszy choroby zakaźnej, więc na reakcję Bodmanna nie trzeba było długo czekać. Niemal od razu przydzielił jeden barak dla chorych, a doktor Perzanowska czym prędzej przystąpiła do organizacji szpitala obozowego dla kobiet na Majdanku.

Pierwszym krokiem było powołanie personelu medycznego. Lekarka chodziła więc od baraku do baraku i wypytywała o chętne do pracy przy chorych, mówiąc, że „jest to jedna jedyna praca w obozie wartościowa i ważna, bo pracować się będzie dla swoich, nie dla znienawidzonych Niemców". Oprócz czterech dyplomowanych pielęgniarek: Wandy Orłoś, Zofii Orlickiej, Wandy Ossowskiej i Marii Żurowskiej, zgłosiły się: absolwentka medycyny okupacyjnej Hanna Jodko-Narkiewicz, studentka medycyny Halina Cetnarowicz, chemik bakteriolog Irena Todleben, dentystka Jadwiga Łuczak i farmaceutka Józefa Wdowska oraz kilkanaście innych więźniarek bez przeszkolenia medycznego. Ze swoimi współpracowniczkami Perzanowska od razu zabrała się do montowania trzypiętrowych pryczy i napełniania sienników wiórami, tak by jak najprędzej przenieść do osobnej salki kilkanaście cierpiących na tyfus. Wspólnym wysiłkiem urządziły cztery sale dla chorych, w tym trzy zakaźne, ambulatorium, magazyn, mieszkanie dla personelu i małą kancelarię. Dzięki olbrzymiej determinacji całego zespołu szpital rozpoczął swą działalność w lutym 1943 roku.

Jeden dzień z życia „majdaniarki"

Po radomskim transporcie przyszedł następny z Pawiaka, a po nim kolejne – z więzienia lubelskiego, lwowskiego, z warszawskich łapanek… Szpitalny barak już po miesiącu nie mógł pomieścić wszystkich chorych, tak że trzeba było zorganizować drugi, a po kilku tygodniach dwa kolejne. Z czasem funkcjonowało ich 10 na 10 tys. więźniarek! Nie mogło być inaczej, bo Majdanek to obóz zagłady, którego mechanizm działania obliczony został na wyniszczenie i unicestwienie każdego człowieka-numeru. Stefania Perzanowska tak oto opisała jeden dzień z życia „majdaniarki", która prędzej czy później trafić musiała na szpitalny rewir: „Zaczyna się o piątej godzinie – w zimie jest jeszcze o tej porze ciemno. Choć niedospane i zaziębione, kobiety ubierają się szybko i sprawnie. Pasiak, pończochy […], drewniaki i chustka na głowę zawiązana pod brodą […] tak, aby żaden kosmyk nie wystawał, bo za to można dostać pejczem po głowie od esesmanki. […] Teraz już wychodzą na apel. […] każda musi mieć zawieszony na szyi, wybity na blaszce swój numer obozowy i przyczepiony do pasiaka trójkąt określający jej narodowość i rodzaj przestępstwa […]. Trzeba stać nieruchomo, na baczność, bo za każde poruszenie spada na plecy i głowy pejcz. […] Pracują po dwanaście godzin dziennie z godzinną, popołudniową przerwą. […] ogromna większość wykonuje ciężką fizyczną pracę na dworze. Często jest ona bezsensowna, ogłupiająca, jak

eprasa.pl c90328c217

kopanie i zakopywanie rowów, przenoszenie kamieni z jednej sterty na drugą, noszenie śniegu lub ziemi. […] Wieczorny apel po dwunastogodzinnej pracy jest jeszcze gorszą udręką dla obolałych pleców i ramion, dla umęczonych nóg. Po takim dniu, nawet nieogrzany barak i twarda prycza stają się kojącą przystanią". Oprócz nieludzkich warunków bytowania trzeba znosić głód, demoralizujący, „wyzwalające złe instynkty", bo czymże jest otrzymana raz na dzień mała pajdka chleba, czymże są gorzkie zioła do picia, a na obiad – nadgniła niedogotowana brukiew. Ileż to razy Stefania miała przed oczyma współwięźniarki szukające w śmietnikach i dołach kloacznych resztek jedzenia, rzucające się na spleśniałe obierki, bijące się przy pustym kotle o jego wylizywanie. Najbardziej zdesperowane jadły korę drzew i dopiero co wyrastające z ziemi źdźbła trawy. A i Stefania jak nigdy w życiu marzyła o ogromnym, pachnącym bochenku chleba.

Oprócz głodu najgorszy był panujący na Majdanku wszechobecny terror. Niemcy robili wszystko, by „doszczętnie zmaltretować, sponiewierać i doprowadzić do ruiny nerwowej te uparte w chęci przetrwania kobiety". Na porządku dziennym było więc bicie: „przy każdej okazji i bez żadnej okazji. Bicie pejczem po głowie na apelu, pięścią po twarzy, gumą lub laską na specjalnym koźle". Stefania nigdy nie zapomni, jak „pracownica szpitala, starsza siwa Halina Stypułkowska została zbita i skopana przez komendantkę obozu za to, że wiatr potargał jej siwe włosy". Bili zresztą wszyscy Niemcy na czele z kierownikiem oddziału III (więziennego) Antonem Thumannem, który w środku nocy wpadał pijany do szpitala i wyżywał się, na kim popadnie. Wśród kobiet mistrzynią w zadawaniu bolesnych ciosów była komendantka Elsa Ehrich (wcześniej pracowała jako sprzedawczyni u rzeźnika), która „biła z pasją i zimnym okrucieństwem w oczach". Gdy tylko pojawiła się w szpitalu, pod byle pretekstem wymierzała policzki. Dorównywała jej w tym nadzorczyni Hildegarde Lächert, nazywana nie bez powodu „Krwawą Brygidą". Wśród funkcyjnych z brutalności słynęła starsza obozu (Lagerälteste) Polka Żenia Piekarska, więźniarka z warszawskiego Pawiaka, reichsdeuschka, której nieodzownym atrybutem był pejcz, ze szczególną lubością wyciągany na Żydówki.

Coraz liczniej więc kobiety-cienie w więziennych pasiakach trafiały do szpitalnych baraków pod opiekę doktor Perzanowskiej. Wraz z całym personelem medycznym walczyła ona dzielnie z szerzącą się przez cały 1943 rok epidemią tyfusu plamistego, z biegunką obozową, która była tym cięższa, im kobieta słabsza i bardziej wyniszczona, z wszechobecnym świerzbem, z gruźlicą płuc, kości, kręgosłupa i skóry, z epidemią odry i ospy wietrznej u dzieci z Zamojszczyzny, z wszelkiego rodzaju awitaminozami, zwłaszcza ze szkorbutem. Leczyła najróżniejsze schorzenia internistyczne, w tym ciężkie niewydolności krążenia z ogromnymi obrzękami kończyn i wodobrzuszem. Na tygodniowy przydział dla kilkuset chorych składało się po kilkadziesiąt tabletek przeciwgorączkowych (salicylatów i sulfamidów), leki przeciwbiegunkowe (węgiel i bolus alba), leki nasercowe (po trzy ampułki cardiamidu, kofeiny i kamfory, krople walerianowe), a do tego kilkanaście papierowych bandaży, paczka gazy, ligniny i trochę maści. Otrzymywała więc mikroskopijną ilość lekarstw i środków medycznych, co powodowało, że „możliwości lecznicze były poniżej wszelkiego dopuszczalnego minimum". Tę nędzną obozową apteczkę dopełniały podrzucane od czasu do czasu z męskiego pola walizki z przeróżnymi medykamentami i narzędziami lekarskimi, jakie zebrano po selekcji żydowskiego transportu.

Beznadziejną sytuację obozowego szpitala uratowały dopiero dostawy leków, witamin i żywności dostarczane od wiosny 1943 roku przez Polski Czerwony Krzyż, a od jesieni tegoż roku także przez lubelską Radę Główną Opiekuńczą – organizacje, z którymi doktor Perzanowska ściśle współpracowała, także na polu wymiany grypsów pozwalających na kontakt więźniów z rodzinami.

▶ Batalia o więźniarki z Ravensbrück

Na początku lutego 1943 roku na Majdanek przybył transport 780 najciężej chorych więźniarek z Ravensbrück. Stefania wspominała, że „ta masa wychudzonych do ostateczności kobiet z maskami beznadziejności na twarzach […] robiła wstrząsające wrażenie. Nawet Rosjanki przywiezione ze Smoleńska z tyfusem plamistym, nawet ciągle wstrząsane dreszczami malarycznymi Greczynki z Oświęcimia wyglądały inaczej niż te nieszczęsne, półżywe manekiny". Kobiety te przeznaczone były do gazu, ale akurat w Ravensbrück popsuło się krematorium, dlatego ostatecznie wywieziono je na Majdanek. Jechały prawie trzy dni w bydlęcych wagonach, a w Lublinie wrzucono je na ciężarówki, jedną na drugą. Doktor Perzanowska wraz ze swoim zespołem przez całą noc prowadziła akcję ratunkową. Porozumienie z chorymi było niezwykle trudne, bo w transporcie znalazły się więźniarki 18 różnych narodowości, w tym: Holenderki, Dunki, Francuzki, Angielki, Belgijki, Jugosłowianki, Norweżki, Rosjanki. Najwięcej cierpiało na gruźlicę, reumatyzm, przewlekłe nieżyty jelit, stany zapalne nerek i pęcherza moczowego, potyfusowe powikłania układu krążenia z obrzękami. Na samym dnie ciężarówki, przywalona masą ciał, jechała na Majdanek półżywa młoda Belgijka, Peggy Solémé, z zaatakowanym gruźlicą kręgosłupem i uciskowym niedowładem nóg.

eprasa.pl c90328c217

W walce o ich życie Stefania mogła liczyć na PCK i RGO, które dostarczyły potrzebne leki, witaminy i odżywki, a także cukier, jabłka, beczki z kiszoną kapustą… Aby wyprowadzić z załamania nerwowego chore z Ravensbrück, Stefania postanowiła urządzić dla nich… występy artystyczne. O pomoc poprosiła Gienię Matuszewską z Lublina, która pięknie zaśpiewała „Serce w plecaku" i „Zakopaną broń". Dołączyła do niej Maria Bielicka z klimatycznymi starofrancuskimi piosenkami, a na koniec swój popisowy numer wykonała sama Stefania, recytując ulubiony wiersz „Jasio nieboszczyk", który okazał się gwoździem programu, wywołując salwy śmiechu. Wszystko to dla balansujących na granicy życia i śmierci stanowiło najlepszą terapię psychologiczną

Zespół wielkich serc

Choć stworzony przez Stefanię Perzanowską szpital obozowy w swej zewnętrznej odsłonie musiał uchodzić za „szalony prymityw", to i tak w obozie zagłady był miejscem wyjątkowym, które miało uzdrawiać także w wymiarze psychicznym. Powstała w nim „swego rodzaju zupełnie specyficzna szkoła pielęgniarska – bez wykładów, bez ćwiczeń na fantomach, a od razu praca z ciężko chorymi, i to praca odpowiedzialna". Stefania wieczorami wykładała swym uczennicom podstawy anatomii i fizjologii, zasady aseptyki, omawiała objawy najczęstszych obozowych chorób i zasady podstawowych zabiegów. Wśród przyszłych obozowych pielęgniarek, których liczba z czasem doszła do stu, były osoby bardzo młode, za które czuła się szczególnie odpowiedzialna. Cztery spośród nich zostały później lekarkami, a jedna ukończyła szkołę pielęgniarską w Warszawie.

Na swym posterunku doktor Perzanowska w początkowym okresie swego pobytu trwała w pojedynkę. W części męskiej Majdanka było wielu lekarzy rekrutujących się spośród więźniów, a na polu kobiecym – tylko ona jedna. Potem przez kilka miesięcy pomagała jej Hanka Jodko-Narkiewicz, absolwentka tajnej medycyny okupacyjnej, a po jej zwolnieniu z obozu – doktor Aglaida Brudkowska, z którą pracowała razem do końca majdankowskiego szpitala, aż do kwietnia 1944 roku. „Tak Hanka, jak i Ada były jednakowo prawe, prostolinijne, pracowite i bardzo oddane chorym", choć od anemicznej i osłabionej Ady, która ledwo trzymała się na nogach, „wymagało to ogromnego wysiłku […], co tym bardziej było cenne i godne podziwu".

Na śmierć z opaską Czerwonego Krzyża

Na krótko w obozowym szpitalu znalazła się żydowska lekarka Maria Marder, którą przysłano, by pracowała przy kontroli sanitarnej i kąpielach. Którejś nocy, płacząc, wyznała Stefanii, że na Majdanek przyjechała z Treblinki, gdzie zabrano do gazu jej synka i matkę (również lekarkę). Chciała iść z nimi na śmierć, ale jej nie pozwolono i przewieziono tutaj. Doktor Perzanowska bardzo wspierała Marię, w której powoli budziło się życie. Na Majdanek przybył też z warszawskiego getta cały kobiecy personel lekarsko-pielęgniarski ze szpitala na Czystem – 22 lekarki i 40 pielęgniarek. Rozpoczęły nawet pracę w poszczególnych barakach, ale wkrótce okazało się, że zapadły w większości na dur brzuszny i same musiały położyć się na pryczach.

Tymczasem nadszedł 3 listopada 1943 roku, jeden z najstraszniejszych dni w historii Majdanka, na który przypadło przeprowadzenie operacji „Erntefest" („Dożynki"). Tego zimnego i dżdżystego poranka cały obóz otoczyli uzbrojeni strażnicy, a na każdej wieżyczce ustawiono po trzy karabiny maszynowe. Doktor Perzanowska spodziewała się najgorszego. W południe do kobiecej części obozu wpadli esesmani i zaczęli wywoływać wszystkie Żydówki. Te, które próbowały się ukryć lub nie zdążyły wyjść z baraku, wywlekali siłą. Chore ładowano na platformy ciężarówek. Gdy Stefania próbowała okryć je na drogę kocami, komendantka Ehrich „z dzikim bestialstwem czającym się w oczach" zdzieliła ją pejczem po plecach, krzycząc, że marnuje mienie szpitalne. Perzanowska widząc ustawiany w piątki żydowski personel szpitalny, radziła lekarkom i pielęgniarkom, by wychodziły w białych fartuchach i z opaskami Czerwonego Krzyża, łudząc się, że tylko to uchronić je może przed śmiercią. W szeregu stanęła też Maria Marder, jeszcze słaba po dopiero co przebytym tyfusie. Stefania na pożegnanie zdążyła wcisnąć jej swoje uszyte z koca rękawiczki.

Następnego dnia dotarła do niej porażająca wieść, że urządzono rzeź wszystkich Żydów z Majdanka. Zginęły żydowskie lekarki, pielęgniarki, zginęła także Maria. „Kazano się Żydom rozbierać do naga w pustych barakach, a potem do ustawionych w poprzednio wykopanych rowach strzelano z karabinów maszynowych. Na słupach zainstalowane były megafony; nadawane przez nie głośno fokstroty zagłuszały jęki i strzały. Tego dnia wymordowano na Majdanku osiemnaście tysięcy Żydów". Przy życiu pozostawiono 311młodych Żydówek, po to tylko by segregowały ubrania po zamordowanych. Zginęły pół roku później w komorze gazowej KL Auschwitz.

Największy obozowy szok

Dla Stefanii Perzanowskiej jako człowieka i lekarza czymś niewyobrażalnym była postawa niemieckich lekarzy obozowych. Stwierdziła, że ich okrucieństwa i zbrodnie „były i pozostaną na zawsze w swej potwornej ohydzie czymś zupełnie bez precedensu, bo były przecież wykonywane przez ludzi o zawodzie, który w swoim godle ma wypisaną walkę z każdą zbrodnią i z każdym bestial-

eprasa.pl c90328c217

stwem". Na czarnej liście obok Franza Bodmanna, „opasłego, zwalistego, z mopsowatą twarzą bufona", który „zachowaniem swoim przypominał zawodowego pruskiego oficera", znalazł się Max Blancke, przystojny, tryskający młodzieńczą energią osobnik, w istocie bestia w ludzkiej skórze. Wcale nie interesował się chorymi, natomiast selekcji dokonywał osobiście i niespodziewanie, tak by żadnej z więźniarek nie udało się ukryć prawdziwego stanu zdrowia. „I Blancke zabierał się do roboty – starsze, mizerne, siwe lub z jakimiś opatrunkami odstawiał na lewo, do nowego piątkowego szeregu. Teraz już świadome tego, co je czeka, przerażone kobiety broniły się, jak mogły. Gdy tylko zauważył, że któraś usiłuje wysunąć się z przeznaczonego na śmierć szeregu – po prostu strzelał do niej z rewolweru. […] Kipiał w tej swojej akcji energią, rzucał się z pasją na coraz to nowe ofiary, ukazując zęby w zwierzęcym uśmiechu". Razem z Thumannem obserwował przez okienko komory przedśmiertne męczarnie zagazowywanych więźniów. W dniu zaś listopadowej masakry Żydów na Majdanku wykazywał szczególną aktywność. Największą grozę budził jednak Josef Mengele, którego zbrodnicze czyny doktor Perzanowska oglądała na własne oczy w KL Auschwitz. Widziała niejedną selekcję, którą przeprowadzał osobiście, poszukując przy okazji bliźniąt, trojaczków i karłów potrzebnych mu do pseudomedycznych eksperymentów. Gdy któregoś razu przyjechał transport węgierskich Żydów z dużą liczbą dzieci, Mengele „kazał esesmanom i więźniom kopać na poczekaniu płyciutkie rowy, tuż koło rampy. Polano je potem naftą czy benzyną i zapalono. Z ustawionych w równych szeregach wózków Mengele wyciągał dzieci i wrzucał w płomienie. […] Robił to na oczach matek ustawionych w szeregi parę metrów dalej…". Dla Stefanii Perzanowskiej zbrodnie dokonywane przez niemieckich lekarzy, którzy „swoim postępowaniem hańbili ten zawód w bezprzykładny sposób", stanowiły największy szok obozowy.

Z chorymi do KL Auschwitz

Tymczasem zbliżała się wiosna 1944 roku. Na Majdanek docierały coraz częściej wieści o wojennych klęskach Niemców, o nieuchronnie zbliżającym się końcu wojny. Toteż już w marcu zarządzona została ewakuacja wszystkich chorych do KL Auschwitz, ale bez personelu medycznego. Doktor Perzanowska nie wyobrażała sobie, by mogła opuścić chorych. Prosiła więc władze obozowe o pozwolenie na wyjazd. Blancke jednak kategorycznie odmówił, a inny lekarz obozowy Heinrich Rindfleisch odwodził ją od tej decyzji, „malując Oświęcim w najczarniejszych barwach". Stefania jednak trwała przy swoim. W sukurs przyszło jej zarządzenie, że do Auschwitz oprócz chorych może jechać 50 osób. Skompletowała więc personel medyczny, pozostawiając każdemu wolny wybór: jechać lub zostać. Na wyjazd zdecydowały się Ada Brudkowska oraz 10 młodych lekarek Rosjanek. Transport wyruszył do Oświęcimia 13 kwietnia 1944 roku. Do Auschwitz-Birkenau Perzanowska wiozła potajemnie zapasy lekarstw i sprzętów medycznych pozamykanych w walizkach, ukrytych skrzętnie pośród chorych. W KL Auschwitz wszystkie te medykamenty były na wagę złota i ocaliły wiele ludzkich istnień. Sama Perzanowska przebywała tam do 17 stycznia 1945 roku. Opuściła obóz wraz z ostatnią kolumną kobiet, uczestnicząc w „marszu śmierci" do Ravensbrück. Uwięziono ją w filii tego obozu – Uckenmark, przeznaczonego dla osób starszych i niezdolnych do pracy, a następnie w Neustadt-Glewe, gdzie 2 maja 1945 roku doczekała wyzwolenia, czuwając do końca przy swoich pacjentach.

Wolność z obozowym piętnem

Obóz pomagała jej przetrwać myśl o córce Zofii, jedynym jej dziecku, ukrywanym pod zmienionym nazwiskiem w Warszawie (ojciec Zofii, a pierwszy mąż Stefanii Waldemar Szwarcbart, był Polakiem żydowskiego pochodzenia, został zamordowany prawdopodobnie przez NKWD w Mińsku). Z nią to właśnie w czasie uwięzienia na Majdanku utrzymywała potajemną korespondencję. Po wojnie matka i córka odnalazły się w Radomiu. Stefania mogła być dumna z Zofii, która w czasie okupacji ukończyła szkołę pielęgniarską, działała w akowskim podziemiu, a jako sanitariuszka wzięła udział w Powstaniu Warszawskim. W przyszłości tak jak jej mama została lekarzem – pediatrą i psychologiem.

Po powrocie do rodzinnego Radomia Stefania została ordynatorem Oddziału Chorób Wewnętrznych Szpitala Miejskiego, założyła własną poradnię, gdzie przyjmowała bezpłatnie byłych więźniów obozów koncentracyjnych, zainicjowała też powstanie w Radomiu szkoły pielęgniarskiej, w której sama przez wiele lat wykładała. Doświadczenia obozów koncentracyjnych pozostały w niej na zawsze. Ciągle zmagała się z syndromem poobozowym, próbując się uwolnić od dręczących lęków i koszmarów. „Nienawidziłam Majdanka – napisała w swych wspomnieniach – i myśl o nim do dziś spędza mi sen z powiek, ale szpital i cały personel pozostawiły na zawsze w mojej pamięci mocne i serdeczne ślady". W nieludzkim świecie obozu znaczonym złem, zbrodnią i upodleniem szpital stworzony przez Stefanię Perzanowską był niewątpliwie tym miejscem, w którym usiłowano nie tylko ratować człowieka, lecz także tym, które zaświadczało o istniejącym wciąż człowieczeństwie. ■

Źródło: S. Perzanowska, „Gdy myśli do Majdanka wracają. Wspomnienia lekarki z obozu koncentracyjnego w Lublinie", Warszawa 2022.

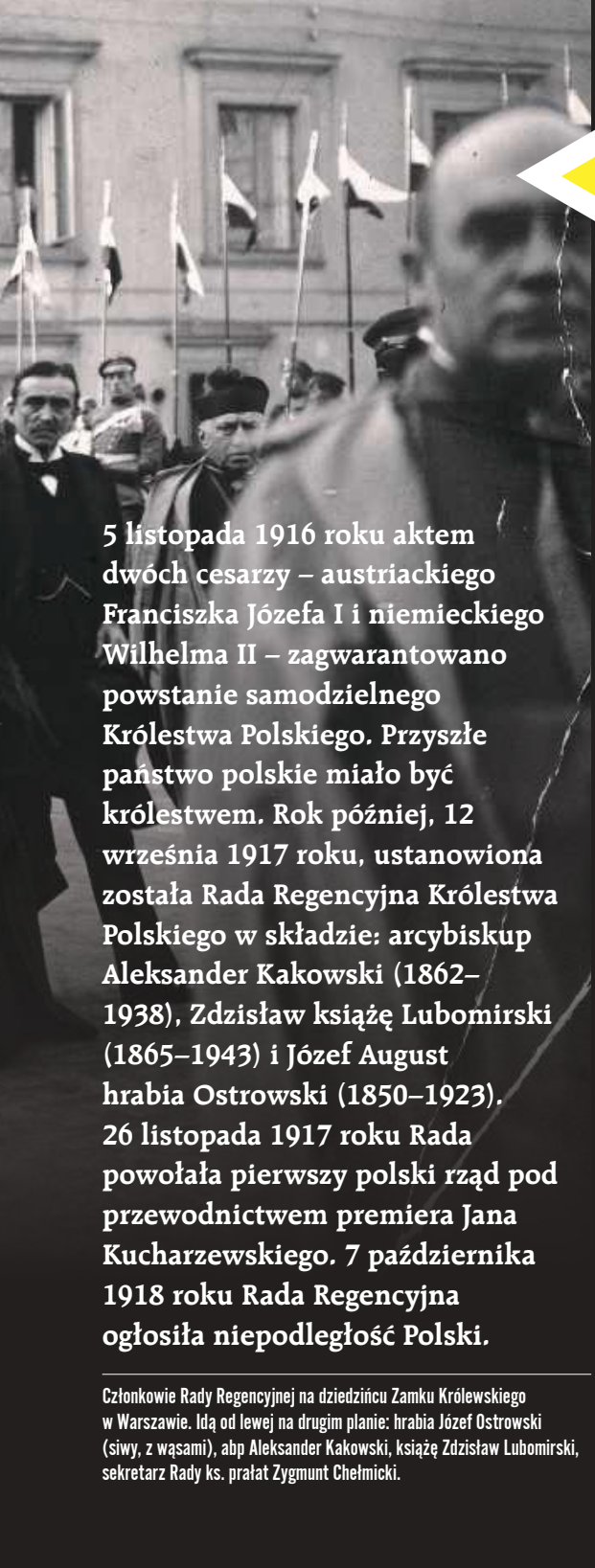
eprasa.pl c90328c217

Polska odrodziła się w 1918 roku jako królestwo

Dariusz Jarosiński



eprasa.pl c903283c217



5 listopada 1916 roku aktem dwóch cesarzy – austriackiego Franciszka Józefa I i niemieckiego Wilhelma II – zagwarantowano powstanie samodzielnego Królestwa Polskiego. Przyszłe państwo polskie miało być królestwem. Rok później, 12 września 1917 roku, ustanowiona została Rada Regencyjna Królestwa Polskiego w składzie: arcybiskup Aleksander Kakowski (1862–1938), Zdzisław książę Lubomirski (1865–1943) i Józef August hrabia Ostrowski (1850–1923). 26 listopada 1917 roku Rada powołała pierwszy polski rząd pod przewodnictwem premiera Jana Kucharzewskiego. 7 października 1918 roku Rada Regencyjna ogłosiła niepodległość Polski.

Członkowie Rady Regencyjnej na dziedzińcu Zamku Królewskiego w Warszawie. Idą od lewej na drugim planie: hrabia Józef Ostrowski (siwy, z wąsami), abp Aleksander Kakowski, książę Zdzisław Lubomirski, sekretarz Rady ks. prałat Zygmunt Chełmicki.

FOT. NAC

Z inicjatywy Zdzisława księcia Lubomirskiego w „Monitorze Polskim" w formie manifestu ukazała się Polska Deklaracja Niepodległości. Dokument został podpisany przez członków Rady Regencyjnej, jedynego polskiego organu władzy uznawanego wówczas na arenie międzynarodowej. Polska Deklaracja Niepodległości zaczyna się od słów: „Wielka godzina, na którą cały naród polski czekał z upragnieniem, już wybija". Była pierwszą odezwą, która miała realne znaczenie polityczne. Wzywała naród polski do odbudowy odradzającego się, wolnego państwa. Zapowiadała „utworzenie niepodległego państwa, obejmującego wszystkie ziemie polskie, z dostępem do morza, z polityczną i gospodarczą niezawisłością, jako też z terytorialną nienaruszalnością". Wszystkie, a więc te, gdzie zamieszkiwali Polacy, czyli dalekich kresów wschodnich, aż po Kijów, Pomorza z Gdańskiem, Małopolski Wschodniej, Poznańskiego, Śląska i Litwy.

Przez blisko miesiąc formalnie Polska była królestwem bez króla, w zastępstwie którego władzę sprawowali regenci. Mówiło się o kilku potencjalnych kandydatach na króla. Najbliższym ukoronowania wydawał się być Karol Stefan Habsburg-Lotaryński, arcyksiążę z żywieckiej linii Habsburgów. Spełniał on wszelkie kryteria, jakie stawiano potencjalnemu monarsze – był dobrze wykształconym katolikiem, polskim patriotą z domieszką krwi dawnych władców. Miał poparcie elit Galicji i Królestwa Polskiego. Prowadzona była aktywna agitacja na jego rzecz. Nie brakowało też osób ówczesnej elity, które upatrywały pretendenta do polskiego tronu w osobie Zdzisława księcia Lubomirskiego.

Rada Regencyjna Królestwa Polskiego nie miała jednak szans na uzyskanie społecznego poparcia.14 listopada ukazał się Dekret potwierdzający przekazanie pełni władzy Józefowi Piłsudskiemu, a także rozwiązanie Rady Regencyjnej, w którym m.in. przeczytać można słowa: „[…] kierując się dobrem Ojczyzny, postanawiamy Radę Regencyjną rozwiązać, a od tej chwili obowiązki nasze i odpowiedzialność względem narodu polskiego w Twoje ręce, Panie Naczelny Dowódco, składamy do przekazania Rządowi Narodowemu".

Dwa dni później Józef Piłsudski podpisał oficjalne powstanie państwa polskiego i stanął na jego czele jako Naczelnik. Nawiązał tym tytułem do czasów insurekcji kościuszkowskiej. Od tego momentu Piłsudski sprawował najwyższą władzę w kraju, wydawał dekrety, formował ustrój odradzającej się Rzeczypospolitej. Zmienił nazwę Królestwo Polskie na Republika Polska.

Budowa fundamentów II RP

Wydany przez władze niemieckie i austro-węgierskie akt z dnia 5 listopada 1916 roku zawierał mglistą

eprasa.pl c90328c217

jeszcze obietnicę powstania Królestwa Polskiego pozostającego w „łączności z obu sprzymierzonymi mocarstwami". Nie ulegało wątpliwości, że ten dokument miał na celu pozyskanie rekruta polskiego do walki na frontach wielkiej wojny. Polscy legioniści pod przywództwem brygadiera Piłsudskiego dowiedli w krwawej bitwie pod Kostiuchnówką z Rosjanami, że są żołnierzami walecznymi i warto zabiegać o ich względy. Polscy politycy odebrali akt 5 listopada z tzw. mieszanymi uczuciami, aczkolwiek jako dokument dający jakąś nadzieję na własny, polski byt państwowy.

Rozwijany dorobek Rady Regencyjnej

Zgoda władz państw centralnych na powstanie 12 września 1917 roku Rady Regencyjnej zdecydowanie bardziej przybliżała ziszczenie marzeń o odrodzeniu Polski. Powstała ona jako tymczasowy organ naczelnych władz polskich. Siedzibą Rady Regencyjnej stał się Zamek Królewski w Warszawie. To zrozumiałe, że w oczach wielu Polaków podległa okupantom Rada Regencyjna nie zyskiwała takiej sympatii, jak Józef Piłsudski i jego legioniści wyrąbujący wolność na polach bitew.

Podwaliny przyszłej polskiej władzy państwowej powstawały bez rozgłosu, w zaciszu gabinetów. Rada stworzyła podstawy administracji, sądownictwa, szkolnictwa, a także zalążek sił zbrojnych, które w październiku 1918 roku przeszły pod komendę polską i składały przysięgę Radzie Regencyjnej, a nie Niemcom i Austriakom. Na czele wojska Rada postawiła generała Tadeusza Rozwadowskiego, późniejszego współtwórcę zwycięstwa bitwy warszawskiej.

Dzięki działalności Rady Regencyjnej powstał pierwszy polski, w dodatku królewski, rząd pod kierownictwem Jana Kucharzewskiego, który zapewne jest bardziej znany czytelnikom jako autor książki „Od białego do czerwonego caratu". Rząd składał się z jedenastu ministerstw, w tym również ministerstwa spraw zagranicznych; choć nie było ono nazbyt aktywne z wiadomych powodów, to jednak sama jego obecność świadczyła o dążeniu do uzyskania suwerenności.

Tworzone przez poszczególne resorty normy prawne były regularnie publikowane w „Dzienniku Urzędowym", a przepisy przygotowane przez Radę Regencyjną, stały się podstawami, na których został zbudowany porządek prawny II Rzeczypospolitej.

Zdaniem zmarłego niedawno prof. Przemysława Waingertnera wkład Rady Regencyjnej Królestwa Polskiego jest niedoceniany. „Jej działania zostały przysłonięte postaciami dwóch tuzów polskiej polityki – naczelnika państwa Józefa Piłsudskiego oraz przywódcy Komitetu Narodowego Polskiego Romana Dmowskiego. Rada Regencyjna przecież poza działaniami symbolicznymi podjęła się realizacji wielu celów praktycznych. Ten dorobek nie został zanegowany przez II Rzeczpospolitą, lecz był rozwijany. Szkolnictwo po 1918 r. było budowane na fundamencie stworzonym przez Radę Regencyjną. Podobnie było z polskim sądownictwem. W skład rządów Rady Regencyjnej wchodziło wielu zasłużonych potem polityków i urzędników. Przykładem może być Stanisław Bukowiecki, późniejszy wieloletni prezes Prokuratorii Generalnej. Rada Regencyjna budowała także zręby polskiej służby dyplomatycznej. Korzenie polskiej dyplomacji tkwią nie tylko w okresie działań Komitetu Narodowego Polskiego, lecz i placówek dyplomatycznych powoływanych przez Radę Regencyjną w stolicach państwach centralnych. Co równie ważne, Rada ma zasługi dla powstania odrodzonego Wojska Polskiego, nad którym władze przekazała 11 listopada 1918 r. Józefowi Piłsudskiemu".

W opinii prof. Waingertnera Rada Regencyjna przegrała z dynamiką sytuacji. „Na początku wojny romantyczny, maksymalistyczny program odzyskania pełnej niepodległości był uznawany za nierealny, ale wydarzenia kolejnych lat sprawiły, że możliwe było jego urzeczywistnienie. Ci, którzy wysuwali koncepcje powolnych kroków do częściowej suwerenności, również starali się uchwycić szansę realizacji idei pełnej niepodległości. Przykładem takiej postawy są działania księcia Zdzisława Lubomirskiego, który nawet przez przeciwników politycznych i ideowych był traktowany jako bardzo uczciwy, wręcz kryształowy. Zauważał, że pojawiają się nowe możliwości polityczne i perspektywy, które trzeba wykorzystywać. Rozumiał też, że należy organizować polskie społeczeństwo, ponieważ trzeba wypełnić pustkę po odejściu rosyjskiego zaborcy. Stąd wynikało pełnienie przez niego urzędu prezydenta Warszawy oraz uczestnictwo w Radzie Regencyjnej. Budowanie takich instytucji i przyczółków niezależności było lepsze niż pustka po upadku zaboru rosyjskiego".

„Człowiek z gestem, z odwagą"

O ile znamy konstruktorów II Rzeczypospolitej, zwanych ojcami polskiej niepodległości, a więc Józefa Piłsudskiego, Romana Dmowskiego, Ignacego Jana Paderewskiego, Wincentego Witosa czy Ignacego Daszyńskiego, których zasługi są niepodważalne, o tyle członkowie Rady Regencyjnej są niemal zupełnie nieznani. Kim byli ci ludzie? Jak się potoczyły ich losy po rozwiązaniu Rady?

Zdzisław książę Lubomirski urodził się w 1865 roku w Niżnym Nowogrodzie, gdzie jego rodzice przebywali na zesłaniu. Ojciec Zdzisława – Jan Tadeusz książę Lubomirski – pełnił funkcję ministra w rządzie powstańczym Romualda Traugutta, za co został aresztowany i zesłany w głąb Imperium. Dobrowolnie towarzyszyła mu żona Maria z Zamoyskich.

eprasa.pl c90328c217

Książę Zdzisław po ukończeniu prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim poszedł w ślady swego ojca – prowadził działalność społeczną i charytatywną, sprawował m.in. funkcję prezesa Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Podobnie jak rodzice czerpał inspirację do pracy oraz siłę z głębokiej wiary katolickiej.

Po wybuchu wielkiej wojny przystąpił do Polskiego Komitetu Narodowego, do którego należeli m.in.: Roman Dmowski, Maurycy Zamoyski, Władysław Grabski, a także Komitetu Obywatelskiego miasta Warszawy. Celem Komitetu było zachowanie porządku w mieście, objęcie opieką głodnych, bezrobotnych, uchodźców oraz rejestracja strat wojennych.

Zdzisław książę Lubomirski był postacią pierwszoplanową w ówczesnej Warszawie – bardzo lubianą i szanowaną przez jej mieszkańców. W 1915 roku stanął na czele Centralnego Komitetu Obywatelskiego, którego rolą była zarówno opieka nad ludnością cywilną na ziemiach polskich, jak też nieoficjalnie zakładanie i wspieranie polskich organizacji społecznych. Z księciem Lubomirskim liczyli się i politycy rosyjscy, i niemieccy. W sierpniu 1915 roku rosyjskie władze wycofując się z Warszawy, przekazały mu zarząd stolicy. Niemcy po zajęciu miasta potwierdzili jego nominację na prezydenta.

Za duży sukces prezydentury Zdzisława księcia Lubomirskiego należy uznać organizację obchodów 125. rocznicy Konstytucji 3 maja w Warszawie. Był to w okresie okupacji niemieckiej pierwszy tak wyraźny powiew wolności w Królestwie Polskim. W przemówieniu – wygłoszonym 3 maja 1916 roku w Sali Kolumnowej warszawskiego ratusza – książę przepowiadał rychłe „zmartwychwstanie" ojczyzny. Tego dnia z balkonów obsypywano go kwiatami, wołając: „Niech żyje prezydent książę – nasz książę Lubomirski – kochany Lubomirski, przyszły król Polski". Tak wspominał tamten dzień prof. Janusz Pajewski, wówczas dziewięcioletni chłopiec: „[…] pamiętam pochód 3 Maja 1916 roku w Warszawie, pierwszą tego typu jawną manifestację w mieście od roku 1792, niebywały entuzjazm tłumów, atmosferę wielkiego święta. Ciągnący ulicami pochód narodowy obserwowałem wraz z Rodzicami z mieszkania znajomej lekarki na Nowym Mieście. Szły organizacje społeczne z narodowymi flagami i transparentami, zarząd miasta z bardzo popularnym wówczas prezydentem Warszawy Zdzisławem księciem Lubomirskim – zewsząd sypały się huczne brawa" („Przeszłość z bliska. Wspomnienia").

Notabene, wówczas okupant niemiecki zezwolił na organizację uroczystości patriotycznych, dzisiaj prezydent Warszawy zabrania Polakom czczenia święta niepodległości.

12 grudnia 1916 roku, a więc miesiąc po ukazaniu się aktu 5 listopada, który zwiastował zmianę polityki zaborców w stosunku do naszych dążeń niepodległościowych, przybył do Warszawy Józef Piłsudski. Po spotkaniu w Belwederze z urzędującym tam generałem – gubernatorem warszawskim Hansem Hartwigiem von Beselerem udał się wraz z rotmistrzem Wieniawą-Długoszowskim do ratusza na rozmowy z księciem Lubomirskim.

To było pierwsze w życiu spotkanie tych dwóch polityków o odmiennych poglądach, których łączyło jedno – dążenie do odzyskania przez Polskę niepodległości. Piłsudski miał wówczas powiedzieć księciu Lubomirskiemu: „Proszę księcia, my możemy we dwóch wziąć teraz Polskę za łeb". Książę nie zareagował pozytywnie na te słowa: „Panie Komendancie, można wszystko razem zrobić, ale na współpracę trzeba mieć do siebie bezwzględne zaufanie. Pan do mnie może ma zaufanie, ale przekonanie moje, że pan uchodzi za socjalistę, mnie powstrzymuje". Piłsudski miał się oburzyć: „Ja nie jestem wcale socjalistą".

10 listopada 1918 roku książę Lubomirski witał w imieniu Rady Regencyjnej uwolnionego z twierdzy magdeburskiej Józefa Piłsudskiego. Następnego dnia wspólnie z dwoma pozostałymi regentami – arcybiskupem Aleksandrem Kakowskim i Józefem hrabią Ostrowskim – przekazał mu dowództwo nad wojskiem, a 14 listopada pełnię władzy wojskowej.

Do życia politycznego książę Lubomirski powrócił dopiero w czasie gorących dni zamachu majowego w 1926 roku. Spotkał się z Józefem Piłsudskim i podjął się próby mediacji między stronami konfliktu. Nie przystał na propozycję marszałka Piłsudskiego i nie zgodził się na objęcie stanowiska prezydenta RP po ustąpieniu Stanisława Wojciechowskiego. Prezydentem z woli Zgromadzenia Narodowego został Ignacy Mościcki.

W latach 1928–1935 był senatorem z ramienia Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem (BBWR), natomiast od 1935 do 1938 roku zasiadał w Senacie z nominacji prezydenta RP. W latach 1931–1935 pełnił funkcję prezesa Naczelnej Rady Organizacji Ziemiańskich.

Stanisław Cat-Mackiewicz tak postrzegał księcia Lubomirskiego: „Był to patriota gorący, człowiek o przekonaniach liberalnych w stylu XIX wieku, człowiek z gestem, z odwagą, noszący swe senatorskie nazwisko bardzo po polsku. Brakowało mu bardzo konsekwencji w linii politycznej, co wynikało zresztą z uczciwości osobistej, z tego że się zbyt często dawał przekonywać najrozmaitszym argumentom, o ile miały one charakter prawdziwie patriotyczny. Jego stosunek do ludzi był miły, szczery, koleżeński".

We wrześniu 1939 roku, w trakcie oblężenia Warszawy, książę Lubomirski zaangażował się w działania Komitetu Obywatelskiego, którym kierował Stefan Starzyński. Zgodnie z aktem kapitulacji miasta z 28 września 1939 roku znalazł się w grupie 12 zakładników, którzy mieli gwarantować bezpieczeństwo okupanta.

eprasa.pl c90328c217

Mimo licznych nalegań, książę Lubomirski nie zdecydował się na wyjazd za granicę. Przebywał wraz z żoną Marią księżną Lubomirską z Branickich w majątku Mała Wieś koło Grójca. Niemcy zabiegali, by pozyskać księcia do współpracy, ale ten zdecydowanie odmawiał. 10 listopada 1942 roku został aresztowany przez gestapo i osadzony na Pawiaku. Nie postawiono mu żadnych konkretnych zarzutów. Po dwóch miesiącach pobytu w niemieckiej kaźni został wypuszczony na wolność dzięki interwencji w jego sprawie m.in. fińskiego arystokraty, marszałka Carla Gustava Mannerheima i włoskiej królowej Heleny. W następstwie przejść na Pawiaku zmarł 1 sierpnia 1943 roku. Został pochowany w kościele parafialnym w Belsku Dużym.

„Nie szukałem władzy ani honorów, ani pieniędzy"

Kolejny zapomniany ojciec niepodległości, członek Rady Regencyjnej, arcybiskup Aleksander Kakowski, pochodził z drobnej szlachty mazowieckiej herbu Kościesza z okolic Przasnysza. Ojciec przyszłego kardynała, Franciszek Kakowski, walczył w powstaniu styczniowym, za co został przez Rosjan skazany na karę śmierci i dopiero po jakimś czasie ułaskawiony. Aleksander Kakowski studiował na Akademii Duchownej w Petersburgu i Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie. Sakrę biskupią otrzymał w 1913 roku. Początkowo stronił od polityki, całkowicie poświęcając się pracy duszpasterskiej i społecznej, szczególną troską otaczał ludzi ubogich. Był nieufny w stosunku do zaborców i wydanego przez nich aktu 5 listopada, czego nie krył oficjalnie; dlatego też dużym zaskoczeniem dla opinii publicznej był akces arcybiskupa metropolity warszawskiego do Rady Regencyjnej.

„Nie szukałem władzy ani honorów, ani pieniędzy. Nie łudziliśmy się co do szczerości okupantów. Jedynie z chęci służenia ojczyźnie. Na usilne prośby wszystkich czynników polskich politycznych i episkopatu polskiego. Pomimo niechęci Narodowej Demokracji. Zdawałem sobie sprawę z ogromnych trudności, jakie mnie czekają, odpowiedzialności, jaką biorę na swoje barki; przeczuwałem mękę i udręczenie, szukałem sposobności wycofania się, ale mi się to nie udało" – tłumaczył arcybiskup Kakowski swoją decyzję o uczestnictwie w polityce.

To za namową księdza arcybiskupa metropolity warszawskiego Rada pracowała charytatywnie, społecznie. Chociaż jako konserwatysta był krytyczny wobec poglądów Józefa Piłsudskiego, socjalisty i republikanina, to w końcu uznał go za męża opatrznościowego.

W 1920 roku, kiedy eskalowała wojna polsko-bolszewicka, wydał list duszpasterski wzywający Polaków do walki, a sam wyjechał na front. W Radzyminie spotkał się z żołnierzami. Wygłosił przemówienie do żołnierzy oraz wręczył gen. Józefowi Hallerowi medal przysłany mu przez Benedykta XV z wizerunkiem św. Joanny d'Arc.

Aleksander Kakowski, od 1919 roku kardynał, a od 1925 roku tytularny prymas Królestwa Polskiego, koncentrował się na pracy duszpasterskiej i społecznej – z jego inicjatywy powstało wiele świątyń, Muzeum Archidiecezjalne; powołał do życia Akcję Katolicką, Katolicki Związek Instytucji i Zakładów Wychowawczych Caritas. W 1938 roku został kanclerzem kapituły Orła Białego, tym orderem sam został uhonorowany w 1925 roku. Zmarł 30 grudnia w 1938 roku. Zgodnie ze swoją wolą spoczął na cmentarzu Bródnowskim wśród mogił najuboższych.

Ziemianin i kapłan, autorzy „Orędzia do narodu"

Trzecim członkiem Rady Regencyjnej był Józef August hrabia Ostrowski herbu Korab, który urodził się w 1850 roku w majątku Maluszyn na południowo-wschodnim krańcu powiatu radomszczańskiego. Początkowo młody hrabia pobierał nauki w domu – kształcili go guwernerzy. Po ukończeniu gimnazjum w Warszawie studiował prawo w Szkole Głównej Warszawskiej oraz Carskim Uniwersytecie Warszawskim, a za granicą – w Berlinie i Halle studiował nauki przyrodnicze. Po powrocie ze studiów, w1874 roku, prowadził rodzinny majątek – gospodarstwo rolne, liczne folwarki i zakłady rolno-spożywcze. Zajmował się specjalistyczną uprawą roślin i warzyw. W gospodarstwie wprowadził oświetlenie elektryczne. Był prekursorem nowoczesnych technik gospodarki rolnej. W swoich zakładach rolno-spożywczych zatrudniał najlepszych specjalistów.

Dbał o okolicznych mieszkańców. Założył szkołę elementarną, szpital, kasę zapomogowo-pożyczkową, straż ogniową. Jako kolator miejscowego kościoła parafialnego pw. św. Mikołaja dbał o rozbudowę plebanii. Podobnie jak ojciec, Aleksander hrabia Ostrowski, pełnił funkcję w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim, a także sprawował urząd sędziego gminnego oraz członka Rady Redakcyjnej dziennika „Słowo", organu konserwatystów ukazującego się w Warszawie. W 1905 roku współorganizował Stronnictwo Polityki Realnej, z ramienia którego był posłem do II Dumy Państwowej. Mimo wielu osiągnięć, zarówno na polu gospodarczym, jak i politycznym, uchodził za człowieka bardzo skromnego.

Jako świetnie wykształcony prawnik, znawca zagadnień ekonomicznych, gospodarczych, przygotowywał w Radzie Regencyjnej ustawy prawne Rady Stanu Królestwa Polskiego, odezwę Rady do Narodu Polskiego, a po przekazaniu władzy Józefowi Piłsudskiemu – dokumen-

eprasa.pl c90328c217

tację prawnoustrojową kraju. Po spełnieniu misji politycznej wycofał się z życia politycznego, przede wszystkim z powodu cukrzycy. Zmarł 30 czerwca 1923 roku.

Nie sposób pominąć osobę niezwykle ważną w Radzie Regencyjnej Królestwa Polskiego, a mianowicie jej sekretarza generalnego, księdza kanonika Zygmunta Chełmickiego. Ksiądz Chełmicki pochodził ze starej rodziny szlacheckiej herbu Nałęcz z ziemi dobrzyńskiej. O jego znaczącej pozycji w Radzie może świadczyć fakt, iż nazywano go „nadregentem", szarą eminencją tej instytucji. Do obowiązków sekretarza generalnego należało uczestniczenie w posiedzeniach Rady Regencyjnej i Rady Koronnej, prowadzenie księgi protokołów i referowanie RR wszelkich spraw wpływających do Kancelarii. Ksiądz Chełmicki był współautorem niemal wszystkich odezw Rady. Wspólnie z Józefem hrabią Ostrowskim napisali słynne „Orędzie do narodu", które później sam wygłosił na uroczystej intronizacji Rady 27 października 1917 roku.

Działacz społeczny, polityk, wydawca…

Ksiądz Chełmicki odbył studia teologiczne w Münster w Westfalii na tamtejszym uniwersytecie. Bardzo dobrze opanował język niemiecki, co było przydatne zarówno w pracy duszpasterskiej, jak i w Radzie Regencyjnej. Początkowo pracował jako wikary w parafii przy katedrze płockiej. W 1877 roku przeniósł się do Warszawy, gdzie został rektorem kościoła Świętego Ducha. Obowiązki te pełnił przez 44 lata, aż do śmierci.

Uchodził za człowieka wybitnego, o silnej osobowości, ponadprzeciętnej inteligencji, o wielu talentach. Wykazywał się aktywnością na wielu polach – był działaczem społecznym, politykiem, wydawcą, redaktorem, pisarzem, krasomówcą. Przyjaźnił się z wieloma znanymi i szanowanymi osobami, m.in. pisarzami – Henrykiem Sienkiewiczem, Bolesławem Prusem, Adolfem Dygasińskim. Przyjazne relacje utrzymywał z Ignacym Janem Paderewskim – pobłogosławił związek małżeński wielkiego naszego muzyka i polityka z Heleną Górską. Paderewski wspierał działalność charytatywną księdza prowadzoną w Warszawie – koncertując w Stanach, zbierał datki dla biednych dzieci, ofiar wielkiej wojny.

Długo by można było wymieniać inicjatywy społeczne, charytatywne księdza Chełmickiego. W 1880 roku założył w Warszawie schronisko dla emerytowanych, nieposiadających domu nauczycielek. W 1895 roku objął zarząd założonego przez siebie Towarzystwa Przytułków Noclegowych. W tym samym roku rozpoczęło działalność Towarzystwo Przeciwżebracze, którego został wiceprezesem. Był organizatorem kursów społecznych dla duchowieństwa oraz założycielem Towarzystwa Pomocy i Oszczędności dla Duchowieństwa archidiecezji warszawskiej. Dla głodującej ludności Warszawy zorganizował ruchome kuchnie polowe. Kiedy chodziło o stworzenie organizacji pożytecznej dla społeczeństwa, nie wahał się współpracować z socjalistami – Edwardem Abramowskim i Romualdem Mielczarskim.

Księdza Zygmunta łączyła szczególna znajomość z arcybiskupem Aleksandrem Kakowskim, który ustanowił go swoją „prawą ręką" i doradcą w wielu sprawach. W swoich pamiętnikach ksiądz arcybiskup dał wyraz pewnej fascynacji księdzem Zygmuntem: „Umysł żywy, praktyczny, łatwo orientujący się w sytuacji, odgrywał pierwszorzędną rolę w polityce. Nad wyraz dobrego serca […]".

Ksiądz Chełmicki od 1883 do 1912 roku ogłosił ponad 600 artykułów w „Słowie", w „Niwie", „Gazecie Świątecznej", „Kurierze Warszawskim". Zajmował się głównie tematyką społeczną i literacką. Od początku 1882 roku współredagował konserwatywny dziennik „Słowo", którego redaktorem naczelnym był Henryk Sienkiewicz. W „Słowie" Sienkiewicz publikował w odcinkach Trylogię. Kiedy Sienkiewicz zajmował się pisaniem, wówczas na księdzu Chełmickim spoczywał główny obowiązek redagowania pisma. Z ramienia „Słowa" ksiądz Chełmicki został wysłany w podróż do Brazylii, skąd przesyłał reportaże.

Postać księdza Chełmickiego posłużyła Sienkiewiczowi za pierwowzór opata z Tulczy, ojca chrzestnego Jagienki, w powieści „Krzyżacy". Autor Trylogii cenił szczególnie księdza za poczucie humoru, znakomite dowcipy, błyskotliwość, ale też za to, że ten potrafił dosłownie wszystko załatwić.

Ksiądz Chełmicki wyjeżdżał często z Sienkiewiczem poza Warszawę na ulubione polowania, a także towarzyszył autorowi Trylogii w grze w winta i w spotkaniach towarzyskich. Miał opinię „lwa salonowego". W 1900 roku ksiądz Chełmicki stał na czele Komitetu Jubileuszowego obchodów Roku Sienkiewiczowskiego i zbierał datki na zakup Oblęgorka.

Z inicjatywy księdza Chełmickiego od 1900 roku wychodziła drukiem pomnikowa seria „Biblioteka Dzieł Chrześcijańskich", licząca w sumie 172 tomy, wśród nich „Podręczna Encyklopedia Kościelna".

Ksiądz prałat Zygmunt Chełmicki zmarł 3 sierpnia 1922 roku. Został pochowany na Starych Powązkach w Warszawie w grobie Towarzystwa Pomocy i Oszczędności dla Duchowieństwa Archidiecezji Warszawskiej.

***

W przyszłym roku (2025) będziemy obchodzili tysiąclecie wiekopomnej koronacji Bolesława Chrobrego. Bolesław Wielki (jak go nazywano w polskiej historiografii) stworzył silne polskie państwo w regionie Europy Środkowej i Wschodniej. Warto o tym pamiętać. ■

eprasa.pl c90328c217

Ewa Polak-Pałkiewicz



„Ubrany w szkarłatny ornat ran swoich” Historia św. Andrzeja Boboli, Duszochwata ze Strachociny

eprasa.pl c903286217

„Męczeństwo błogosławionego Boboli: oczy wyłupione, ręce odarte z ciała aż do kości, nos i wargi ucięte, wieniec ze zmoczonych witek, które się kurczą, język wydarty, ofiara leży na gnoju, ciało broczy krwią [...]" (Paul Claudel, „Dziennik", 1907).

Gdy uczyłem się w Pińsku w czasie wojny moskiewsko-kozacko-szwedzkiej [...] jako gościa wtedy przebywającego od dłuższego czasu widziałem i poznałem o. Bobolę. Kilka razy go odwiedziłem i w celi rozmawiałem. Był on poważny, skromny, wstrzemięźliwy, duchowny, pobożny, przestrzegający reguł zakonnych. Takim ja go widziałem i inni, a spoglądając na niego budowaliśmy się" (ks. Jan Łukaszewicz SI).

Uroczysta beatyfikacja

W dniu beatyfikacji Andrzeja Boboli w Watykanie, 30 października 1853 roku, car Mikołaj I (formalny zwierzchnik Cerkwi prawosławnej) zapłonął nie tylko gniewem, lecz także dziką wściekłością – skazał na śmierć sześciu Polaków wcielonych do armii rosyjskiej. Jego rząd nie szczędził nacisków, by Pius IX nie odważył się beatyfikować polskiego męczennika za wiarę. A jednak beatyfikacja Andrzeja Boboli, misjonarza polskich Kresów i autora tekstu ślubów lwowskich Jana Kazimierza, została dokonana i towarzyszył jej królewski wręcz splendor.

„Wnętrze całej bazyliki św. Piotra wybito czerwonym adamaszkiem i oświetlono mnóstwem świateł. W miejscu, gdzie według zwyczaju wieszało się herby: papieski oraz panującego w państwie, z którego pochodził błogosławiony, polecił Ojciec Święty powiesić dwa herby papieskie, aby w ten sposób symbolicznie zaznaczyć, że uciemiężonemu narodowi on zastępuje króla" (według publikacji Parafii św. Andrzeja Boboli w Czechowicach-Dziedzicach, www.bobola.jezuici.pl).

„Pragnę, aby w tak ciężkich czasach i wobec wielkiej liczby nieprzyjaciół wierni Chrystusa uzyskali nowy wzór, który wzmógłby ich odwagę w walce [...]" – pisał papież w brewe beatyfikacyjnym.

Prześladowania katolików w całym Imperium nasilały się, rusyfikacja osiągała apogeum. Gnębieni, zagrożeni śmiercią za wiarę unici podlascy mieli wreszcie do kogo się odwołać. Polskim katolikom potrzebny był wzór „mocarza ducha, który nie uląkł się przemocy". Pius IX dobrze znał i cenił Polaków – niejeden z przedstawicieli Wielkiej Emigracji zasiadał z nim do stołu – rozumiał powagę sytuacji. Unikał otwartego konfliktu politycznego z Rosją, dyplomatycznie omijając rafy i miny, starał się jednak Polaków upewnić, że nie zostali zapomniani. W tamtym czasie liczni jezuiccy misjonarze w przebraniu kupców-domokrążców lub wędrownych rzemieślników udawali się na Podlasie, działali energicznie wśród unitów mimo zagrożenia zsyłką i torturami.

Seria niezwykłych zdarzeń

Choć nadzwyczajne wydarzenia rozpoczęły się dosłownie chwilę po śmierci Andrzeja Boboli, Stoli-

FOT. WIKIMEDIA

eprasa.pl c0328c217

ca Apostolska długo nie była o nich informowana, niewielu Polaków z innych części kraju miało okazję o nich usłyszeć. W XVII wieku jezuici na Kresach działali wśród nieustannych nawałnic, nie mieli nawet czasu do ich spisywania. Na terenie całej Rzeczypospolitej szalały wojny. Wkrótce miała miejsce kasata zakonu jezuitów, doszło do rozbiorów Polski, kolejni dwaj papieże (Pius VI i Pius VII) zostali więźniami Napoleona. Jednak dziejom relikwii Męczennika niemal nieprzerwanie przez 367 lat, jakie upłynęły od jego śmierci, towarzyszy seria zdarzeń, dla których nie ma innego określenia jak cuda. Wydarzenia zaprzeczające prawom natury, które objawiają potęgę Boga… Skąd tak liczne znaki? Jaki jest ich cel?

Ciało świętego, zamordowanego w wigilię Wniebowstąpienia Pańskiego 16 maja 1757 roku w Janowie Poleskim, w pobliżu Pińska, nie rozkładało się po śmierci, mimo że zadano mu setki ran i poddano najwymyślniejszym torturom. Rozchodziła się od niego przyjemna woń. Ludzie tłumnie gromadzący się przy trumnie Andrzeja Boboli w kościele jezuickim w Pińsku doznawali nagłych uzdrowień. W ciągu kolejnych lat nadzwyczajne wydarzenia nie ustawały; moralna i duchowa wymowa tych znaków stawała się dla Rosjan coraz trudniejsza do zniesienia.

Mordu dokonali Kozacy podmówieni przez prawosławnych duchownych, którym doniesiono o energicznej i owocnej działalności Andrzeja Boboli wśród ludności wsi i miasteczek Polesia. Był płomiennym kaznodzieją, w dysputach religijnych z prawosławnymi duchownymi zawsze okazywał się zwycięzcą; nawracał w krótkim czasie całe wsie. Nie był to jednak zwykły teren misyjny. Pogranicze katolicko-prawosławne było stale w ogniu ostrego sporu politycznego, ale od czasu ukazu cara Fiodora I z 1589 roku, gdy powstał patriarchat Moskwy i całej Rusi, był to zarazem spór religijny. Podtekstem było sięgające średniowiecza polsko-ruskie starcie dotyczące dziedzictwa dawnej Rusi Kijowskiej. Kiedy moskiewscy patriarchowie przyznali sobie prawo do zwierzchnictwa nad polskimi i litewskimi prawosławnymi, uznali za oczywistość prawo do ingerowania w wewnętrzne sprawy Polski.

Po wybuchu powstania Chmielnickiego sprawa jeszcze bardziej się zaostrzyła. Nawracanie na katolicyzm prawosławnej ludności na Kresach stało się głównym motywem nienawiści Kozaków do Rzeczypospolitej, szczególnie do jej duchowieństwa. Zwłaszcza po roku 1653, gdy Moskwa oficjalnie poparła kozacką rebelię. Moskiewski patriarcha Nikon nakłaniał do stawiania oporu polskim katolikom, duchowieństwu, ale i szlachcie. Konflikt przybierał na Kresach rozmiary wojny religijnej, z jej charakterystycznymi, po stronie prawosławnej, cechami: dzikim okrucieństwem i bezwzględnością.

W XIX wieku, podczas zaborów ziem polskich, wobec powtarzających się interwencji Andrzeja Boboli, związanych z masowym kultem okazywanym jego relikwiom, Rosjanie, czując już być może, że ten Męczennik ich w jakiś sposób demaskuje, próbowali ukrywać jego ciało, a nawet je profanować. Polscy współbracia wieźli setkami kilometrów ciało Męczennika, by trafiło w końcu do bezpiecznego miejsca; był czas, gdy znajdowało się nawet pod opieką prawosławnych zakonników, kiedy, po kolei, z Połocka (dokąd przewieziono je z klasztoru w Pińsku) wyrzucano jezuitów, pijarów, dominikanów. Wkrótce okazało się jednak, że w Rosji bezpiecznych miejsc po prostu nie ma.

W 1866 roku w Połocku zjawiła się komisja rządowa z Petersburga, by zbadać „polskie metody wyrabiania świętych", jak szydzono. Poufne informacje, że błogosławionemu oddają cześć także prawosławni, budziły najwyższą czujność władz. Kiedy czynownicy pojawili się w kościele i zaczęli dowcipkować przed sarkofagiem Andrzeja Boboli, ze sklepienia odpadła cegła i ugodziła jednego z nich. Komisja bez zwłoki zakończyła pracę.

W czasach sowieckich kilkakrotne próby zbezczeszczania ciała męczennika spotkały się ze zdecydowanym sprzeciwem wiernych. „Dopiero 23 czerwca 1922 roku kościół otoczyło wojsko. Zjawili się wysłańcy Kremla. Po otwarciu trumny ciało obnażono i rzucono nim brutalnie o posadzkę. Ku osłupieniu obecnych, zwłoki nie rozsypały się. Spisano protokół o ich stanie, stwierdzając, że »trup zawdzięcza swoje dobre zachowanie właściwościom ziemi, w której się znajdował«. […] 20 lipca wtargnęli do kościoła bojcy; maltretując i bijąc parafian broniących dostępu do trumny, wywieźli ciało do Moskwy, umieszczając je w gmachu Higienicznej Wystawy Ludowego Komisariatu Zdrowia (w charakterze „eksponatu")".

Andrzej Bobola powraca do ojczyzny

Prośby ze strony rządu odrodzonej Rzeczypospolitej o oddanie ciała Męczennika były przez Sowietów ignorowane. Marszałek Piłsudski planował szarżę na Połock, by odzyskać trumnę z ciałem Andrzeja Boboli. Jednak w czasie klęski głodu w 1922 roku w Związku Sowieckim, gdy Watykan zadeklarował pomoc dla ludności Rosji, odbył się jedyny w swoim rodzaju „targ" na najwyższym szczeblu. Sowieci zdecydowali się wydać relikwie ciała Andrzeja Boboli Stolicy Apostolskiej w ramach rewanżu za hojną pomoc materialną. Cały trud „wytargowania" warunków wzięli na siebie dwaj amerykańscy jezuici, którzy przyjechali

eprasa.pl c90328c217

w tym celu do Moskwy. Towarzysze sowieccy zastrzegli, że trumna z ciałem Męczennika w żadnym wypadku nie może być przewożona przez Polskę i nigdy nie może tam trafić. Starannie nakreślona trasa wiodła do Rzymu przez Odessę i Konstantynopol.

Na Wielkanoc 1938 roku w Bazylice św. Piotra zabrzmiało „Boże, coś Polskę"; Achilles Ratti, Pius XI wyniósł na ołtarze Andrzeja Bobolę; była to pierwsza kanonizacja Polaka od czasu ogłoszenia świętym Jana Kantego w 1767 roku, przeprowadzona z nadzwyczajnym rozmachem i przepychem. Na cud kanonizacyjny nie trzeba było długo czekać. Kościół dysponował już wówczas listą 2 tys. cudownych interwencji przypisywanych Andrzejowi Boboli. Całkowite uzdrowienie Idy Kopeckiej z głębokich oparzelin spowodowanych promieniami Roentgena w 1922 roku oraz zakonnicy Alojzy Dobrzańskiej w Rzymie z rakowatego owrzodzenia trzustki w 1933 roku przypieczętowały decyzję Piusa XI o kanonizacji Andrzeja Boboli.

Krótko po tym ciało świętego w srebrnej trumnie-relikwiarzu, w specjalnym pociągu wyposażonym w wagon-kaplicę, dotarło do granic Polski. W triumfalnym pochodzie przewieziono je do Warszawy. Trumna przejechała przez kraj, na całej trasie witana owacjami, łzami i modlitwą.

W 2002 roku św. Andrzej Bobola został ogłoszony jednym z głównych patronów Polski. Dołączono jednak niezrozumiałe uzasadnienie: Męczennik miał być patronem również „ekumenicznym". Nie sposób zrozumieć, co miałby oznaczać zadeklarowany w dokumencie „ład niepodległościowy i ekumeniczny", bez nawrócenia Rosji. W latach 60. XVII wieku Andrzej Bobola nawracał ludność polskich Kresów zagrożoną wpływami Rosji i prawosławia. W obliczu śmierci nie chciał publicznie wyrzec się katolickiej wiary. Za to został zamordowany w okrutny sposób.

Porywczy, wybuchowy, gniewliwy…, nieustający w walce

Bobolowie h. Leliwa, wśród których znajdował się wojewoda Rusi, kasztelan z Przemyśla, fundatorzy licznych kościołów i klasztorów, byli szlachtą co się zowie. Wielu z nich wywodziło się z ziemi sanockiej, gdzie Andrzej Bobola się urodził – we wsi Strachocina; jego ojciec dzierżawił tę wieś na prawie królewskim.

Sam przyszły święty miał w młodości wszystkie cechy typowego szlachciury. Przez pierwsze lata formacji zakonnej staczał ciężkie walki ze swoją skłonnością do wybuchów gniewu, porywczością i tym wszystkim, co w katalogach wad duchownych określa się mianem „zmysłowości". „Z usposobienia prędki", notowano w kolejnych zakonnych cenzurkach, „gniewliwy". Studia u jezuitów były wymagające, oczekiwano wysokiej także dyscypliny intelektualnej. Kleryk ze Strachociny miewał poważne trudności przy zdawaniu końcowych egzaminów z filozofii i teologii. Jezuicki nowicjat był jednak nade wszystko czasem kształtowania charakteru; temu służył obowiązek posługi chorym, kwestowanie podczas długich samotnych wędrówek, znoszenie niewygód, braku snu, przykrości ze strony ludzi niewybrednych obyczajów i zwyczajnych prostaków. Andrzej Bobola kończył swoją formację zakonną w Nieświeżu, gdzie, jak notowano w jezuickich księgach, odprawił rekolekcje „z pożytkiem, ale bez wielkiego wysiłku woli", w pracach kuchennych okazał „duży stopień uległości", peregrynację żebraczą zaś przeszedł „ze średnim zapałem". Zauważono jednak jego wyjątkową gorliwość na misjach ludowych. Miał 32 lata, gdy gotów był, zdaniem przełożonych, do zadań apostolskich.

Bobrujsk nad Berezyną był miejscem pierwszej jego misji ewangelizacyjnej; znalazł się tam jako przełożony klasztoru. Przez wiele lat działał też w Wilnie jako moderator sodalicji mariańskiej i kaznodzieja. Tu u grobu św. Kazimierza Królewicza otrzymał święcenia kapłańskie.

Wśród leśnych ludzi

W Bobrujsku było co robić. Jezuiccy kronikarze notują: „[…] mnożyło się bowiem przechodzenie miejscowych Białorusinów na prawosławie. Inni, żyjący w rozproszonych osadach, posępni i zaniedbani duchowo, często zapominali o przykazaniach Bożych. Upowszechniały się zatem »dzikie« małżeństwa, kwitły zabobony, szerzyło się pijaństwo. Miary nieszczęścia i demoralizacji dopełniały okresowe działania wojenne. […] Ludność białoruska dała mu przydomek »duszochwata«, czyli takiego, co umie chwytać dusze. Latem 1652 r. Andrzej Bobola przybył po raz drugi do Pińska, gdzie miał już pozostać na zawsze, rozpoczynając pracę misyjną. Pozbawiony fałszywej skromności, znał swoje walory kaznodziejskie: dysponował donośnym i dźwięcznym głosem, wyborną pamięcią, ostrym dowcipem. Oczytany w literaturze kościelnej, także wschodniej, z łatwością zbijał argumenty słabo wykształconych duchownych prawosławia. Zgodnie ze świadectwami współczesnych, Słowo Boże w jego ustach było niczym grom dla zatwardziałych serc grzeszników. Misje zaczynał od osobistych postów o chlebie i wodzie; podróże odbywał zwykle pieszo. Przemierzając Polesie, czyli bagnistą i leśną krainę po obu brzegach Prypeci, docierał do jej najdalszych zakątków" (za: www.zaufaj.com).

W XVII wieku na Polesiu nieliczne osady znajdowały się na otoczonych mokradłami i gęstymi lasami wzniesieniach. Żywot „leśnych ludzi" był dość beztroski. Na-

eprasa.pl c90328c217

wet katolicy, których była tu mniejszość, nie korzystali z żadnych – poza chrztem – sakramentów. „Hospody, pomiłuj!" było jedyną modlitwą. „W niedziele i święta »leśni ludzie« zjeżdżali tłumnie do Pińska, by sprzedać dziczyznę, smołę, miód i jednocześnie zrobić potrzebne zakupy. Na dźwięk dzwonów udawali się do kościoła lub cerkwi, żeby... »otrzymać błogosławieństwo«. Potem zapełniali karczmy. Bobola [...] głosił kazania, uczył podstawowych prawd wiary, udzielał chrztu, łączył pary małżeńskie, spowiadał. [...] Najbardziej celował w katechizowaniu zaniedbanej młodzieży, którą przyciągał ciepłem i wrażliwością na jej problemy. Temperując przez lata własną porywczość, odznaczał się już wówczas głęboką pokorą, cierpliwością i panowaniem nad sobą. Z powagą zakonną łączył skromność, łagodność, przystępność. Dzięki przyjaznemu usposobieniu wszędzie znajdował słuchaczy".

Na krótko przed śmiercią przyłączył do Kościoła katolickiego dwie wioski Bałandycze i Drożyn. Tymczasem Kozacy, odpryski buntowniczej armii Bohdana Chmielnickiego, już od początków maja 1657 roku mordowali tu i łupili „papieżanów", szczególnie duchownych, z wyjątkową zawziętością. Głównym obiektem napaści były klasztory oraz kościoły katolickie i unickie. „Wyprawiali w nich uczty, pili gorzałkę z poświęconych kielichów, paradowali w szatach liturgicznych, wydobywali z grobowców zwłoki i cięli je szablami. Ponadto najeżdżali i palili dwory polskiej szlachty, a także pastwili się nad Żydami. Najokrutniej postępowali z jezuitami oraz dominikanami, które to zakony prowadziły owocną ewangelizację i dysponowały najlepszymi kaznodziejami. Każdy, kto zasłynął na »lackiej« ambonie, musiał uciekać przed rozbestwioną czernią albo liczyć się ze śmiercią w męczarniach. Kiedy zagony kozackie dotarły w okolice Pińska, kilku najbardziej zagrożonych księży opuściło miasto. Byli pośród nich jezuici Szymon Maffon i Andrzej Bobola. [...] Pierwszy udał się do Horodca, gdzie 15 maja został napadnięty przez watahę zdążającą w kierunku Brześcia. Pozbawionego odzienia, przybili Kozacy gwoździami do ławy, po czym głowę tak ściskali powrozami, że oczy wychodziły na wierzch; z piersi i pleców zdarli skórę, żywe ciało polewali wrzątkiem; w końcu poderżnęli gardło. Ta sama wataha przybyła 16 maja 1657 r. do Janowa Poleskiego (dzisiaj nazwa tej miejscowości brzmi Iwanowo), urządzając rzeź katolików, unitów i Żydów. Bobola ukrywał się podówczas w majątku Peredył, we dworze polskiego szlachcica Przychockiego, który dzierżawił wieś Mohilna, cztery kilometry od Janowa. Usłyszawszy o zajściach w miasteczku, Przychocki kazał swemu woźnicy odwieźć ojca Andrzeja w bezpieczniejsze miejsce".

Raz jeszcze oddajmy głos jego współbratu, który widywał go tak często w pińskim klasztorze w ostatnim okresie życia: „[...] spokojny, pogodny z wszystkimi, jego żarliwość w kazaniach przez wiele lat, budujące rozmowy, owocodajne misje, stąd pochodząca opinia o jego pobożności i cześć ludzi oddawana jako znakomitemu zakonnikowi i świętemu. [...] Wziąwszy pod uwagę tę prawdę, że największą w tym życiu łaską dla człowieka jest śmierć poniesiona za wiarę, łatwo dojść do wniosku, że na palmę męczeństwa zasłużył sobie o. Andrzej cnotami rzeczywiście bohaterskimi" (ks. Jan Łukaszewicz SI).

Trudno dziś powiedzieć, czy Andrzej Bobola dowiedział się o śmierci współbrata. Nie mógł jednak nie odczuć atmosfery narastającej grozy. Ratowanie się przed śmiercią ucieczką nie byłoby bynajmniej w tej sytuacji tchórzostwem. Ktoś we wsi zawołał głośno, że zbliżają się Kozacy; Jan Domanowski podstawił wóz i Andrzej Bobola odjechał z wioski. Było już jednak za późno. Nie ujechali daleko. Tuż przed napaścią uzbrojonej bandy, misjonarz Polesia, jak podkreślają jezuiccy kronikarze, nie chciał się dalej chronić. Stanął z napastnikami twarzą w twarz (opis jego męczeństwa i tortur podaję za pracą ks. Marcina Czermińskiego SI).

„Podwajał modlitwy za swoich katów"

Oblicza Męczennika po śmierci nie dało się rozpoznać – tak było oszpecone i spuchnięte. Od szyi po biodra: rana przy ranie. To, czego zaznał, zostało dokładnie opisane dzięki zeznaniom pod przysięgą naocznych świadków. Jednym z nich był Jakub Czetwerynka, mieszkaniec Janowa, sterroryzowany przez kozaków i zmuszony do pilnowania ich koni. Opisywał fakt po fakcie, każdy etap zbrodni, jaka dokonała się we wsi Mogilno i w samym Janowie.

Jeszcze na kilka godzin przed śmiercią Andrzej Bobola, przywiązany przez Kozaków do pala, okrutnie bity, z wtłoczoną na głowę koroną z mokrych witek, wleczony przez kilka kilometrów pomiędzy końmi, wzywał z mocą swoich katów. Nie błagał jednak o litość dla siebie, lecz aby się nawrócili i czynili pokutę. Gdy obiecywali ocalenie, gdy tylko wyrzeknie się wiary, prawdopodobnie już po otrzymaniu pierwszych ran zadanych szablą, która odcięła mu palce dłoni, uczynił publiczne wyznanie wiary. Świadkowie zapisali je słowo po słowie: „Wierzę i wyznaję, że jest jeden Bóg prawdziwy, tak, jak jeden jest prawdziwy Kościół, jedna prawdziwa wiara katolicka, objawiona przez Chrystusa, ogłoszona przez apostołów, za nią tak, jak Apostołowie i wielu Męczenników – także ja chętnie cierpię i umieram".

Gdy leżał na ziemi, jeden z kozaków końcem swej szabli wyłupał mu prawe oko i szydząc, rzekł: „Spoglądasz na polskich [tj. katolickich] Lachów!". Stary rękopis, opisując to zdarzenie, mówi, że św. Andrzej zachował się wówczas tak spokojnie, cicho, jakby nie

eprasa.pl c90328c217

on, lecz kto inny cierpiał. „Żadnego oporu katom swym nie czynił, zdawało się, że cierpi z radością, tak wielką cierpliwość w owej chwili okazał".

„Na publicznym placu w Janowie, w pobliżu głównej drogi prowadzącej do Ohowa, stał mały drewniany budynek Grzegorza Hobowejczyka, który służył mieszkańcom na rzeźnię i jatkę. Tam miał się zakończyć ostatni akt tragedii, rozpoczętej w Pieredile i Mogilnie. […] nie brakowało świadków jego wytrwałości. Wielu bowiem było takich, zwłaszcza między młodzieżą, ciekawą wrażeń, którzy otoczyli rzeźnię i jużto przez okna, jużto przez szpary znajdujące się w budynku, patrzyli do wnętrza i podsłuchiwali słowa męczennika i jego oprawców. Między innymi naocznymi świadkami był Samuel Szalka, Rusin-Unita, który później otrzymał święcenia kapłańskie i został proboszczem w Janowie. Ten schował się ze swym sługą w sąsiedniej wieży cerkiewnej, z której mógł wszystko widzieć i wiele słyszeć, co potem uroczyście pod przysięgą zeznał".

„Jestem kapłanem katolickim, urodziłem się w tej wierze i chcę w tej wierze umierać" – mówił, zanim jeszcze oprawcy, którzy wciąż próbowali zmusić go, by zaparł się wiary, nie wyrwali mu języka. „Moja wiara jest prawdziwą i dobra wiarą; jest tą, która prowadzi do zbawienia, nie mogę zaprzeć się mojej świętej wiary. Raczej wy się nawróćcie i czyńcie pokutę, bo nie zbawicie się w waszych błędach… Jeżeli wytrwale będziecie gardzić waszymi błędami schizmatyckimi i przyjmiecie tę sama wiarę, którą ja wyznaję, rozpoczniecie poznawać Boga i zbawicie swe dusze" – wołał święty.

Kiedy obdzierali go ze skóry, miał jeszcze siłę, by zwrócić się do swoich katów ze zdumiewającymi słowami: „Moje drogie dzieci – co wy robicie? Oby Pan Bóg był z wami i z waszej złości dał wam wejść w samych siebie! Jezus! Maryja! Bądźcie przy mnie! Oświećcie tych ciemnych Waszym światłem!… Jezus! Maryja! Panie, w ręce Twoje oddaję duszę moją!". Jak zapisano w sporządzonym po jego śmierci rękopisie: „Ubrany w szkarłatny ornat swoich ran – był pozbawiony skóry na rękach i plecach – w którym każde źdźbło plew, którą go obsypano, błyszczało jak brylant, kapłan ten był gotów do złożenia ofiary. Podwajał modlitwy za swoich katów, podczas gdy oni podwajali uderzenia i męki […]".

Wśród tych tortur zdawało się, że św. Andrzej podnosił kilka razy ku niebu swe ręce, odarte ze skóry i broczące krwią. Świadkowie wielokrotnie zeznawali, że przez cały czas męczeństwa wzywał imion Jezusa i Maryi.

Jak trudno dziś zrozumieć…

Być może trudno to dziś zrozumieć niektórym ludziom w samym Kościele – tak mocno „zreformowanym" w XX wieku – że jego największym szczęściem było żyć i umierać w Kościele katolickim. Wiedział, że nie umiera „bezsensownie", „irracjonalnie", jak twierdzą innowiercy, nie pojmując znaczenia ofiary; umierał świadomie za Chrystusa. Do ostatniego oddechu pełnił misję nawracania innowierców. Do pewnego Żyda z Janowa, który przypatrywał się torturom, zdążył jeszcze przed śmiercią zawołać z niezwykłą mocą: „Widzisz, że ja w sprawie mej wiary nic nie czuję! Dlaczegóż nie poznajesz swoich błędów i nie przyjmujesz tej prawdy, którą stwierdzam moim życiem?" (człowiek ów zdecydował się zeznać o tym w 1711 roku. W tych słowach można odczytać prawdę o tym, że podczas męczeństwa Pan Bóg obdarzył Andrzeja Bobolę bardzo szczególnymi łaskami).

Barbarzyńcy, jak odnotowali świadkowie, ostatecznie „zostali zwyciężeni niewzruszoną stałością męczennika"; porzucili swoją ofiarę, wyszli z rzeźni, gdy jeszcze żył. Śmierć nastąpiła około trzeciej po południu. „W ten sposób dokonało się męczeństwo, być może najokrutniejsze, jakie kiedykolwiek ponieśli wyznawcy wiary, skoro św. Kongregacja Obrzędów nie wahała się powiedzieć: »Tam crudele vix, aut ne vix quidem in hac Sacra Congregatione propositum fuit simile martyrium«".

Zaraz po śmierci Męczennika popołudniowe niebo nad Janowem nagle się zmieniło, wypełniła je nadzwyczajna jasność. Według świadków na nieboskłonie pojawił się świetlisty krzyż. Kozaków ogarnęła panika. Z pośpiechem i w bezładzie opuścili miasto.

Wojny, napady, pożary, nieustanne gwałty, jakie nawiedzały w następnych latach Rzeczpospolitą, nie omijając Pińska i klasztoru, spowodowały, że przez kolejnych 40 lat pamięć o Męczenniku niemal zupełnie wygasła. Lecz „Bogu spodobało się rozsławić wiernego sługę pomiędzy ludźmi". Rozpoczął się zupełnie nowy rozdział jego misji. ■

O interwencjach „Duszochwata" w naszym kraju w następnym numerze „Nowego Państwa".

Źródła: ks. Teofil Bzowski SI, „Bł. Andrzej Bobola męczennik Tow. Jezus.", Chyrów 1927; ks. Marcin Czerniński SI, „Bł. Andrzej Bobola", Kraków, 1922; „Hagiografia polska. Słownik bibliograficzny. Dzieło zbiorowe", t. 1–2, pod red. o. Romualda Gustawa OFM, Poznań 1971–1972 (artykuł ks. Jana Rosiaka SI); ks. Mirosław Paciuszkiewicz SI, „Pod patronatem Św. Andrzeja Boboli", Warszawa 1989; ks. Jan Popłatek SI, „Błogosławiony Andrzej Bobola Towarzystwa Jezusowego. Życie – męczeństwo i kult", Kraków 1936.

eprasa.pl c90328c217

Piotr Lisiewicz

Książka „Zgoda" Sławomira Cenckiewicza i Michała Rachonia jest niejako dalszym ciągiem opisu działań Moskwy, który przedstawili polscy sowietolodzy i rosjoznawcy, a wśród nich Marian Zdziechowski, filozof, historyk idei, przedwojenny rektor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. W „Zgodzie" widzimy, jak opisane przez Zdziechowskiego mechanizmy niszczyły państwo, w którym przyszło nam żyć, jak polscy urzędnicy dali się sprowadzić do marionetek w przedstawieniu, którego ostatecznym skutkiem ma być, jak zawsze, koniec niepodległego państwa polskiego. Poniżej przedrukowujemy fragmenty książki „W obliczu końca", w której opisywana jest działalność rozkładowa rosyjskiej agentury w wyznaczonych do zniszczenia państwach, moskiewskie okrucieństwo, wreszcie sowiecka nienawiść do religii. Pouczająca lektura.

Marian Zdziechowski

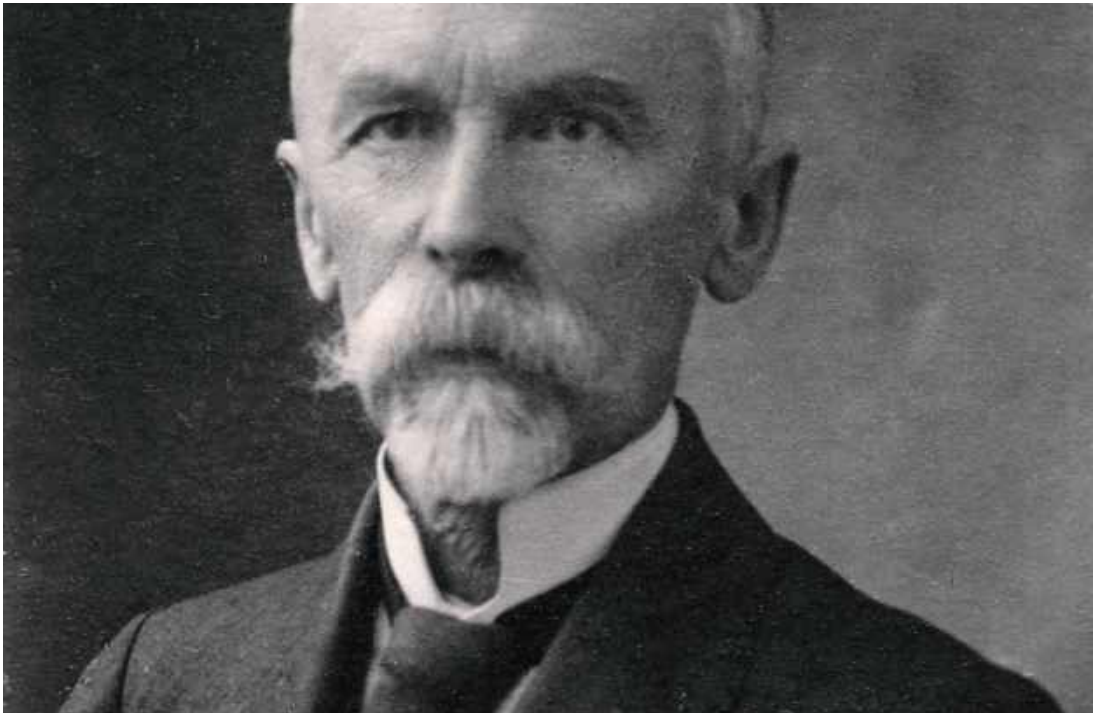
W obliczu końca

Obejmowała propaganda bolszewicka, podług sprawozdania III Międzynarodówki z r. 1921, 49 państw, nie licząc w tym Rosji; prowadzona była z pedantycznym obmyśleniem każdego szczegółu: np. Anglię podzielono na 26 sekcji z 79 organizacjami lokalnymi, które obsługiwane były przez 192 agentów pierwszej kategorii, 430 drugiej i 617 trzeciej. Tak było w r. 1921. Od tego czasu rok każdy jest świadkiem nowych postępów, nowych zdobyczy. Nie poprzestając na rozbudzaniu najniższych apetytów i wywoływaniu rozruchów, akcja bolszewicka godzi w same podstawy społeczeństw, namiętnie się rzuca na religię, podkopuje się pod uczucie patriotyczne, wszędzie natomiast podsycając szowinizmy nacjonalistyczne, wszędzie niszcząc w ten sposób z szatańską przebiegłością moralne pierwiastki oporu.

Bolszewizm, o którym mówią, że się rozkłada i rozpada, nie mniej groźny jest dziś, jak w owych dniach apogeum swojego, gdy Warszawa miała lada chwila stać się jego zdobyczą. Rozkazuje nadal wszystkim wywrotowym potęgom Europy i z upartą energią przygotowuje wybuch powszechnego pożaru, bo, „nie wyratujemy głów naszych – mówi Bronsztejn Trocki (14 kwietnia 1918 r.) – jeśli rewolucja rosyjska nie zamieni się w rewolucję wszechświatową". I myśl ta, postulat ten przewija się odtąd nicią czerwoną przez oświadczenia i mowy wszystkich przywódców bolszewizmu. Trzecia Międzynarodówka Komunistyczna niczym innym nie jest, jak ekspozyturą rządu sowieckiego, organem oddziaływania jego na cały kontynent, „jest organizacją bojową" – tak jej zadanie określił Rozenfeld-Kamieniew. „A zatem – dodawał do tego Apfelbaum-Zinowjew w mowie wygłoszonej w Halle – nie może ona się wyrzec systemu terroru, terror jest koniecznością, bez terroru niczego się nie osiągnie".

Każde wrzenie czy to u nas, czy w Europie, strajk każdy, każdy bunt w wojsku, rozmaite, a nieraz w po-

eprasa.pl c90328c217



FOT. NAC

zorach swoich niezgodne ze sobą objawy niezadowolenia mas – wszystko to dzieje się według planu starannie opracowanego i ustalonego w r. 1918.

Ten wrzód zjada Polskę

Obejmowała propaganda bolszewicka, podług sprawozdania III Międzynarodówki z r. 1921, 49 państw, nie licząc w tym Rosji; prowadzona była z pedantycznym obmyśleniem każdego szczegółu: np. Anglię podzielono na 26 sekcji z 79 organizacjami lokalnymi, które obsługiwane były przez 192 agentów pierwszej kategorii, 430 drugiej i 617 trzeciej. Tak było w r. 1921. Od tego czasu rok każdy jest świadkiem nowych postępów, nowych zdobyczy. Nie poprzestając na rozbudzaniu najniższych apetytów i wywoływaniu rozruchów, akcja bolszewicka godzi w same podstawy społeczeństw, namiętnie się rzuca na religię, podkopuje się pod uczucie patriotyczne, wszędzie natomiast podsycając szowinizmy nacjonalistyczne, wszędzie niszcząc w ten sposób z szatańską przebiegłością moralne pierwiastki oporu. W r. 1921 w Rosji i Europie 2 805 745 uświadomionych komunistów tworzyło kadry „Rady rewolucyjnej armii proletariatu", idącej na zniszczenie świata. Słowem, eksperyment rosyjski „zamienił ogromną część ciała Europy w gnijący wrzód".

Ten wrzód zjada Polskę, znajdując szczególnie podatny grunt w narodzie równie wrażliwym, jak niekrytycznym. W roku 1920, niedługo przed najazdem bolszewickim, niejaki Ignacy Dobrzyński, podporucznik i szef jednego z wydziałów wywiadowczych, uprzednio wysłany dla wywiadu do Rosji sowieckiej, zetknąwszy się z nią, od razu, bez namysłu, z jej wroga przeistoczył się w wyznawcę i w liście otwartym z dn. 18 lipca „do towarzyszy z pracy peowiackiej, oficerów i żołnierzy oraz kolegów akademików" oświadcza, że patrząc na „ogrom i potęgę tej nadludzkiej walki", jaką bolszewizm toczy ze światem, doszedł do pewności, że „drogą walki z nim dalej iść nie można", że lepiej „pod ich sztandarami umrzeć lub zwyciężyć" i że wraz z nim „otwarcie i dobrowolnie zrzekli się pracy przeciw rewolucji wszyscy przysłani do Rosji koledzy jego, oficerowie i kurierzy, a większość ich już mocno w walce i pracy rewolucyjnej stoi". W tym samym czasie i później pod kierunkiem posła „suwerennego" Sejmu, Dąbala, prowadzona była na rzecz Sowietów akcja szpiegowska, w której przeważnie brała udział młodzież. „Najboleśniejsze zaś w tym było nie to – słowa p. Izy Moszczeńskiej – że młodzież przejmowała się hasłami bolszewickimi, ale że się okazała tak moralnie tępa i zwyrodniała, że za pieniądze szła przeciw ojczyźnie i służyła jej wrogom".

eprasa.pl c90328c217

Tylko solidarne działanie narodów i państw Europy mogłoby Polskę nad skrajem przepaści uratować przed pędzącą od Rosji nawałą najdzikszych i najpodlejszych namiętności. Ale czy można dziś uwierzyć w solidarność, nawet mówić o niej, gdy w ciągu całego stulecia filozofowie, prawnicy, publicyści zgodnie – za nielicznymi wyjątkami kilku idealistów bez wpływu – pracowali nad uśmierceniem idei wszechludzkiej chrześcijańskiej jedności i zastąpienia jej hasłami egoizmów narodowych!

Bolszewictwo rosyjskie dumnie wkroczyło do Genui

I pewne siebie, dzięki sile, którą mu wówczas przymierze z Niemcami przyniosło, bolszewictwo rosyjskie dumnie wkroczyło do Genui, zaproszone przez Europę do „braterskiej współpracy" w sprawie odbudowy życia gospodarczego. Więc także – i może głównie – w sprawie odbudowy wyniszczonej, wygłodzonej, nieszczęśliwej Rosji. Ale nie zaproszono, dla dogodzenia Sowietom, przedstawicieli narodów przez bolszewików pokonanych i pod jarzmem ich jęczących, jak Gruzja, Armenia, nie widzieliśmy tam również przedstawicieli Rosji. Wprawdzie był tam Rosjanin czystej krwi, Jerzy Cziczerin, szlachcic, rodzony bratanek jednego z najgłębszych, najdostojniejszych myślicieli rosyjskich, Borysa Cziczerina – ale był i zasiadał przy stole obrad nie w roli delegata narodu swojego, lecz jako agent międzynarodowej spółki zbrodniarzy, morderców i oszustów, która zawładnęła Rosją. Znałem go przed laty. Przybył do Krakowa z matką swoją (ur. baronówną Meyendorf) w odwiedziny do jej siostry, a swojej ciotki, hr. Emerykowej Czapskiej. Szczupły, o twarzy nienormalnie bladej, robił wrażenie człowieka trawionego chorobą jakąś wewnętrzną, neurastenika i odludka. Zdaje się, że w ciągu dwu- czy trzymiesięcznego pobytu nikogo poza mną nie poznał, a w każdym razie nikogo znać nie chciał, do nikogo nie zbliżył się. Wszechstronnie wykształcony, z umysłem rozległym, równie się interesującym zagadnieniami polityki, jak filozofii, a wrażliwym na piękno artystyczne, on pierwszy z Rosjan – a może i jedyny – odczuł czar tak obcej duchowi rosyjskiemu poezji Słowackiego. Odczuł w tych ustępach, które znalazł w rosyjskim wydaniu moich Mesjanistów i słowianofilów. Pod wrażeniem ich zapragnął nauczyć się po polsku. „Jest to cudowne aż do szaleństwa (eto do bezumja czudno) – pisał potem do mnie o Słowackim i Krasińskim – ten olbrzymi Schwung, to upojenie nieskończonością, melancholia, ten rozmach fantazji, ten blask i ta wspaniałość barw! Podziwiasz Pan Shelleya, ale Shelley w porównaniu z nimi to suchy pedant, jak zresztą wszyscy esteci angielscy"… Poezja polska nauczyła go sympatycznie sprawę polską rozumieć […]

„Cywilizacja kapitulowała tam przed barbarzyństwem"

Czy więc sprzeniewierzył się ideałom swoim, pamięci swego stryja? Oczywiście tak, ale tego człowiek ten nie czuł. Widzimy w nim typowy obraz prostolinijności myślenia rosyjskiego, stanowiącej nieszczęście narodu tego, grunt, na którym idee wywrotowe powstają i szerzą się. Opozycyjność w stosunku do polityki rządu zwróciła go w stronę rewolucji. Zrazu, w czasie wojny japońskiej, toczyła się w nim walka między uczuciem patriotyzmu państwowego a nienawiścią do rządu, w którym winowajcę wszystkiego złego upatrywał. To ostatnie zwyciężyło – i znalazłszy się w gronie rewolucjonistów, powiedział sobie: jeśli rewolucja, to niech będzie całkowita, nie połowiczna; niech Rosja stanie się pustynią, niech umiłowany mój lud rosyjski wyginie z nędzy i głodu, byleby pożar z Rosji przeniósł się do Europy i ją objął…

I zbryzgany krwią męczenników, obrońców tego ludu, który on niby to tak umiłował, stanął Cziczerin w Genui. O wspólnictwie jego z katami Rosji któż tam pamiętać chciał, witano go jako ministra potężnego państwa, katolicki biskup trącał się z nim kielichem… Widowisko obrzydliwe… Europa, którą słusznie ze sforą rozjuszonych psów gryzących się wzajemnie porównują, do reszty utraciła w Genui swój prestiż moralny: „Cywilizacja kapitulowała tam przed barbarzyństwem" – tak określił Aleksander Lednicki zwięźle a dosadnie wynik Zjazdu. Z tego nawet nie zdawano sobie tam sprawy, że rozprawiać i szukać wspólnych pryncypiów z rządem, który otwarcie głosi, że celem jego jest zniszczenie wszystkich ustrojów społecznych i państwowych we wszystkich krajach cywilizowanych, to skazywać siebie z góry na porażkę i dawać dostęp propagandzie komunizmu. – Z Genui w chwale i blaskach tryumfatora udał się Cziczerin do Berlina, stamtąd po należne sobie hołdy do Warszawy […]

Nie wyobrażaliśmy, ażeby nonsens, jakim był program bolszewicki, mógł wejść w życie i utrzymać się. A jednak nonsens ten trzyma się, bolszewizm potężnieje. Gdyby zaś kto powiedział, że przeciwnie, bolszewizm jest w stanie rozkładu, nie zaprzeczyłbym i temu. Rozkład i potęga idą tu w parze, bo w rozkładzie swoim bolszewizm jest potężny, jest groźny, zaraził Europę, Polskę; szaleńcom, którzy noc biorą za dzień, wydaje się „jaśniejącym obliczem dnia nowego" […]

Mordom i okrucieństwom nadano ideologiczny fundament, czego jeszcze nigdy i nigdzie nie było. Z narzędzia władzy stał się terroryzm systemem, planowym wprowadzeniem gwałtu we wszystkie dziedziny życia, apoteozą mordu.

I w tym stali się bolszewicy pionierami nowego porządku na świecie, twórcami nowej ery; zasady ich,

eprasa.pl c90328c217

polityka, postępowanie nie tylko nie wywołały protestu świętego gniewu, ale zaimponowały, zahipnotyzowały świat […]

Terroryzm odpowiadał zarówno instynktom mas, jak i taktyce bolszewizmu

Baron Mikołaj Wrangel, ojciec generała, opowiada w swoich niepospolicie zajmujących, świetnym piórem kreślonych Wspomnieniach, że cudzoziemców, z którymi się stykał po wydostaniu się z sowieckiej Rosji, jedna rzecz szczególnie dziwiła i wszyscy wyjaśnienia jej od niego żądali: „Jak się to stać mogło – pytali – że naród 150-milionowy tak łatwo dał się ujarzmić przez znikomą mniejszość?" – „Nie mniejszość – odpowiadał Wrangel – lecz po prostu garstka łotrów; ale owa garstka – Lenin, Bronsztejn-Trocki, Nachamkis-Stiekłow, Apfelbaum-Zinowjew, Rosenfeld-Kamieniew i kilku innych – niezmiernie przerastała eunuchów rządu tymczasowego z Kiereńskim na czele stanowczością oraz kolosalną energią". Sięgnąwszy po władzę, kogo mieli za sobą? Zbuntowanych i zanarchizowanych żołnierzy, robotników, z których nie wszyscy byli pewni, i oczywiście wszelkiego rodzaju męty społeczne. Chłopstwo było obojętne. Aby je pozyskać, rzucili hasło bezkarnej grabieży dóbr państwowych i prywatnych […]

Wśród wspólników zaś Lenina byli jeszcze tacy, co mieli sumienie. Wątpienia ich rozpraszał potężny autorytet Lenina. Przy każdej sposobności wpajał im konieczność terroru. Terroryzm odpowiadał zarówno instynktom mas, jak i taktyce bolszewizmu: „Czy wyobrażacie sobie, że moglibyście bez terroru osiągnąć zwycięstwo i że zdołamy bez terroru utrzymać się na zdobytych pozycjach? Policję stworzymy z łatwością, a funkcje sądów spełni Czeka". Ale nader zręcznie zarządził Lenin, aby do kompetencji jej należała nie tylko walka z kontrrewolucją, lecz także nadużycia służbowe, bandytyzm, dezercje, sabotaże. Innymi słowy: rządzimy terrorem, ale terror stosujemy nie tylko przeciw zamachowcom kontrrewolucjonistom; karamy wszelkie nadużycia na szkodę państwa czynione […]

Dekrety demoralizowały ludność, pozbawiając ją poczucia prawa. Jako przykład Wrangel przytacza żonę portiera swego domu, poczciwą babinę, którą lubił i nic do zarzucenia jej nigdy nie miał. Bratanek jej, 14-letni Sieroża, wykradł u niej wszystkie jej oszczędności – koło dwóch tysięcy rubli. Była w rozpaczy. „Po kilku dniach ujrzałem ją rozpromienioną; co się stało? Kilku jego kolegów urządziło nocną wyprawę na czyjeś mieszkanie; udała się świetnie, podzielili się łupem, na każdego wypadło po 20 tysięcy – bratanek z radości wielkiej zwrócił cioci sumę, którą u niej ukradł. »Ależ to rozbój« – powiedziałem. »Panie, dziś wszyscy to robią; czy mamy z głodu zdychać?« – Przeszło jeszcze kilka miesięcy, a wspominaliśmy owe czasy jako stare, dobre czasy" […]

Teraz Rosja jest królestwem diabła

Bolszewizm postanowił doszczętnie z duszy człowieka wykorzenić wszelką myśl o Bogu, tym samym zabić tęsknotę za życiem wyższym i zniszczyć, począwszy od świątyń Bożych, wszystko na świecie, co tęsknoty tej widomym jest wyrazem. Niech nawet śladu nie będzie, że istniała religia, że modlili się ludzie […]

Teraz Rosja jest królestwem diabła. W końcu stycznia 1923 r. odbył się w klubie garnizonu moskiewskiego sąd nad Panem Bogiem w obecności

BOLSZEWIZM POSTANOWIŁ DOSZCZĘTNIE Z DUSZY CZŁOWIEKA WYKORZENIĆ WSZELKĄ MYŚL O BOGU, TYM SAMYM ZABIĆ TĘSKNOTĘ ZA ŻYCIEM WYŻSZYM I ZNISZCZYĆ, POCZĄWSZY OD ŚWIĄTYŃ BOŻYCH, WSZYSTKO NA ŚWIECIE, CO TĘSKNOTY TEJ WIDOMYM JEST WYRAZEM.

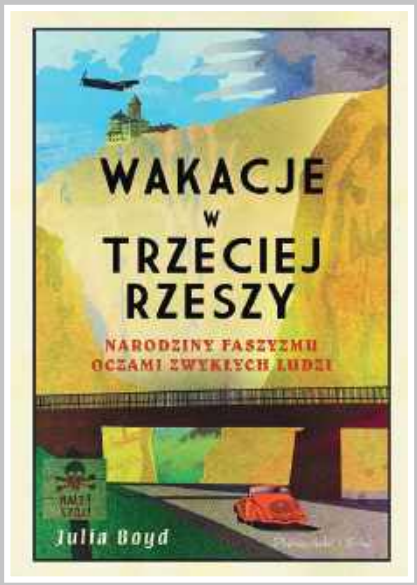
Trockiego i Łunaczarskiego. Ponieważ podsądny nie zjawił się, więc zaocznie skazany został na śmierć […]

Do dzieła tego zabrali się z szatańską przebiegłością, rozumiejąc, że w starszym pokoleniu nawet wśród ludzi obojętnych w rzeczach religii nie znajdą posłuchu, a natrafić mogą na opór. Więc zdobyć dusze dziecięce, przede wszystkim organizacje tzw. małych pionierów. Ci mają ateizm już wpojony sobie i dzięki temu, pisał Bucharin, „ich małe, słabe rączki powoli niszczą tę najmocniejszą twierdzę wszystkich obrzydliwości starego reżymu, jaką jest rodzina".

Najskuteczniej zaś niszczą – dodamy od siebie – drogą delatorstwa, bo mają sobie przez władze szkolne nakazane donosić, co rodzice robią, z kim obcują, o czym mówią. ■

Przedruk za: Marian Zdziechowski, „W obliczu końca", Wydawnictwo ANTYK Marcin Dybowski, 2011.

eprasa.pl c90328c217



Julia Boyd, „Wakacje w Trzeciej Rzeszy. Narodziny faszyzmu oczami zwykłych ludzi", przełożyła Magdalena Moltzan-Małkowska, Prószyński i S-ka, Warszawa 2019

Krzysztof Wołodźko



Totalitaryzm z ludzką twarzą. Jak oswoić terror

„Wakacje w Trzeciej Rzeszy. Narodziny faszyzmu oczami zwykłych ludzi" Julii Boyd to przenikliwy i zatrważający obraz totalitaryzmu z ludzką twarzą. Przygnębiające świadectwo tego, jak „zwykli i dobrzy" Niemcy stali się współtwórcami jednego z najbardziej krwiożerczych państw na świecie w historii ludzkości. Pozorna sielanka, spokój i rosnący dobrobyt narodowosocjalistycznego życia, zachwyt gości ze świata długo uspokajały umysły turystów i podróżnych. Aż stało się najgorsze.

eprasa.pl c90328c217

Byłoby przesadą twierdzić, że na początku XXI wieku da się jeszcze powiedzieć coś nowego o narodzinach narodowego socjalizmu w Niemczech. Intelektualiści na całym świecie mierzą się z tym wyzwaniem od dekad, obraz wydaje się pełen. Poza tym dziś, 100 lat po tamtych straszliwych wydarzeniach, Rosja znów daje Europie potworny przykład – neototalitaryzm stał się faktem. Nie wiemy jednak, jaką ostateczną formę przybierze, komu i w jakiej postaci przyjdzie opisywać jego narodziny, rozkwit i upadek. Najprawdopodobniej wiele narzędzi opracowanych dla zrozumienia wcześniejszych totalitaryzmów będzie pożytecznych i w tym przypadku – także pod kątem badań dotyczących przeobrażeń społecznych.

Niemcy Hitlera, nowoczesność i tradycja

Wróćmy do książki „Wakacje w Trzeciej Rzeszy" Julii Boyd. Sięgając po tę pracę, miałem obawy, czy nie spotkam się ze zbyt naiwnym obrazem hitlerowskich Niemiec. Szczególnie że autorka sięgnęła po źródła, którym z oczywistych przyczyn brak było dystansu i zrozumienia tego, co dziś wydaje się oczywiste. A jednak obraz jest porażający i przerażający; subiektywne źródła, przejrzyście podane i opracowane, dają szczegółowy obraz wcielonego w życie państwa i narodu narodowego socjalizmu jako pewnej wizji nowoczesności. Wizji, która bardzo wielu w tamtych czasach wydawała się atrakcyjna i zgodna z duchem epoki rozumu, nauki, techniki i wzrostu społecznego dobrobytu. Niemcy Adolfa Hitlera, coraz bardziej złowrogie dla świata, zachwycały przybyszów.

Zło chowało się za solidnością i pięknem krajobrazów: „Nie trzeba być zwolennikiem faszyzmu, aby podziwiać zieleń wsi, obfitość winnic i sady, rozciągające się jak okiem sięgnąć. Tymczasem nieskazitelne średniowieczne miasteczka, schludne wioski, czyste hotele, serdeczność ludzi i zdrowe, tanie jedzenie, nie wspominając o Wagnerze, skrzynkach z kwiatami oraz spienionym piwie, rok w rok niezawodnie przyciągały turystów mimo rozpowszechnienia wiedzy o mrocznych aspektach reżimu". Niemiecki totalitaryzm, inaczej niż sowiecki ustrój, nie rodził się wśród powszechnej nędzy, w państwie splądrowanym przez bolszewicką rewolucję. Rodził się w kraju w sercu Starego Kontynentu, stopniowo odbudowywanym po wielkim kryzysie. Miał za sobą wielowiekową tradycję cywilizowanej, chrześcijańskiej Europy; tradycję filozofii i poezji, religii i kultury, przemysłu, bankowości, handlu i rzemiosła, nauki i techniki, spółdzielczości i samopomocy. Jak pośród tak wielkiego dobra mogło się zrodzić tak wielkie zło?

Boyd zwraca uwagę, że Niemcy byli przed II wojną światową pożądanym kierunkiem dla podróżnych. Turystyka w tamtych czasach nie osiągnęła jeszcze tak gigantycznych rozmiarów jak w naszych czasach, ale była już liczącym się biznesem i formą spędzania aktywności. Warto przypomnieć sobie, że w „Rodzinnej Europie" Czesława Miłosza ważne miejsce zajmuje opis krajoznawczej podróży po przedwojennych Niemczech. Trzeba także pamiętać o znienawidzonym przez hitlerowskie Niemcy i ocenzurowanym w PRL reportażu podróżniczym po Prusach Wschodnich pióra Melchiora Wańkowicza, czyli „Na tropach Smętka".

Przed wybuchem wojny jako turyści do Niemiec chętnie przybywali nie tylko Europejczycy, lecz także Amerykanie. W 1937 roku liczba „prostaczków z USA" (nawiązuję do głośnego tytułu Marka Twaina) odwiedzających III Rzeszę sięgnęła pół miliona osób rocznie. Boyd przypomina: „Aby nacieszyć się europejską przygodą, raczej nie zawracali sobie głowy zagadnieniami politycznymi, co znacznie ułatwiali im Niemcy, którzy nie szczędzili starań, by przyciągnąć cudzoziemców, przede wszystkim Amerykanów i Brytyjczyków". Przypomina również: goście chcieli świętego spokoju i ułatwiali sobie odpoczynek albo bagatelizując złowróżbne doniesienia o reżimie Hitlera, albo traktując widoczne objawy nazizmu jako element folkloru, ciekawostkę z wakacji. Niektórzy też uważali, że „Żydzi mają swoje za uszami". Więcej wiedzieli dyplomaci, wojskowi, dziennikarze – ich wspomnienia i relacje z tamtych czasów z czasem stają się coraz bardziej złowróżbne. Zaryzykować można tezę, że arystokratyczna pogarda dla niemieckich faszystów i narodziny społeczeństwa masowej konsumpcji sprzyjały budowaniu hitleryzmu – przedstawiciele elit traktowali narodowych socjalistów jak kuriozum, a przeciętny turysta chciał się w III Rzeszy dobrze bawić i odpocząć.

III Rzesza. „Młodzi przestali się garbić"

Jeszcze w epoce wielkiego kryzysu brytyjski tygodnik „Observer" donosił, że Bawaria to region, w którym turyści mogą liczyć na „doskonały wikt i niemiecką gościnność w kolorowych domkach, za umiarkowaną cenę". Upadek Republiki Weimarskiej i triumf Adolfa Hitlera łatwiej mogły umknąć w sielskim otoczeniu, z dala od wielkiej historii. Inaczej było w Berlinie, gdzie brytyjski dziennikarz Owen Tweedy, tuż przed wyborami z marca

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl c90328c217

1933 roku, natknął się na bitego przez oddział nazistów chłopaka: „Zdrętwieliśmy ze strachu i wzięliśmy nogi za pas. Nie posiadaliśmy się ze szczęścia, gdy zamknęły się za nami drzwi hotelu". Z czasem mentalne „zatrzaśnięcie drzwi" za najbardziej niepokojącymi symbolami niemieckiej rzeczywistości weszło w nawyk gościom. Clara Louise Schiefer z Rochester w stanie Nowy Jork latem 1933 roku spędziła miesiąc w Niemczech. To był szkolny wyjazd: nocowali w pierwszym, jaki powstał na świecie, hostelu młodzieżowym (został powołany do życia przez Richarda Schirrmanna jeszcze w 1912 roku). Wspaniały zamek z XII wieku, pyszne jedzenie, zachwyt młodzieńczą przygodą: „[…] jej Niemcy to pogodny kraj pełen słońca, śpiewu i życzliwości". Niektórzy przybysze na bieżąco przyglądali się przemianom niemieckiego społeczeństwa. Amerykanka Mary Goodland lato 1933 roku spędziła u niemieckiej rodziny w Düsseldorfie. Frau i Herr Troost długo nie chcieli się angażować w politykę. Dopiero gdy w okolicy zaczęły pękać rozbijane w drobny mak przez nazistowskie bojówki szyby, zdecydowali, że czas wziąć udział w paradzie z pochodniami SA. Ale po powrocie do domu nie chcieli rozmawiać ani o Żydach, ani o traktacie wersalskim. Bolały ich pogryzione przez komary nogi.

W spokój w Niemczech chcieli wierzyć także ludzie działający na pograniczu biznesu i sztuki. Latem 1934 roku agencja turystyczna Thomas Cook & Son tak reklamowała w „The Times" niemiecki festiwal – Pasję w Oberammergau: „Dzisiaj wszyscy mówią o Niemczech – zachodzą w głowę i snują domysły, częstokroć posuwając się do przesady. Zbyt wielu myli zawirowania polityczne z ingerencją w zwyczajne życie społeczności i niewątpliwie zdziwiłoby się na wieść, iż życie w Berlinie płynie równie miło i spokojnie jak w Londynie". Cook's Tour wysyłała gości do Niemiec od 1890 roku – sięgające XVII wieku misterium Męki Pańskiej przyciągało gości z całego świata. Piękno alpejskiej przyrody, cisza starej wsi, mistycyzm i marka stylizowanego na ludowe widowiska gwarantowały dobry zarobek – brytyjska firma miała powody, żeby uspokajać swoich klientów. I co z tego, że Pasję z Oberammergau upodobał sobie Adolf Hitler jako „świadectwo żydowskiego zagrożenia dla rasy aryjskiej"? Baptyści, którzy odwiedzili widowisko przy okazji światowego kongresu w Berlinie, byli zachwyceni także nim: „Przywódca, który nie pali i nie pije, opowiada się za skromnością kobiet i przeciw pornografii, nie może być taki zły". Nie przeszkadzały im jawne oznaki barbarzyństwa: „[…] na stosach komunistycznych żydowskich bibliotek w nowych Niemczech spłonęły też niezliczone książki i magazyny o szkodliwym przesłaniu".

Wspomniałem wyżej, że zachodni dyplomaci mieli mniej złudzeń wobec III Rzeszy niż przeciętni turyści i podróżni, budujący swój obraz Niemiec na podstawie własnych zachwytów odwiedzanym krajem i poglądów o świecie. Ale także oni mieli twardy orzech do zgryzienia. Arthur Yencken, australijski dyplomata, który w czasach wielkiego kryzysu pracował dla brytyjskiego rządu, jesienią 1935 roku zachwycał się państwem Hitlera: „Każdy, kto ponownie odwiedza Niemcy po dwóch lub trzech latach, musi być zdumiony generalną poprawą wyglądu ludzi. Hordy okropieństw z Europy Wschodniej poznikały w dużej mierze z ulic i kawiarni, ale to nie koniec. Cała populacja nabrała rumieńców. Wszyscy prezentują się schludnie, jakby zorganizowano powszechną akcję prasowania i strzyżenia […]. Młodzi ludzie przestali się garbić, w czym małpowali niezadowolony proletariat. Wzięli się za siebie i ewidentnie uczynili to z własnej i nieprzymuszonej woli. Odzyskali szacunek do siebie".

▶ Turyści nie chcą polityki

Można by wzruszyć ramionami z pobłażliwym uśmiechem nad tą paradą klasowych i narodowych uprzedzeń, gdyby nie fakt, że nie były odosobnione. III Rzesza jawiła się przybyszom z Zachodu jako wcielenie państwa modernizującego się, ponieważ ówczesny antysemityzm i – szerzej – problem rasowy skupiał w sobie szereg zagadnień eugenicznych i cywilizacyjnych, w których neopogański światopogląd splatał się z wiarą w naukowe rozwiązanie licznych problemów dawnego świata. Niemcy Hitlera ofiarowały gościom coś jeszcze: przekonanie, że coraz bardziej nowoczesne życie da się harmonijnie połączyć z prostotą ludowych obrzędów, powrotem do dawnych czasów, znacznie bliższych życiu na łonie natury. Amerykańscy goście w 1935 roku mogli oglądać bawarski taniec ludowy: „Drwale w zielonych kapeluszach, spodniach i kurtkach wyglądali olśniewająco, a ich oblicza o rzeźbionych rysach i długich brodach przywodziły na myśl twarze apostołów". Od pozoru duchowości szybko przechodzi się do innych rozrywek: „Podczas biesiady, która rozpoczynała się w niedzielę po mszy i trwała do szóstej rano następnego dnia, serwowano ogromne ilości wieprzowiny, zapijanej wyjątkowo ohydnym – zdaniem cudzoziemców – piwem". Turyści nie rozmawiali o po-

eprasa.pl c90328c217

lityce. Ale jedna rzecz rzucała im się w oczy: wszechobecność wojska. Wbrew woli gospodarzy do Garmisch podczas zimowych igrzysk 1936 roku przemycano także egzemplarze gadzinówki „Der Stürmer". Wielu cudzoziemców nie mogło uwierzyć w obrzydliwość narodowosocjalistycznej ideologii i propagandy. Kilka tygodni później wojska Hitlera weszły do Nadrenii. Ale strach przed wojną, wywołaną zuchwalstwem raczkującej wciąż III Rzeszy, trwał tylko moment. Chwilę później niemieckie gazety rozpisywały się na temat wizyty szkolnej drużyny brytyjskich hokeistów, którzy odwiedzili Drezno i Lipsk jako „sportowi ambasadorzy pokoju i dobrej woli".

Niemiecki, podobnie jak sowiecki totalitaryzm, dbał o spektakularne propagandowe wydarzenia. W sierpniu 1937 roku kilkoro brytyjskich obywateli sympatyzujących z III Rzeszą zostało zaproszonych na pokład „Wilhelma Gustloffa". Był to słynny niemiecki statek pasażerski, flagowy statek wycieczkowy floty organizacji nazistowskiej „Kraft durch Freude". Nosił imię zamordowanego w 1936 roku członka NSDAP Wilhelma Gustloffa. Tamtego lata Niemcy urządzili rejs do Portugalii i na Maderę dla 1500 niemieckich robotników i ich rodzin. Chcieli, by brytyjscy goście opowiedzieli o tym swoim rodakom. Zachwycony angielski adwokat Archibald Crawford pisał: „Dwutygodniowy rejs na luksusowym liniowcu, Madera i Lizbona, sześć posiłków dziennie, mnóstwo rozrywek, w tym występ najlepszej trupy marionetkowej na świecie, wybitnych śpiewaków operowych i kilku orkiestr, a także kieszonkowe w portugalskiej walucie zapewniane przed zejściem na ląd kosztowały każdego z robotników ułamek tego, co musiałby zapłacić, gdyby korzystał z usług zwykłej agencji". Crawford wspominał, że „bardziej przypominaliśmy wielką szkołę z internatem niż grupę dorosłych" i że „polecenia wydawano hurtowo, ale zawsze były przyjmowane ochoczo i niezwłocznie wypełniane". To wspaniały materiał na film lub serial: zobaczyć niemieckich robotników z „Wilhelma Gustloffa" latem 1937 roku. I w kolejnych latach, po wybuchu wojny – jak ochoczo i niezwłocznie wykonują polecenia swoich przełożonych w Niemczech i w Polsce, w mundurach i po cywilnemu. Zobaczyć ich, jak bawią się na statku płynącym do Portugalii i jak giną na frontach – albo jak uciekają przed aliantami w głąb Niemiec. I spojrzeć na brytyjskiego adwokata zafascynowanego narodowym socjalizmem – wtedy i później, gdy Luftwaffe bombardowała Londyn.

Wiele analiz totalitaryzmu przesadnie skupia się na jego najbardziej złowrogich elementach. Chętnie mówi się też o ślepocie stosunkowo nielicznego, lecz wpływowego grona zachodnich polityków, którzy przynieśli światu i hańbę, i wojnę. Julia Boyd pokazuje o wiele bardziej skomplikowany obraz narodzin narodowosocjalistycznego państwa. Pokazuje wielość motywów i przenikających się wątków, w których kultura i religia mieszają się z biznesem, ideologia z konformizmem, nazistowska propaganda z narodzinami społeczeństwa masowego z jego beztroskim pragnieniem krótkowzroczności i konsumpcji, niezakłóconej wyrzutami sumienia. Logika zła wciągała w swoją orbitę nie tylko ludzi jawnie sprzyjających III Rzeszy i jej wodzowi, lecz także tych, którzy „chcieli tylko wypoczywać", i tych, którzy mówili, że „nie jest przecież tak źle". Wiele mówi okładka polskiego wydania książki Boyd: czerwone luksusowe auto mknie autostradą ku pełnej słońca przyszłości. Niebem płynie samolot, nad krajobrazem góruje piękny zamek. Chmury i trupia czaszka z napisem „Halt" są gdzieś na boku, w oddali. I łatwo przeoczyć moment, gdy jest już za późno na ratunek. ■

Julia Boyd pokazuje obraz narodzin narodowosocjalistycznego państwa, prezentując wielość motywów i przenikających się wątków, w których kultura i religia mieszają się z biznesem, ideologia z konformizmem, nazistowska propaganda z narodzinami społeczeństwa masowego z jego beztroskim pragnieniem krótkowzroczności i konsumpcji, niezakłóconej wyrzutami sumienia.

eprasa.pl c90328c217

Łukasz Czarnecki

„Wesele" Stanisława Wyspiańskiego to obok „Dziadów" Adama Mickiewicza najważniejszy dramat w historii naszej literatury. Jak żaden inny odsłania wnętrza polskich dusz, w tym te ich wstydliwe zakamarki, o których Polacy woleliby zapomnieć. Tyle wie każdy absolwent liceum. Niestety, niezależnie od tego, kto stoi na czele Ministerstwa Edukacji, z programu szkolnego uczniowie nie dowiadują się zbyt wiele o okolicznościach powstania arcydzieła. A szkoda, bo ciągnące się przez dobrą dekadę perypetie, które ostatecznie doprowadziły 16 marca 1901 roku do krakowskiej premiery „Wesela", przypominają… scenariusz dobrego sitcomu.

Miłość i sztuka w Bronowicach



„Cięgiem ino rod byś godać,
jakie to kochanie będzie . . . "

FOT. ARCH. POLONA.PL

eprasa.pl c90328c217

W XXI wieku Bronowice znajdują się w obrębie Krakowa i niczym specjalnym nie wyróżniają się na tle reszty miasta. Można wręcz powiedzieć, że są dość nijakie, jadąc do nich tramwajem, opuszczamy historyczną zabudowę i zanurzamy się w świat bloków pamiętających ustrój słusznie miniony. Patrząc przez okno wiozącego nas wagonika, trudno uwierzyć, że 120 lat temu miast burego krajobrazu rozciągały się tu uprawne pola i urokliwe wiejskie chaty, wśród których młodopolscy artyści znajdywali natchnienie dla swych dzieł, a niektórzy z nich także miłość…

Ludwik i Marysia albo tragedia galicyjska

Pierwszym krakowskim malarzem, który zwrócił uwagę na niewielką przycupniętą o rzut kamieniem (do tego stopnia, że należała do mariackiej parafii) wioskę, był Ludwik de Laveaux. Nazwisko miał ów młody malarz niezbyt słowiańskie (jego rodzina wywodziła się z Francji, co nie przeszkadzało ojcu młodzieńca żywić chorobliwej nienawiści do Paryża), ale w głębi serca był typowym polskim romantykiem. Gdy któregoś dnia, opuściwszy krąg Plant, zawitał do Bronowic, wydało mu się, że trafił do raju. Oto przed nim rozciągały się szumiące łany zboża, wśród których uwijali się malowniczy kmiecie. W niedzielę i święta chłopi zakładali bajecznie kolorowe stroje ludowe, a wieczorami przez wieś niosły się dźwięki mazurków i oberków wygrywanych przez miejscowych muzykantów.

Laveaux zakochał się w Bronowicach bez pamięci i miłością tą wkrótce zaraził kolegów z bohemy krakowskiej. Czas był ku temu zresztą sprzyjający, bo pod koniec XIX wieku elity artystyczne żywo zaczęły interesować się zwyczajami ludu polskiego. Już nie antyczni Rzymianie, Grecy czy średniowieczni rycerze rozpalali głowy młodzieży studiującej pod kierownictwem dyrektora Jana Matejki w Szkole Sztuk Pięknych, lecz chłopi idący do kościoła, tańcujący w barwnych strojach lub biorący udział w obrzędach ludowych, które mieszczanom wydawały się równie egzotyczne, co zwyczaje mieszkańców Wysp Wielkanocnych. Skoro zaś już o Wielkanocy mowa, to zaginiony dziś obraz Włodzimierza Tetmajera „Święcone" tak zachwycił Matejkę, że ten zaproponował młodemu artyście współpracę przy polichromii Kościoła Mariackiego, a gdy w roku 1886 Tetmajer wyjechał, by doskonalić kunszt nad Sekwaną, to przedstawiające polskich chłopów płótno przyniosło mu srebrny medal na wystawie w Paryżu.

Wkrótce młodzi artyści i kandydaci do tego miana tłumnie zjeżdżali się do Bronowic. Miejscówka była wprost idealna, bo dotrzeć do niej wozem można było w kilka kwadransów, spędzić cały dzień na malowaniu, a wieczorem wrócić do Krakowa na tyle wcześnie, by zdążyć jeszcze wpaść do ulubionej kawiarni. O ile oczywiście malarz wciąż trzymał się na nogach, bo wódka w bronowickiej karczmie Żyda Singera zapewne była o wiele tańsza niż w mieście.

Ludwik zakochał się nie tylko w walorach artystycznych Bronowic, lecz wkrótce całkowicie stracił też głowę dla nadobnej Marysi – córki miejscowego gospodarza Jacentego Mikołajczyka. Wielu innych na jego miejscu pewnie otumaniłoby wiejską pannę gładkimi słówkami, zaciągnęło ją na stóg siana, pozbawiło cnoty, po czym porzuciło na hańbę i sromotę. Jednakże mody malarz był człowiekiem honoru i oświadczył się dziewczynie. Narzeczeni wspólnie planowali już przyszłość, gdy Ludwik postanowił odwiedzić jeszcze Paryż, by studiować pod okiem tamtejszych mistrzów. Była to najgorsza decyzja w jego życiu, która zresztą doprowadziła je do rychłego końca.

Marysia miała zaczekać na powrót ukochanego, on zaś pojechał nad Sekwanę. Wzbudził tym gniew ojca, który odciął młodzieńca od środków utrzymania. Stary de Laveaux, opętany chorobliwą nienawiścią do ojczyzny przodków, odmówił wypłacenia synowi należnej mu części spadku po matce. W efekcie młodziutki artysta przymierał w stolicy Francji głodem, pędząc życie niemal kloszarda. Nie mając gdzie spać i jak się ogrzać, noce spędzał na komisariatach policji, szkicując osadzonych. Malował ile sił i sprzedawał swoje obrazy, ale był fatalnym marszandem. Zupełnie nie znał się na wartości swoich dzieł i sprzedawał je za grosze pewnemu Anglikowi, który słał obrazy do Londynu, gdzie znajdowały nowych właścicieli płacących za nie ogromne kwoty. Kwoty, z których oczywiście Polak nie zobaczył nigdy ani pensa. Fatalne warunki bytowania doprowadziły artystę do szybko postępującej gruźlicy. W końcu 5 kwietnia 1894 roku skonał w jakimś legowisku. Pochowano go na cmentarzu komunalnym, a nikt z rodziny nie zainteresował się sprowadzeniem zwłok do Polski. W chwili śmierci ukochany Marysi Mikołajczykówny miał zaledwie 25 lat.

Artysta z „paryskim szykiem"

Jak do tej pory nasza opowieść miała raczej zabarwienie tragiczne niż komiczne. Dalsze jednak bronowickie perypetie toczyły się w sposób o wiele bardziej łaskawy dla ich uczestników oraz zabawniejszy dla nas czytających o nich sto kilkadziesiąt lat później.

Wśród zarażonych przez Ludwika entuzjazmem do Bronowic był wspomniany już Włodzimierz Tetmajer. Urodzony w roku 1861 artysta pochodził z zacnego rodu wywodzącego się z Kurlandii (choć niektórzy jego członkowie ku furii krewnych dowodzili, iż raczej z Niemiec), całkowicie spolonizowanego i bardzo patriotycznego. Ojciec naszego bohatera – Adolf – bił się wraz z bratem Antonim w powstaniu listopadowym. Sam Antoni Tetma-

eprasa.pl c90328c217

jer skończył później niezbyt dobrze, bo w czasie rabacji galicyjskiej chłopi go „piłą rżnęli", cytując słowa Wyspiańskiego.

Wydawać by się mogło, że Włodzimierz przyszedł na świat pod nieszczęśliwą gwiazdą. Wkrótce po tym jak wydał pierwszy krzyk, jego matka zmarła wskutek komplikacji poporodowych. Ojciec najpierw oddał malucha pod opiekę krewnej, a cztery lata później stanął na ślubnym kobiercu z 30 lat młodszą od siebie Julią Grabowską, z którą doczekał się niedługo potem syna – Kazimierza Tetmajera, bardziej znanego studentom literatury polskiej jako Przerwa-Tetmajer. Pani Julia kochała Kazia miłością tak zaborczą, że wręcz toksyczną (prawdopodobnie dokładając tym sporo cegiełek do choroby psychicznej, która w życiu dorosłym miała gnębić poetę), ale i dla pasierba sporo jej zostało, a sam Włodzimierz po latach nie dość że wspominał macochę bardzo ciepło, to jeszcze po śmierci ojca zaprosił ją, by wraz z przyrodnim bratem zamieszkali u niego w domu.

Adolf widział w swoim synu przyszłego prawnika. Być może chciał tym samym zapewnić mu pracę dającą stały i godny dochód, bo sam, jak to polski szlachcic, głowę do interesów miał nietęgą. W pewnym momencie rodzina musiała sprzedać swój majątek ziemski i przenieść się do Krakowa. Tam Włodek zaczął uczęszczać do sławnego na całą Polskę Gimnazjum św. Anny, najstarszej w dziejach naszego kraju (a zarazem jednej z najlepszych) świeckiej szkoły średniej (działającej do dziś jako I Liceum im. Bartłomieja Nowodworskiego). Jednakże chłopca bynajmniej nie ciągnęło do paragrafów, zamiast marzyć o procesach, myślał o sztuce. Ojcu, który malarstwo uważał za zawód niepoważny, długo nie zdradzał swych pragnień, po maturze zostając studentem filologii klasycznej i filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wizję syna zakuwającego Cycerona łatwiej było panu Adolfowi znieść niż jego widok za sztalugami. Zresztą młody Tetmajer tak pokochał język Rzymian, że później przez całe życie nieustannie wplatał w swoje wypowiedzi starożytne sentencje, a gdy został wybrany na posła do austriackiego parlamentu, w swoim pierwszym wystąpieniu zapowiedział, że hołdując tradycjom polskiej szlachty, będzie przemawiał do izby wyłącznie… po łacinie. Czego się zresztą przez całą swoją polityczną karierę czasów nieboszczki C.K. Monarchii trzymał.

Ostatecznie jednak malarskich ciągot nie udało się ukrywać w nieskończoność. Włodzimierz, porzuciwszy Scypiona, ruszył do Wiednia na Akademię Sztuk Pięknych. Potem studiował malarstwo w Krakowie, Monachium i Paryżu. Odnosił znaczne sukcesy i zarabiał na sprzedaży swych obrazów na tyle dobrze, że stary Tetmajer w końcu się udobruchał i nawet zaczął odczuwać dumę z sukcesów syna. Sam artysta rychło wyrósł w Krakowie na kogoś w rodzaju celebryty, imponującego swym „paryskim szykiem". I jak na prawdziwego celebrytę przystało, wkrótce stał się bohaterem skandalu, który, gdyby rzecz działa się w XXI wieku, zapewne trafiłby na łamy plotkarskich portali. Choć w dzisiejszych demokratycznych czasach cała sprawa pewnie nikogo by nie obeszła. Tymczasem w XIX wieku krakowskie plotkary, podstarzałe matrony, dewotki i filistrzy doskonale poradzili sobie bez mediów społecznościowych i Internetu.

Niezdrowa sensacja

Włodzimierz Tetmajer, zafascynowany zwyczajami ludu polskiego, chętnie uwieczniał je na swoich płótnach. Wzorem kolegów po pędzlu w poszukiwaniu natchnienia jeździł do Bronowic, gdzie rozkładał się ze sztalugami wśród malowniczego wiejskiego krajobrazu i malował to, co miał przed oczami. Często zachodził też do miejscowej rodziny Czepców na przekąskę, pogwarkę i może łyk czegoś mocniejszego z gospodarzem. Tak się zaś składało, że familia ta była spokrewniona z Jacentym Mikołajczykiem, ojcem Marysi i jej sióstr. Jedna z nich – Anna – ukończyła właśnie 17 wiosen, więc choć dziś byłaby za młoda nawet na to, by podejść do matury, wedle ówczesnych standardów była już panną na wydaniu. Starszy od niej o trochę ponad dekadę malarz zupełnie stracił głowę dla tej cudownej wiejskiej piękności i poprosił o jej rękę.

Gdy Adolf dowiedział się o postępku syna, omal go nie trafiła apopleksja. Co prawda miłość do polskiego ludu pierworodny spadkobierca nazwiska Tetmajerów wyniósł właśnie z rodzinnego domu, ale wpajając mu ją, ojciec miał na myśli uczucia platoniczno-patriotyczne, a nie matrymonialne! Zapewne starszemu panu po głowie chodziło też pytanie, co w czasie rabacji robił dziadek Mikołajczyk i czy przypadkiem nie rżnął kogoś piłą. Co gorsza, wiejska panienka nie wnosiła w stadło wielkiego posagu, a Adolf, licząc się z tym, że powodzenie artystów na pstrym koniu jeździ, marzył o wydaniu pierworodnego za jakąś posażną dziewczynę z zamożnego rodu, z której wiana i posagu syn malarz mógłby wygodnie żyć, nie martwiąc się o to, czy ktoś kupuje jego obrazy. Stary Tetmajer do końca życia miał nie zaakceptować synowej, zresztą nie musiał znosić jej zbyt długo, bo wkrótce po ślubie syna zmarł. Jeśli chodzi o panią Julię, to ona tylko machnęła na całą sprawę ręką, bo to nie o jej ukochanego Kazia chodziło (ten również lubił chłopki, ale tylko jako szybkie przekąski erotyczne, konsumowane na stogu siana). Sam Przerwa-Tetmajer nie odnosił się do bratowej zbyt serdecznie, gdy dekadę później „naczelna ciotka Krakowa" – Antonia Domańska, przerażona tym, że jej ukochany (acz dziwaczny) krewniak Lucjan Rydel żeni się z młodszą siostrą Anny – Jadwigą, zapytała poetę, jak to jest mieć chłopkę w rodzinie, ten sarknął tylko: „To zależy od poglądów".

eprasa.pl c90328c217

Ślub odbył się11 lipca 1890 roku w Kościele Mariackim. Na uroczystości pojawiła się tylko garstka najbliższych przyjaciół pana młodego i krewnych oblubienicy. Włodzimierz doskonale zdawał sobie sprawę, że ludzie wezmą go na języki i nie zamierzał ułatwiać im robienia ze swego małżeństwa niezdrowej sensacji. Niestety, owe zapobiegawcze kroki na niewiele się zdały, bo wkrótce cały Kraków huczał od plotek. W większości obrzydliwych.

Dawna stolica królów polskich pod koniec XIX wieku była miastem bardzo prowincjonalnym (stolica Galicji znajdowała się w o wiele większym i nowocześniejszym Lwowie). Opromieniała je oczywiście chwała dawnych wieków, wyśmienity uniwersytet i działalność miejscowych artystów, ale poza tym... Złośliwi mawiali, że największą rozrywkę krakowian stanowiły pogrzeby – im bardziej znamienitego nieboszczyka, tym lepiej. Jeśli takiego brakowało, zawsze można było wykopać kogoś spoczywającego w ziemi i ponownie go z wielką pompą pochować, co spotkało króla Kazimierza Wielkiego. Inni mówili jeszcze gorsze rzeczy, ale że autor tych słów sam jest krakowianinem (i lokalnym patriotą), przytaczać ich nie będzie. W każdym razie, jak wiadomo, ulubionym zajęciem mieszkańców zapadłych prowincjonalnych miejscowości jest plotkowanie o sąsiadach, a Kraków w XIX wieku był pod tym względem miastem wzorcowym.

Podglądacze na bronowickim podwórzu

Krakowscy mieszczanie i arystokraci jednogłośnie uznali, że młody malarz oszalał. Ludzie pukali się w czoło i zapytywali, co artysta robi właściwie z taką „prostaczką". Podstarzałe matrony snuły plany najazdu na Bronowice, by ratować biednego złotego chłopca przed własną głupotą. Komentarze, jakie padały na temat związku Włodzimierza i Anny, z reguły mówiły więcej o samych komentujących niż o młodej parze, obnażając głupotę plotkarzy, zbyt głupich jednak, by ją zauważyć. Wszystkie rekordy pobiła bawiąca w Krakowie arystokratka z Kresów – księżna Czetwertyńska, która popijając herbatkę z macochą naszego bohatera, zapytała ją o małżeństwo pasierba: „A po jakiemu oni mówią ze sobą? Czy pan Włodzimierz umie po rusku?". Oderwana od rzeczywistości jak balon od ziemi dama głęboko wierzyła bowiem, że wszyscy chłopi mieszkający na terenach dawnej Rzeczypospolitej są Ukraińcami.

Plotki odbiły się źle na sytuacji materialnej małżonków. Ludzie nie chcieli już zatrudniać Tetmajera, by ich malował, a marszandzi mieli problemy ze sprzedażą jego obrazów. Filistrzy znad Wisły gadali bowiem, że nie może być wielkim artystą człowiek tak mało ambitny, że bierze za żonę jakąś wieśniaczkę. Używając współczesnej terminologii, państwo Tetmajerowie w pierwszym okresie swego pożycia małżeńskiego spotkali się z falą hejtu. Zareagowali jednak na niego w najbardziej właściwy sposób – mieli całą tę gadaninę w nosie. Najważniejsze dla nich było, że są razem i się kochają. Początkowo mieszkali w Krakowie, ale mający dość wścibskich sąsiadów malarz, wysupławszy swoje oszczędności, wybudował w Bronowicach domek, gdzie przeniósł się z małżonką. Wkrótce ich skromne domostwo wypełniły śmiech i radość, bo para doczekała się aż dziewięciorga dzieci. Parę lat później dołączyli do nich owdowiała Julia Tetmajerowa z ukochanym Kaziem. A gdy z czasem interesy zaczęły iść dobrze, a sława Włodzimierza sięgnęła zenitu, czyniąc zeń człowieka zamożnego, kupił on i wyremontował dworek, do którego przeniósł się z rodziną, zostawiwszy poprzednią chatkę macosze i przyrodniemu bratu.

Zainteresowanie małżeństwem artysty i chłopki okazało się wyjątkowo długotrwałe, ale z czasem przyniosło pozytywne efekty. Ludzie zauważyli w końcu, jak rozsądna i dobra jest pani Anna. Krakowskie towarzystwo ją zaakceptowało, a po kilku latach wszystkie damulki, które dawniej nazywały ją prostaczką, konkurowały ze sobą o zaszczyt zostania jej przyjaciółką. I tylko jedna rzecz nieodmiennie doprowadzała do szału nie tylko Włodzimierza i jego żonę, lecz także mieszkającą z nimi panią Julię – ludzie byli tak ciekawi niezwykłego stadła, że do Bronowic przyjeżdżały całe zorganizowane wycieczki, właziły małżonkom na podwórze i się na nich gapiły. O skali zjawiska najlepiej świadczy list starej pani Tetmajerowej do przyjaciółki, w którym skarżyła się, że pod nieobecność pasierba i synowej do ich domu zaszło… 50 zupełnie obcych ludzi przybyłych z miasta specjalnie w tym celu. Zdesperowani małżonkowie w końcu zaczęli stawiać na straży swego domu dzieci, a gdy te podnosiły alarm, donosząc o nadchodzących turystach, cała rodzina chowała się w zbożu.

A on znowu gada…

I tak upłynęła dekada. I nagle w roku 1900 Kraków zelektryzowała nowa wiadomość, młody pisarz Lucjan Rydel żenił się z młodszą siostrą pani Anny Tetmajer – Jadwigą! „Ciotka wszystkich ciotek" (a przy tym rodzono ciotka oblubieńca) – Antonia Domańska – autorka „Historii żółtej ciżemki", gdy dostała zaproszenie na ślub, zgorszona stwierdziła: „Myślę sobie, nie pójdę, do łóżka się włożę, zachoruję, umrę, w ciemny grób mnie złożą, ale sromoty uniknę".

Mimo owych histerycznych deklaracji pani Domańska ostatecznie udała się na uroczystość, a na weselnej imprezie urządzonej w domu Tetmajerów bawiła tak dobrze, że wyszła z niej jako jedna z ostatnich dopiero po długim i delikatnym, aż znaczącym dawaniu jej do zrozumienia, że to już koniec.

Sam Lucjan Rydel był postacią wyjątkowo pocieszną. Trochę przykre przy tym jest to, że do historii przeszedł wyłącznie jako pierwowzór Pana Młodego z „Wesela".

eprasa.pl c90328c217

Spuścizny literackiej Rydla nikt już nie czyta, a on sam przedstawiany jest uczniom polskich liceów jako błazen, by nie rzec idiota. Dość niesprawiedliwy to osąd, bo młody Lucek miał głowę jak sklep, pełną informacji na temat sztuki, historii i literatury. Cały problem polegał na tym, że nie potrafił dokonać selekcji posiadanych wiadomości, a już zupełnie nie rozumiał przysłowia głoszącego, że milczenie jest złotem. W efekcie tego Rydel mędził, gadał i opowiadał tak długo, aż wszyscy mieli go dość, zwłaszcza że talentów gawędziarskich okrutny los mu poskąpił. Gdy zaczął prowadzić wykłady z literatury dla panien z dobrych domów, słuchaczki masowo wypisywały się z jego kursów. Kiedy pojechał na wycieczkę do Warszawy, swoim ględzeniem tak znudził gospodarzy, że ledwo opuścił miasto, a ci zaczęli pisać o nim złośliwe wierszyki. Dodajmy przy tym nikłą posturę, cienki wąsik i wiecznie tkwiące na nosie binokle, a otrzymamy pełny obraz.

Przy wszystkich swoich wadach był Rydel naprawdę dobrym człowiekiem i oddanym przyjacielem. Jako jeden z pierwszych poznał się na pisarstwie Wyspiańskiego, okrzykując druha, mającego w przyszłości być jego drużbą, geniuszem epoki. Kumplował się też z Kazimierzem Przerwą-Tetmajerem, stąd często bywał w Bronowicach.

W trakcie odwiedzin w Bronowicach Rydel poznał jedną z sióstr Mikołajczykównych – Jadwigę. Zakochał się po uszy w nadobnej pannie i ruszył w konkury. W przeciwieństwie do Tetmajera nie musiał się zmagać ze sprzeciwem rodziców, jego ojciec już nie żył, a matka w pełni akceptowała ekscentrycznego syna i wspierała we wszystkich jego zamierzeniach. Szok przeżył za to pan Jacenty, bo młody literat wpraszał się do niego bez przerwy, a co gorsza, postanowił bratać z ludem. A jak uczy historia, gdy intelektualiści zaczynają bratać się z ludem, efekty bywają opłakane. Tak też stało się i w tym przypadku. Rydel miał w głowie pełno wyobrażeń o życiu chłopów, które z rzeczywistością miały niewiele wspólnego. Stąd gdy przyjeżdżał w konkury, chodził po wsi boso (podczas gdy kmiecie butów nie nosili tylko w czasie pracy), za to w garniturze i nieodłącznych binoklach. Pomagał w żniwach, okopywał buraki, robiąc przy tym więcej szkody niż pożytku, a co gorsza, nieustannie wygłaszał wiersze własnego autorstwa, w których porównywał swą lubą do Afrodyty. W końcu zrozpaczony Jacenty widząc, że inaczej się nie uwolni od ględzącego non stop natręta, wyraził zgodę na zaręczyny i ślub, byleby tylko absztyfikant jego córki raczył się w końcu zamknąć! W Krakowie też ludziom nie było do śmiechu – Rydel biegał po mieście, opowiadając każdemu, kogo napotkał, że chłopską modą nie nosi majtek, a po wygłoszeniu takiego oświadczenia natychmiast chciał opuszczać spodnie, by jego rozmówca na własne oczy przekonał się o prawdzie tych słów.

Towarzystwo z Krakowa brata się z ludem

Ślub Lucjana Rydla i Jadwigi Mikołajczykówny miał miejsce w poniedziałek 20 listopada 1900 roku w Kościele Mariackim. Najpierw wybuchła awantura, która gdyby jej w porę nie zażegnano, sprawiłaby, że „Wesele" nigdy by nie powstało. Mający być świadkiem pana młodego Stanisław Wyspiański zapowiedział bojkot imprezy, oburzony faktem, że nie zaproszono na nią jego żony. Nieszczęsnego Lucka można jeszcze jakoś usprawiedliwiać. Pani Teodora Teofila co prawda, podobnie jak panna młoda, pochodziła z chłopstwa, ale w przeciwieństwie do pełnej wdzięku i łagodnej Jadwigi ta niepiśmienna i chamska baba stanowiła koronny dowód przemawiający za tezą, że nie wszyscy neandertalczycy wymarli u kresu epoki lodowcowej i niektórzy dochowali się do czasów dzisiejszych. Ostatecznie Rydel przerażony wizją obchodzenia najważniejszego dnia w życiu bez najserdeczniejszego przyjaciela u boku, pokajał się i zaprosił na ślubne uroczystości również Teodorę Teofilę.

Jako że wieści o ślubie Lucjana Rydla obiegły cały Kraków, gdy rankiem w dniu uroczystości państwo młodzi zajechali przed Kościół Mariacki, wokół świątyni tłoczyły się tłumy gapiów chcących napatrzeć się na literata robiącego, jak mówiono: „krok bardzo awanturniczy". Ścisk był taki, że zaproszeni goście na czele z rodziną nowożeńców nie mogli dopchać się do drzwi kościoła!

Odziani w stroje ludowe państwo młodzi wyglądali olśniewająco. W każdym razie Jadwiga, bo Lucjan ubrany w ozdobną sukmanę i czapkę z pawim piórem, zachował binokle, co dawało dość pocieszne wrażenie. Gdy ceremoniom religijnym stało się zadość, nowożeńcy pojechali na uroczyste śniadanie u matki pana młodego. Rodzina i znajomi mieli odwiedzić młodą parę we wtorek, a w środę przewidziano uroczystość poprawin. Impreza odbyć się miała w dworku Tetmajerów. I to właśnie środową zabawę uwiecznił Wyspiański na kartach „Wesela". Z domu Rydlowego szwagra wyniesiono wszystkie sprzęty, by zrobić miejsce na tańce. I zaczęły się wygibasy, a mazurki, a oberki! Przybysze z Krakowa zmieszali się w bronowickimi chłopami i tańcowali tak zajadle, że Wyspiański bojąc się, iż rozochoceni goście zadepczą towarzyszącą mu małą córeczkę, posadził ją na piecu. Wokół działy się rzeczy, jakich krakowskie towarzystwo jeszcze nie widziało, „ciotka wszystkich ciotek" Domańska bratała się z wiejskimi babami, a wódka lała się strumieniami. I choć zaprzyjaźnieni z Rydlem i doświadczeni w całonocnych balangach członkowie artystycznej bohemy robili wszystko, by dotrzymać kroku kmieciom, to w rywalizacji o to, kto ma twardszą głowę, wypadali dość kiepsko. Malarz Stanisław Czajkowski popiwszy tęgo, poczuł się senny, więc ułożywszy z palt gości legowisko w sieni, uciął sobie drzemkę. Obudziwszy się nad ranem pijany w trupa, podszedł do stołu, za którym siedzieli

eprasa.pl c90328c217

mający za sobą już wiele kielichów gorzałki, lecz wciąż trzymający się na nogach bronowiccy chłopi i zawołał: „A teraz ja wam powiem, co to jest secesja!". Po czym zwalił się nieprzytomny na podłogę.

Bawiono się tak hucznie, że matkę pana młodego w końcu rozbolała głowa i pojechała do domu, zostawiwszy swą szesnastoletnią córkę Helenę pod opieką „ciotki wszystkich ciotek" Domańskiej i słynnej salonowej lwicy Elizy Pareńskiej. Helenka ze swą przyjaciółką Zosią Pareńską przetańczyły całą noc, czy to same, czy to, gdy ich opiekunki były zajęte braniem się z ludem, z krzepkimi parobkami.

A Wyspiański? Schorowany artysta nie tańcował z innymi i nie wznosił toastów, bo był abstynentem. Zamiast tego stał w kącie sali, obserwował bawiących się, a patrząc na wiszącą na ścianie reprodukcję obrazu przedstawiającego Wernyhorę, zastanawiał się, co by miał do powiedzenia imprezowiczom legendarny ukraiński prorok, gdyby zstąpił między nich. W głowie Wyspiańskiego zaczęło rodzić się „Wesele".

Tygrys na scenie, małpa na widowni, czyli o zgubnych skutkach picia alkoholu

Arcynarodowy dramat powstał w zadziwiającym tempie. Wyspiański zaczął go pisać prawie że dzień po powrocie z imprezy, a w lutym roku 1901 dyrektor Teatru Miejskiego Józef Kotarbiński dostał gotowy scenariusz. Szefowi krakowskiej sceny oddać należy, że wykazał się wielką przenikliwością, decydując się na wystawienie „Wesela". Dramat był tak inny od wszystkiego, co dotychczas gościło na teatralnych deskach, że gdy skompletowano obsadę, a aktorzy dostali scenariusz, niektórzy z nich rzucali nim ze złością o podłogę, deklarując, że w takiej głupocie grać nie będą.

Zaczęły się intensywne próby, a że treść sztuki utrzymywano w tajemnicy, po Krakowie krążyły najróżniejsze plotki. Wiadomo było, że inspirację stanowiło wesele Lucjana Rydla, co nadawało sprawie posmak skandalu, ale właściwie co takiego wyszło spod pióra Wyspiańskiego, wiedziało niewielu na czele z jego protektorką Elizą Pareńską, w której salonie grupa wtajemniczonych czytała fragmenty sztuki. Ci, którzy nie zaliczali się do tego kręgu, snuli najróżniejsze domysły. Powszechnie dopatrywano się w „Weselu" lekkiej komedii obyczajowej wykpiwającej krakowską socjetę, choć wielu zwolenników miała teoria, iż będzie ono satyrą na zgubne skutki picia napojów wyskokowych. Oliwy do ognia dolał wcielający się w Gospodarza aktor Włodzimierz Sobiesław, wypuszczając na miasto plotkę, że na scenie pojawi się żywy tygrys! W efekcie gdy 16 marca 1901 roku odbyła się premiera, widownia była wypełniona po brzegi.

To, co widzowie zobaczyli tego wieczoru, wbiło ich w fotele. Oczekiwali komedyjki, a dostali arcynarodowy arcydramat. Gdy tylko kurtyna opadła, na widowni zapadła cisza, a potem rozległa się burza oklasków. Najgłośniej bił brawo Lucjan Rydel, wydzierając się przy tym: „Wspaniałe!". Przez następne tygodnie kolejne spektakle gromadziły równie wielką publikę, do teatru wybierali się nawet chłopi z Bronowic, by popatrzeć, jak to też pan Wyspiański ich sportretował.

Nie wszystkim „Wesele" się jednak podobało. Profesor Stanisław Tarnowski wyszedł w trakcie premierowego spektaklu, gdy na scenie pojawiło się widmo przodka jego żony – targowiczanina Ksawerego Branickiego. Długo jeszcze krytykował sztukę przy każdej okazji, a nawet napisał zjadliwą satyrę na temat twórczości Wyspiańskiego. Jak to bywa w takich przypadkach, zrobił tylko znienawidzonemu dramatowi i jego autorowi darmową reklamę. Studenci uważając Tarnowskiego za starego ramola, specjalnie na złość profesorowi walili do teatru drzwiami i oknami. Zły był też bronowicki gospodarz Józef Czepiec, którego w sztuce sportretowano, jak targuje się z muzykantami. Rozsierdzony chłop uznał, że poeta zrobił z niego skąpca i pośmiewisko przed całym narodem. Na koniec matka Rydla zobaczywszy na scenie postać wzorowaną na swojej córce (której nie zmieniono nawet imienia) i słysząc kwestię jednego z parobków, mówiącego, iż te panny z miasta są bardzo chętne, zalała się łzami, uznawszy, że z Helenki zrobiono latawicę i przekreślono jej szanse na zamążpójście. Gdy „Wesele" zaczęto grywać w innych miastach, recenzenci i widzowie zgodnie docenili kunszt Wyspiańskiego. Choć znów nie wszyscy byli w stanie pojąć, o co właściwie chodziło autorowi. Henryk Sienkiewicz po wyjściu z teatru zupełnie osłupiały od tego, co zobaczył, wyjąkał: „Albo ja jestem grafoman, albo on". Z kolei we Lwowie niektórzy krytycy kręcili nosem, ale przeważyło zdanie Adolfa Neuwerta-Nowaczyńskiego, który uznał sztukę za największy dramat swoich czasów. Zdania tego gotów by bronić zaciekle, gdy w trakcie przerwy między aktami pewna lwowska dama powiedziała, że jej zdaniem spektakl jest nudny, Nowaczyński nazwał ją publicznie małpą.

20 listopada tego roku mijają dokładnie 124 lata od najsłynniejszej imprezy w dziejach polskiej literatury. Dziś nikt już nie czyta twórczości Lucjana Rydla, obrazy Włodzimierza Tetmajera zbierają kurz w muzeach, a o malarzu Stanisławie Czajkowskim, który chciał tłumaczyć bronowickim chłopom, czym jest secesja, zapomniano całkowicie. A jednak rok w rok wszyscy oni powracają do życia, gdy szkolna młodzież zaczyna czytać i analizować „Wesele" lub kiedy zmartwychwstają na deskach któregoś z polskich teatrów. Za sprawą Stanisława Wyspiańskiego imprezowicze z Bronowic zyskali nieśmiertelność. Coś, co rzadko (by nie rzec nigdy) bywa udziałem uczestników wiejskich wesel. ■

eprasa.pl c90328c217

Marek Kalinowski

Blues ze stodoły Gilmoura

Niezwykłe brzmienie gitary Davida Gilmoura powraca w jego najnowszym, solowym albumie „Luck and Strange". Jest to zarazem ostatnia okazja, by usłyszeć muzyków Pink Floyd w trakcie wspólnego jam session.

David Gilmour nie rozpieszcza słuchaczy nadmiarem solowych produkcji. Na najnowszy album „Luck and Strange" przyszło nam czekać niemal dekadę. Na okładce ciemna postać z rozłożonymi ramionami brnie pod prąd w rwącym potoku – autorem ujęcia jest znany fotograf Anton Corbijn. Czarno-białe zdjęcie wpisuje się w estetykę jego wcześniejszych prac – przede wszystkim okładek albumów Depeche Mode oraz U2. W przypadku płyty Davida Gilmoura ewidentną inspiracją dla fotografa była piosenka „Scattered", w której dobiegający do osiemdziesiątki muzyk przejmująco śpiewa: „Człowiek stoi w rzece, pcha się pod prąd. Czas jest falą, która nie słucha, nie słucha mnie". Wbrew jednak temu album wydaje się spowiedzią człowieka raczej spełnionego, a jego dzieło warto zapamiętać w zdecydowanie cieplejszych barwach niż przytłaczające obrazy Corbijna.



David Gilmour, LUCK AND STRANGE, Sony Music

Niech świadczy o tym choćby zarejestrowany śmiech Gilmoura i Ricka Wrigha (klawiszowca z Pink Floyd) po trzynastominutowej wersji fenomenalnego tytułowego bluesa „Luck and Strange". Nagranie zarejestrowano w 2007 roku w trakcie jam session w wiejskiej posiadłości Gilmoura – stąd też dopisek w tytule „original Barn Jam". I bez dwóch zdań panowie mieli powód do satysfakcji, pozwalając dźwiękom niespiesznie płynąć własną drogą, jakby sami byli ciekawi, dokąd zaprowadzi ich kolejny akord. A te układają się w genialną kompozycję, której słuchamy zahipnotyzowani i nieświadomi upływu kolejnych minut.

Za gitarowym geniuszem Gilmoura nie zawsze idzie w parze talent wokalny. Na szczęście ma solidne wsparcie chórków i córki Romany, która na albumie pojawia się dwukrotnie – raz w duecie z ojcem w akustycznej piosence „Yes, I Have Ghosts" oraz w świetnej wersji „Beetween Two Points" – coverze grupy The Montgolfier Brothers. Trzeba też przyznać, że ich wykonanie zdecydowanie wygrywa z oryginałem.

„Luck and Strange" to w ogóle dzieło rodzinne. Większość tekstów przygotowała poetka Polly Samson, prywatnie żona Gilmoura. Oprócz córki Romany rękę do nowych piosenek przyłożyli też dwaj synowie Charlie i Gabriel. Utwory zanurzone są w stylistyce lat 70., a ładunkiem emocjonalnym przywodzą na myśl dawne arcydzieło Pink Floyd, album „Shine on Your Crazy Diamonds", choć i tak zapędy Gilmoura musiał hamować o dekady młodszy producent Charlie Andrew, znany ze współpracy z indie-rockowym zespołem Alt-J.

Dla starszych słuchaczy, fanów Pink Floyd, melancholijne wejścia gitarowe Gilmoura nie będą jednak wadą, a oczywistą zaletą tej płyty. Dla nich to również ostatnia szansa, by posłuchać choć cząstki starego składu na jednym albumie. Rick Wright zmarł rok po nagraniach „Luck and Strange", a ciągnąca się już od wielu lat kłótnia Gilmoura z Rogerem Watersem obrasta w kolejne wątki, od finansowych, po polityczne, i raczej nie ma już szans na szczęśliwy finał. Ostatecznym zamknięciem historii legendarnego zespołu jest też niedawna wiadomość – muzycy Pink Floyd oraz ich spadkobiercy zdecydowali się na sprzedaż praw do swoich nagrań. Koncern Sony zapłacił za przeboje Pink Floyd bagatela… blisko 400 mln dolarów. ■

FOT.MAT. PRAS.

eprasa.pl c90328c217









Tomasz Łysiak

Molier – chory nie tylko z urojenia

Śmierć mistrza teatralnej komedii, która rozgrywa się niejako na scenicznych deskach, w czasie trwającego spektaklu, pasuje do scenariusza dobrego filmu. Nic dziwnego więc, że w biograficznych obrazach kinowych czy też w książkach o Jeanie Baptiście Poquelinie, ostatni akord jego życia zajmuje ważne miejsce. Jest w tej całej koincydencji coś niezwykłego, mistycznego. Tym bardziej, że w ostatniej swej sztuce Molier napisał dla siebie scenę swej sfingowanej śmierci. Naigrywał się z chorób, lekarstw, lekarzy i z samego siebie. Niejako przewidział scenariusz tego, co się miało wydarzyć. I co się wydarzyło.



eprasa.pl c90328c217



FOT. ARCH.

Michał Bułhakow, genialny autor „Mistrza i Małgorzaty", poza szeregiem literackich perełek, stworzył także znakomitą biografię Moliera. Najwyraźniej, poza największymi nazwiskami z dziejów literatury i teatru (takimi jak Gogol), mógłby dopisać i samego siebie do grona tych wybitnych twórców, którzy Molierowi zawdzięczali wiele – wpłynął na nich i zainspirował ich, w podobny sposób jak często inspirował Szekspir. Zaczął Bułhakow biografię dramatopisarza od motto, słynnego cytatu z Horacego „Ridentem dicere verum, quid vetat?" („Śmiejąc się, mówić prawdę, któż zabroni?"). Celny to wybór, gdyż genialny Molier w swych komediach ukrywał często pod farsową powłoczką iście zjadliwą krytykę ludzkich postaw, charakterów czy też postaci. Jego kariera, która wiodła od przymierającej głodem wędrownej trupy teatralnej do królewskiego dworu Ludwika XIV, wynikała z talentu Moliera do komedii. Owszem, próbował się też ścigać z tragedią i dramatem, ale gdy je wystawiał, publiczność ziewała i odwracała się w stronę konkurencyjnych teatrów. Natomiast kiedy przed oczami widzów pojawiali się Skąpiec, Świętoszek, Sganarell – płakano ze śmiechu i nagradzano niemilknącymi owacjami samego pana Poquelina i jego aktorów. Tymczasem Molier wplatał w swoje sztuki elementy życia. Tak się stało także z „Chorym z urojenia", jego ostatnim utworem, w którym w jakiejś mierze rozliczał się ze sobą i ze światem, rysując grubą, farsową kreską historię Argana, czyli tytułowego hipochondryka. Cała rzecz w tym, że rozliczne choroby, które dotykają głównego bohatera, łącznie z tymi pochodzącymi ze świata wyobraźni i urojeń, były również utrapieniem i zmorą komediopisarza. Lekarze zaś, których poddał tak ostrej krytyce, mieli się od niego, obrażeni, odwrócić w krytycznym momencie.

Śmierć krążyła wokół domu

Ostatni okres w życiu Moliera to pasmo samych trudności. Oto zostawia go współpracujący z nim do tej pory kompozytor Lully i załatwia sobie u dworu wyłączny przywilej grania utworów orkiestrowych dla króla, a także wystawiania baletów. To cios dla Moliera. W owym czasie elementy muzyczne i baletowe stanowiły tak ważną część scenicznych występów, że trudno było sobie wyobrazić funkcjonowanie bez nich. Odsunięty od łask Ludwika XIV Molier postanowił jednak wystawić kolejną sztukę i napisał „Chorego z urojenia", okraszając ją scenami baletowo-muzycznymi. Zupełnie tak, jakby liczył na tryumfalny powrót w orbitę Króla Słońce. W „Prologu" zawarł więc wiernopoddańcze teksty, wierząc, że uda mu się wystawić dzieło na dworze królewskim. Tak się jednak nie stało i komedia miała swoją premierę na deskach paryskiego teatru trupy Moliera, w Palais-Royal, a nie przed obliczem władcy. Autor w owym czasie był już bardzo schorowany, a pośród trapiących go chorób najmocniej dawały się we znaki płuca. Czy czuł na plecach powiew śmierci? Tak pisał o tym okresie tłumacz jego dzieł, Tadeusz Boy-Żeleński: „Sam Molier był już bardzo chory. Między poprzednią [„Uczone biało-

0328c217

głowy" – przyp. T.Ł.] a tą ostatnią komedią upłynął blisko rok, wypełniony głównie chorobą. Śmierć jak gdyby krążyła wkoło jego domu; zabrała mu wierną przyjaciółkę; zabrała drugiego z kolei syna, wyciągała już ręce i po niego samego". Wspomina tu Boy-Żeleński o śmierci Magdaleny Béjart, przyjaciółki, kochanki Moliera, świetnej aktorki i współzałożycielki teatru Illustre. Jej odejście było dla niego ciosem mocnym i okrutnym. Molier był wówczas związany węzłem małżeńskim z Armandą Béjart (do dzisiaj nie rozstrzygnięto, kim ona naprawdę była – młodszą siostrą, a może nawet córką Magdaleny). W „Chorym z urojenia" jej to właśnie przeznaczył rolę Anieli, córki głównego bohatera. Stąd mamy fragment, w którym śpiewa ona na scenie – trzeba było wszakże trochę „wypromować" małżonkę i jej talenty. W komedii tej dokonał też Molier małej, sprytnie ukrytej zemsty na swej byłej macosze, Katarzynie, którą sportretował w postaci niewiernej żony Beliny. Sam zaś wszedł w rolę Argana – tytułowego hipochondryka. I rozpoczął rozliczanie… ze sobą, ze światem, z chorobami, ze śmiercią, z lekarzami, z medycyną… Na scenę tej ostatniej sztuki kazał wyjść karykaturalnym postaciom lekarzy – chytrych, głupich, pozbawionych skrupułów…

Ponury okres medycyny

Zjadliwa tyrada Moliera ze „zdobyczy medycyny" w wieku XVII to skutek obserwacji działań lekarzy nie tylko we własnym domu i w stosunku do własnej osoby, lecz także – a może przede wszystkim – na dworze Króla Słońce. Lewatywy, stawianie pijawek czy upuszczanie krwi były w owym czasie traktowane jako główne środki zapobiegawcze wielu chorób. Poddawali im się regularnie Ludwik XIV oraz jego dworzanie, a praktyki te stanowiły temat częstych rozmów i wymiany zdań. Pisał Bułhakow: „Co skłoniło Moliera do zadarcia z lekarzami? Wiemy już, że Molier wciąż niedomagał, że był chory beznadziejnie, chronicznie, co z kolei potęgowało nękającą go hipochondrię. Szukał pomocy, uciekał się do wielu lekarzy, ale nie zdołali mu oni pomóc. I obawiam się, że miał rację, kiedy napadał na lekarzy, ponieważ czasy Moliera były jednym z najsmutniejszych okresów w dziejach tej wielkiej sztuki, jaką jest medycyna. Lekarze za czasów Moliera w większości wypadków leczyli bez szczególniejszego powodzenia i trudno byłoby wyliczyć ich wszystkie potknięcia. Gassendiego […] zabili nieustannym puszczaniem krwi. Zupełnie niedawno, zaledwie przed rokiem, pewien lekarz wyprawił na tamten świat przyjaciela Molièra pana La Vallière, napoiwszy go trzykrotnie emetykiem, absolutnie przy jego chorobie niewskazanym. Jeszcze wcześniej, kiedy umierał kardynał Mazarin, czterech lekarzy, wezwanych doń na konsylium, stało się pośmiewiskiem całego Paryża, ponieważ konsyliarze postawili cztery różne diagnozy! Jednym słowem, czasy Moliera to ponury okres w historii medycyny".

Ówcześni medycy, ubrani na ogół w czarne, ciemne, ponure stroje, jeździli po ulicach Paryża na mułach, zapuszczali długie brody, używali swego medycznego żargonu, mieszaniny łaciny i greki, który rozumieli tylko oni sami.

W epoce epidemii dżumy czy cholery, „czarnych plag", lekarze używali specjalnych masek ze szklanymi okularami i długimi dziobami, w które wtykano mające powstrzymać zarazę zioła i różne substancje – jałowiec, melisę, miętę, kamforę, goździki, mirrę, różę lub styraks. „Lekarz zadżumionych" w nawoskowanym czarnym płaszczu i białą maską z dziobem na tyle wpisał się w wizerunek włoskich miast ówczesnej doby, iż stał się jedną z najbardziej rozpoznawalnych postaci weneckiego karnawału.

Trzeba wycofać się z gry

10 lutego 1673 roku paryski karnawał otworzyła świetna komedia Moliera. Publiczność waliła tłumnie na spektakle, o czym świadczą rachunki ze sprzedaży biletów. Nadszedł dzień czwartego przedstawienia. 17 lutego Molier od rana czuł się słabo. Może na jego stan wpływał też fakt, że nazajutrz była druga rocznica śmierci Magdaleny? Najbliżsi odradzali mu granie. Jednak Molier się uparł. Przywołał do siebie żonę i aktora, którego uważał za swego wychowanka i spadkobiercę teatralnego, Barona. Rzekł do nich: „Jak długo przeplatały się w moim życiu radość i ból, czułem się szczęśliwy; ale dziś, kiedy zewsząd opadły mnie troski i nie mogę już liczyć ani na odrobinę satysfakcji; ani też na niczyją dobroć, widzę, że trzeba się wycofać z gry; nie podołam dłużej stawiać czoło bólowi i zgryzotom, nie dającym mi ani chwili wytchnienia. Ale ileż trzeba wycierpieć, zanim się umrze! Czuję wszakże, że zbliża się kres!". Pomimo zaklęć i błagań, by tego wieczora jednak nie grał, Molier się uparł. I zagrał swój ostatni spektakl. W trzecim akcie jest scena sfingowanej śmierci – główny bohater „umiera" tylko po to, by zobaczyć, jak zachowają się najbliżsi po jego śmierci. Żona natychmiast rzuca się na majątek, a córka będzie go opłakiwać. Wcześniej jeszcze Argan mówi o „panu Molierze" – przeklina go i życzy, by za te wszystkie szyderstwa z lekarzy i medycyny umarł opuszczony przez wszystkich i pozbawiony medycznej pomocy. Wyobraźmy więc sobie Moliera, który na scenie przeklina samego siebie, który potem odgrywa własną śmierć, a publiczność co i raz reaguje wybuchami śmiechu. Potem dostojny „fakultet" ma głównego bohatera mianować na lekarza. Chór medyków wypowiada formułę przysięgi. – Iuro! (Przysięgam!) – odpowiada Argan i w tej samej chwili słabnie, zaczyna krztusić się krwią. Aktorzy znoszą go ze sceny. Molier otulony w szlafrok zostaje zaprowadzony do lektyki. W domu kładzie się do łóżka. Kaszle krwią. Błaga, by posłać po żonę, której w tej godzinie przy nim nie ma. Baron rusza, by ją sprowadzić. Przyjaciele szukają pomocy u lekarzy – żaden się nie pojawia. Przyszły jedynie zakonnice, klaryski z Annecy. One właśnie, modlące się przy jego łożu, oraz sąsiad, Couthon – byli jedynymi świadkami śmierci artysty. Gdy Armanda i Baron wpadli do pokoju, Molier był już martwy. Zapisał aktor La Grange w swoim rejestrze: „Tegoż dnia, po spektaklu, około dziesiątej wieczór, pan de Molière umarł w swoim domu przy ulicy de Richelieu, odegrawszy przedtem rolę chorego z urojenia…". ■

eprasa.pl c90328c217



KOREA STROLLOWANA



Krzysztof Karnkowski

Namawiam wszystkich, by „Fabrykę trolli" – choćby w celach naukowych – obejrzeć, jeśli nadarzy się taka okazja.

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl c90328c217

Jak każdej jesieni, warszawscy, a później też wrocławscy widzowie mogli zapoznać się w ramach Warsaw Korean Film Festival z kilkoma wybranymi produkcjami koreańskiego przemysłu filmowego z ostatnich kilkudziesięciu miesięcy. Koreańskie kino zdaje się po kilku chudych latach wychodzić z kryzysu, jaki lokalnej kinematografii opartej na sprawnej dystrybucji zgotował covid, a swoje zrobiły też Netflix inne platformy, angażując kilku ważnych twórców do własnych produkcji. Jednak film, któremu poświęcę najwięcej miejsca w tym tekście, na uwagę zasługuje z innych niż tylko artystyczne powodów.

Zawiązanie akcji

„Fabryka trolli" (tytuł międzynarodowy „Troll Factory") w reżyserii Gook-jin Ahna to film operujący dość surowymi środkami, momentami bliski stylistyce reportażu i find footage, montowany jednak nowocześnie. Tematyka wymusza dynamiczne pokazywanie przepływu internetowych treści, mamy tu więc dużo zrzutów ekranu i innych tego typu obrazów. Głównym bohaterem jest Im Sang-jin, dziennikarz śledczy, który właśnie traci pracę. Ujawniona przez niego afera, której treścią jest odebranie intratnego kontraktu niewielkiej firmie ambitnego naukowca przez wielką korporację, okazuje się dęta. Reporter wylatuje z redakcji, a bohater jego publikacji odbiera sobie życie. Gdy Im Sang-jin znajduje się bardzo blisko dziennikarskiego i ludzkiego dna, zwraca się do niego tajemniczy sygnalista, mówiący mu coś, co bardzo chciałby usłyszeć. Młody człowiek, spotykający się z nim w niewielkiej knajpce, ma dla niego dwie wiadomości. Pierwsza jest taka, że w swoim ostatnim jak dotąd reportażu napisał jednak prawdę. Druga – że czeka na niego nowy temat, dużo większy i dużo poważniejszy. Rozmówca okazuje się bowiem założycielem specyficznego, ale bardzo potrzebnego kilku wielkim graczom interesu. Wraz z dwójką kolegów zaczynali od zawoalowanej promocji nowej marki papierosów poprzez fikcyjne konto nieistniejącej influencerki na Instagramie. Później pomogli reżyserowi artystycznego gniota wypromować film, wypuszczając w sieć fałszywe oskarżenia wobec produkcji, z którą zleceniodawca konkurował w kinach (tu trzeba pamiętać o nadzwyczajnej podatności koreańskiej opinii publicznej na wpływy, a zarazem jej wielkie zaangażowanie w rozmaite kampanie sprzeciwu, o czym jeszcze opowiem), wreszcie zauważeni zostali przez naprawdę potężnego gracza, największą koreańską korporację, tu zachowawczo nazwaną inną od nasuwającej się oryginalnej nazwy. Pojawiają się wielkie pieniądze i zlecenie, którego realizacja wychodzi chłopakom aż za dobrze.

Sterowanie emocjami

Nie chcąc streszczać akcji filmu (może komuś z Czytelników uda się go obejrzeć), opiszę jeszcze mechanizm tej właśnie operacji. Nasza trójka osaczyć ma studencką aktywistkę, dziewczynę bardzo spragnioną uwagi i pochwał. Poprzez setki kont w mediach społecznościowych zaczynają robić z niej gwiazdę, zasypują komplementami, zwykłe nagrania zmieniają w wirale i puszczają w świat, ze swojej ofiary robiąc symbol koreańskiego piękna, wręcz skarb narodowy. To wciskanie ludziom miłości na siłę zaczyna budzić negatywne reakcje, dziewczyna dostaje coraz więcej negatywnych komentarzy, co znów zostaje podkręcone przez bohaterów. Jeszcze przed chwilą była kochana, teraz jest znienawidzona. Po co robią to wszystko? Nie chodzi tu wcale o studentkę i jej ewentualną karierę w akademickim samorządzie, lecz o jej ojca. Ten od wielu miesięcy prowadzi samotny protest przed siedzibą złowrogiej korporacji, domagając się zmiany przepisów dotyczących zniesławienia. Trzeba bowiem wiedzieć, że w Korei prawo jest w tej sprawie absurdalne, przynajmniej z punktu widzenia naszej logiki. Za zniesławienie ukarać można nawet wtedy, gdy oskarżony o nie powiedział prawdę, lecz skarżący uznał, że mu tym zaszkodził – czyli informując nawet o dokonanym i udowodnionym przestępstwie lub czynie. Znakomite narzędzie do zastraszania ofiar przez tych, których stać na prawników i procesy sądowe, czy będą to dobrze ustawieni gwałciciele, czy właśnie wielkie korporacje. Niszczenie życia córce doprowadzić ją ma do wytoczenia hejterom sprawy o zniesławienie właśnie, a ojca do zaangażowania się w jej walkę, a więc utraty wiarygodności. Bo choć domaga się on likwidacji prawa dotyczącego zniesławienia za pomocą prawdziwego oskarżenia, dla opinii publicznej będzie to już niuans.

W Korei bowiem emocje internautów są dużo mocniejsze, histeryczne i łatwiejsze do rozhuśtania niż u nas. Zresztą było tak i wcześniej, tu ostracyzm czy werbalne lincze, czasem połączone z realną przemocą, są na porządku dziennym. Między innymi z tego bierze się rekordowy poziom samobójstw. Również wśród gwiazd. Te często nie wytrzymują oskarżeń i wydawanych pochopnie przez fanów wyroków, a czasem po prostu mają dość nagonek, mogących mieć poważne lub absurdalne powody. Pod koniec ubiegłego roku samobójstwo popełnił choćby znany i polskim widzom z oskarowego „Parasite" Lee Sun-kyuna. Fani i media nie mogli mu wyba-

eprasa.pl c90328c217

czyć, że prowadzone jest przeciwko niemu śledztwo dotyczące zażywania narkotyków. W liście pożegnalnym Lee przedstawił się jako ofiara szantażu. Najwyraźniej jednak atmosfera wokół niego była tak gęsta, że nie miał już sił czekać na wyniki śledztwa i proces. Nadzwyczaj częste są też samobójstwa gwiazd k-popu. W 2019 roku w krótkim odstępie czasu z życiem rozstały się dwie zaprzyjaźnione ze sobą aktorki i piosenkarki, Sulli i Ha-ra Goo, obie przeżywające duży kryzys relacji z fanami. Ostatnio z kolei głośno jest o sprawie Seunghana, byłego już członka k-opowej grupy RIIZE, który został przez fanów zmuszony do odejścia z zespołu. Jego karierę złamało ujawnienie zdjęcia z przeszłości, jeszcze jako osoby prywatnej, na którym pali papierosa z dziewczyną u boku w hotelowym pokoju. Jak widać, koreańską społeczność internetową naprawdę łatwo jest zdenerwować.

Hejt niejedno ma oblicze

Hejt w koreańskiej sieci ma też wymiar społeczny, wpływający nawet na wybory prezydenckie. W Korei przez lata istniały strony i fora internetowe, prowadzone przez skrajne feministki z jednej, a sfrustrowanych inceli („incel" to skrót od „involuntary celibacy", czyli „żyjący w celibacie wbrew swej woli"). Obie strony prezentowały poglądy tak radykalne, że odrzucały od siebie większość społeczeństwa. Koreańskie radykalne feministki wyróżniały się nienawiścią do środowisk LGBT, a miejscowym dziewczynom (faktycznie społecznie poszkodowanym w dużo bardziej od naszego patriarchalnym i w pewnym stopniu kastowym społeczeństwie) próbowały narzucić pewne modele zachowań, takie jak noszenie krótkich włosów i brak makijażu, a wreszcie zarzucenie jakichkolwiek interakcji z mężczyznami. Te skrajności to przykład wyrodzenia się we własną karykaturę zasadnego buntu, spowodowanego z jednej strony oporem przeciw stereotypizacji w internetowych komentarzach, z drugiej fali oburzenia po zamordowaniu przez samotnego mężczyznę przypadkowej kobiety na stacji metra w Seulu.

Z kolei grupa męskich internetowych hejterów z drugiej strony lustra dała się poznać nie tylko z lansowaniem tezy o męskiej krzywdzie, której głównymi przykładami miały być obowiązkowa służba wojskowa i konieczność płacenia na randkach, lecz także obrzydliwych akcji, wymierzonych w rodziców uczniów – ofiar katastrofy promu Sewol w 2014 roku. Te ostatnie działania przypominają bardzo sytuacje z Polski, związane ze zwalczaniem przez środowiska pozwiązane z PO pamięci o Smoleńsku, są jednak chyba nawet gorsze. I tak uczestnicy „prawicowego" forum umówili się na objadanie się pizzą i kimbapem (koreański odpowiednik sushi) na oczach głodujących krewnych ofiar, żądających prawdy o przyczynach katastrofy, która pochłonęła życie ponad 300, w większości małoletnich, osób. Jeden z uczestników tej grupy poszedł jeszcze dalej: sfotografował się w mundurku liceum, do którego chodziły nieżyjące dzieci, a zdjęcie, na którym objada się ciastem rybnym, opatrzył komentarzem: „Zjadam moich kolegów" (aluzja do losu części ofiar, których ciała zostały naruszone przez ryby). Jak więc widać, nie ma tu żadnych hamulców. Niechęć do krewnych ofiar brała się w dużym stopniu stąd, że śledztwo, mające na celu rozmycie odpowiedzialności na firmie, do której należał pechowy prom, obciążało tracący popularność prawicowy gabinet, zaś jego następcy byli bliscy również idei feministycznych, choć w mniej radykalnym wydaniu. Z kolei ostatni prezydent Korei wygrał wybory, m.in. obiecując wycofanie się z części reform mających poprawić sytuację kobiet.

Obce służby w tle

Cały ten potężny spór przekłada się nie tylko na teraźniejszość, lecz także przyszłość kraju, który pomimo dobrej sytuacji finansowej i wielkiego potencjału rozwojowego, boryka się z potężnym, nieporównywalnym nawet z europejskimi kłopotami, kryzysem dzietności. W takich warunkach i przy zarysowanym tle społecznym bardzo łatwo jest manipulować opinią publiczną, w tym sentymentem internautów. Wykorzystują to korporacje i przedstawiciele elit, lecz kto zaręczy, że w kotle tym nie mieszają też przedstawiciele obcych służb? Chętnych, by zdestabilizować południe półwyspu, przecież nie brakuje, począwszy od Korei Północnej i Chin, a skończywszy na Rosji, może nawet Japonii…

W Polsce zjawisko wydaje się mniej zaawansowane, równocześnie jednak prostsze. Prosty, oparty na wyzwiskach przekaz, zasypywanie sieci fałszywkami, mającymi na celu przede wszystkim utrzymywać już przekonanych w stanie ciągłego moralnego wzburzenia. Sok z Buraka, rozmaite grupy orkiestrowane przez Romana Giertycha, wreszcie trolle zajmujące się podgrzewaniem wszelkich sporów i obaw, działające ewidentnie na zlecenie Rosji. Kto zagwarantuje jednak, że po cichu nie rozgrywane są też bardziej przemyślane i pogłębione operacje, mające formatować internatów w dogodny dla kogoś sposób? Zostawiając Czytelników z tym pytaniem, namawiam wszystkich zainteresowanych, by – choćby w celach naukowych – „Fabrykę trolli" obejrzeć, jeśli nadarzy się taka okazja. ■

eprasa.pl c90328c217

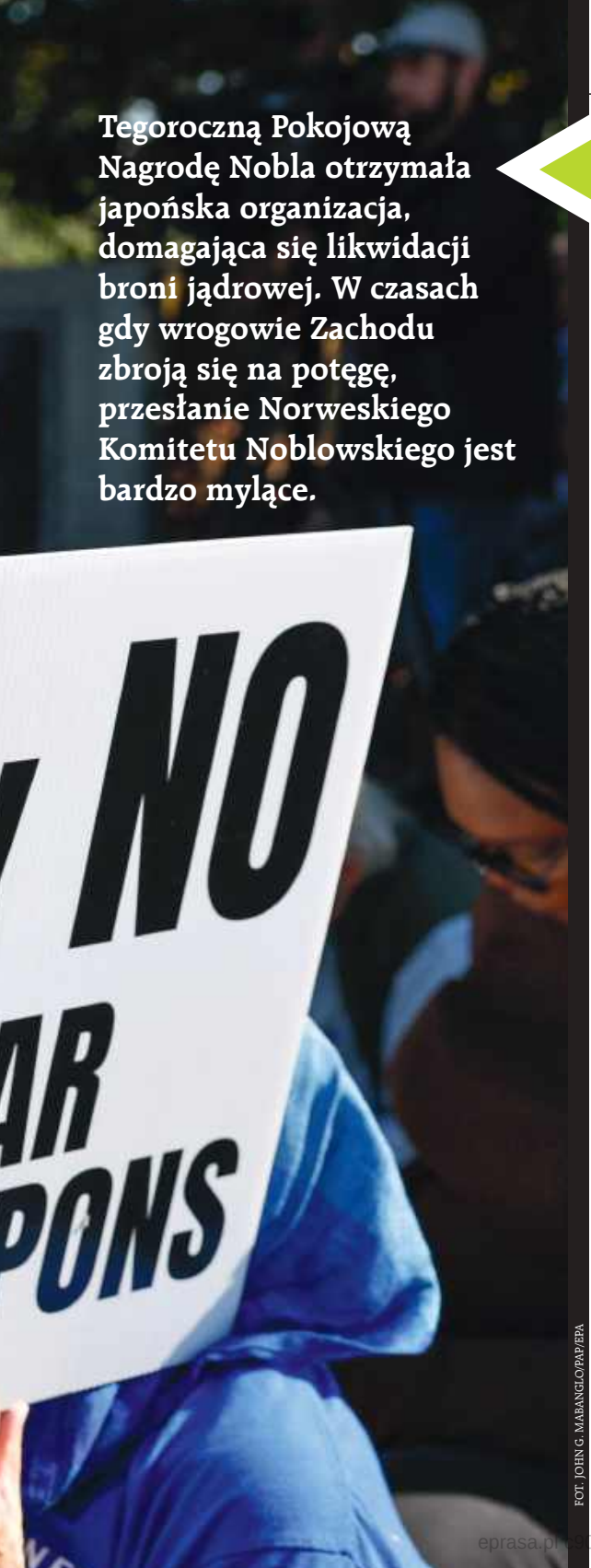
Utopijne przesłanie tegorocznej Pokojowej Nagrody Nobla

Hanna Shen



eprasa.pl c90328c217

Tegoroczną Pokojową Nagrodę Nobla otrzymała japońska organizacja, domagająca się likwidacji broni jądrowej. W czasach gdy wrogowie Zachodu zbroją się na potęgę, przesłanie Norweskiego Komitetu Noblowskiego jest bardzo mylące.



FOT. JOHN G. MABANGLO/PAP/EPA

11 października w Oslo Norweski Komitet Noblowski ogłosił, że laureatem tegorocznej Pokojowej Nagrody Nobla została japońska organizacja Nihon Hidankyo, skupiająca ocalałych po zrzuceniu bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki. Nagrodę przyznano za wysiłki na rzecz świata wolnego od broni jądrowej i za wykazanie, że broń jądrowa nigdy nie powinna być ponownie użyta. „Świadectwo tych, którzy przeżyli Hiroszimę i Nagasaki, jest uniwersalne" – uzasadniał Jørgen Watne Frydnes, przewodniczący Norweskiego Komitetu Noblowskiego. Przyznając nagrodę japońskiej organizacji, komitet chciał też „podkreślić jeden budujący fakt: od prawie 80 lat nie użyto żadnej broni jądrowej w działaniach wojennych".

▶ Przesłanie, którego Putin i Xi Jinping nie chcą słuchać

Tegoroczna Pokojowa Nagroda Nobla dla Nihon Hidankyo wywołała falę zadowolenia i ekscytacji wśród ruchów pokojowych i rozbrojeniowych na całym świecie. Do japońskiej organizacji popłynęły gratulacje z całego świata. Podkreśla się, że przesłanie Norweskiego Komitetu Noblowskiego było bardzo jasne: nigdy więcej tragedii bomby atomowej.

Problem tylko w tym, że na to wołanie głusi są przywódcy Rosji i Chin. Putin wielokrotnie groził Zachodowi użyciem broni jądrowej, odkąd w lutym 2022 roku rozpoczął inwazję na pełną skalę na Ukrainę, która do 1991 roku posiadała trzeci co do wielkości arsenał nuklearny na świecie. Kreml przeniósł taktyczną broń atomową na Białoruś, kilkaset kilometrów bliżej terytorium NATO, a pod koniec września bieżącego roku rosyjski zbrodniarz podczas posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej zaproponował zmiany w doktrynie nuklearnej swojego kraju. Obecna doktryna, z 2020 roku, przewiduje użycie broni atomowej w odpowiedzi na atak nuklearny lub konwencjonalny, jeśli zagraża on istnieniu Rosji. Teraz Kreml chce modyfikacji zakładającej, że Moskwa będzie traktować atak ze strony kraju nieposiadającego broni jądrowej, ale wspieranego przez mocarstwo nuklearne, jako „wspólną agresję" na Rosję. Putin mówił też, że jego kraj może także użyć broni atomowej, gdyby wykrył rozpoczęcie masowego wystrzeliwania rakiet, ataku samolotów lub dronów na rosyjskie terytorium. „Rozważymy taką możliwość, jeśli otrzymamy wiarygodne informacje o masowym wystrzeleniu powietrznych środków ataku i przekroczeniu przez nie granicy naszego państwa" – stwierdził rosyjski

eprasa.pl 20328c217

zbrodniarz. Według Federacji Amerykańskich Naukowców do 2022 roku Rosja posiadała 4477 głowic nuklearnych, z czego 1525, czyli jedną trzecią, można uznać za taktyczne, tj. za broń o mniejszej mocy w porównaniu do klasycznych głowic jądrowych. Trzeba też pamiętać, że Moskwa nie jest już związana żadnym paktem o kontroli zbrojeń nuklearnych, bo w ubiegłym roku zawiesiła udział w traktacie podpisanym z USA w 2010 roku o redukcji broni nuklearnej (New START).

W tym samym czasie Chiny, dziś główny sponsor machiny wojennej Putina, zwiększają swój arsenał nuklearny i do 2030 roku będą miały ponad 1000 głowic, potencjalnie zdolnych do rozmieszczenia takiej samej liczby pocisków międzykontynentalnych jak USA. Sporządzony w październiku 2023 roku przez Departament Obrony raport dotyczący chińskiej siły militarnej ujawnił, że w ciągu 12 miesięcy Chiny zbudowały 100 sztuk broni nuklearnej. W tym samym okresie Stanom Zjednoczonym nie udało się wyprodukować ani jednej nowej głowicy atomowej w ramach własnego programu modernizacji jądrowej. 25 września br. Pekin przeprowadził udany test swojego międzykontynentalnego pocisku balistycznego. Nie byłaby to szczególnie istotna informacja, gdyby nie fakt, że pocisk został wystrzelony na wody międzynarodowe Pacyfiku, a ostatnia taka sytuacja miała miejsce w 1980 roku. To wyraźne ostrzeżenie dla Waszyngtonu i jego sojuszników.

Do tego wszystkiego dodać trzeba współpracę Rosji i Chin w kwestii broni nuklearnej. 1 sierpnia br. podczas wystąpienia w amerykańskim think tanku Center for Strategic and International Studies (CSIS) pełniący obowiązki zastępcy sekretarza obrony USA ds. polityki kosmicznej dr Vipin Narang, powiedział, że Rosja „napędza chiński program broni jądrowej". Już w ubiegłym roku amerykańskie media pisały, że Rosatom, rosyjska państwowa spółka jądrowa i światowy lider w sektorze technologii nuklearnych (wraz ze spółkami zależnymi), dostarcza ChRL uran. W liście do Białego Domu przewodniczący komisji sił zbrojnych, spraw zagranicznych oraz wywiadu w amerykańskiej Izbie Reprezentantów wezwali administrację Bidena, „aby postrzegała tę współpracę jako bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa USA i kolejny dowód na to, że Rosja i Chiny działają w tandemie przeciwko Stanom Zjednoczonym".

I są jeszcze przyjaciele Moskwy i Pekinu: Korea Płn. i Iran. Pjongjang ma co najmniej 50 głowic nuklearnych i materiał do wytworzenia jeszcze 70, a Teheran, wylęgarnia grup terrorystycznych na Bliskim Wschodzie, może w każdej chwili uzyskać materiał potrzebny do produkcji broni nuklearnej.

▶ Prztyczek europejskich lewaków dla USA

Świat bez broni nuklearnej byłby oczywiście bezpieczniejszy, ale żyjemy w rzeczywistości, w której Chiny i Rosja budują nową oś zła wymierzoną w USA i ich sojuszników oraz w której prowadzone są działania – a stoją za nimi Moskwa i Pekin i przychylnie patrzą na nie takie europejskie stolice, jak Berlin i Paryż – służące wypchnięciu Stanów Zjednoczonych z Europy. Dziś w lewicowych kręgach w Europie modne jest uderzanie w Waszyngton. I w takim to oto czasie Norweski Komitet Noblowski chce nas przekonać, że niby możliwe, by Chiny, Rosja i Korea Płn. złożyły broń atomową, a stanie się to dlatego, że przypomnimy o amerykańskich ofiarach w Hiroszimie i Nagasaki. Europejskie lewactwo z jednej strony lubuje się w przedstawianiu USA w nieprzychylnym świetle, a z drugiej robi wszystko, co może, by nie rozliczać zbrodni ideologii, która na los naszego kontynentu wpłynęła w tragiczny sposób: komunizmu. Niespecjalnie też chce pamiętać o zbrodniach niemieckiego nazizmu. I stąd kraje, które w przeszłości budowały lub nadal forsują te zbrodnicze ideologie, uzurpują sobie prawo do pouczania innych państw – Niemcy czynią to w Europie, a Chiny, nazywające teraz swój komunistyczny system „socjalizmem nowej ery", chcą go eksportować w świat.

Prawda, którą odrzucają liberalno-lewicowe środowiska w Europie, jest taka, że dziś gwarantem bezpieczeństwa dla Starego Kontynentu jest ścisła współpraca z nuklearną potęgą – Stanami Zjednoczonymi. Dziś działaniem na rzecz bezpieczeństwa dla Polski jest jej udział w programie Nuclear Sharing. Dziś broń nuklearna jest potrzebna Zachodowi nie po to, by jej użyć, lecz dlatego, że zabezpiecza nas ona przed dyktatorami, takimi jak Putin i Xi Jinping. Dobrze rozumie to prezydent Andrzej Duda, który w kwietniu bieżącego roku w wywiadzie dla kanadyjskiej stacji CTV News mówił, że celem włączenia Polski do programu Nuclear Sharing nie byłaby prowokacja Rosji przez Zachód i NATO. „Jest odwrotnie. To Rosja prowokuje Zachód, to Rosja od lat dokonuje militaryzacji – zarówno okręgu królewieckiego, jak i Białorusi". Jak zauważyła senator USA z Partii Republikańskiej Deb Fischer w artykule na łamach amerykańskiego czasopisma „Newsweek": „[…] skuteczna dyplomacja – szczególnie z innymi mocarstwami nuklearnymi – nic nie znaczy, jeśli nie jest wspierana przez potężny nuklearny środek odstraszający. Jeśli uważacie, że

eprasa.pl c90328c217

Chiny i Rosja są dziś zbyt agresywne, wyobraźcie sobie, jak by zareagowały, gdyby Stany Zjednoczone zmniejszyły liczbę rozmieszczonych rakiet międzykontynentalnych".

Żyjemy w świecie, gdy Putin prowadzi brutalną wojnę na Ukrainie i straszy Zachód użyciem broni atomowej, a Xi Jinping właśnie wezwał Siły Rakietowe Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, którym podporządkowane są jednostki wyposażone w pociski balistyczne, także te międzykontynentalne, do wzmocnienia zdolności bojowych i potencjału odstraszania. W obliczu takich zagrożeń mówienie o świecie bez broni atomowej to utopia.

▶ O czym trzeba mówić

Przyznanie w tym roku Pokojowej Nagrody Nobla japońskiej organizacji domagającej się likwidacji broni atomowej to jednak bardzo mylące przesłanie, w czasach gdy wrogowie Zachodu ani myślą z tej broni zrezygnować. Nie znaczy to, że praca, jaką wykonuje organizacja Nihon Hidankyo, czyli Japońska Konfederacja Organizacji Ofiar Bomb Atomowej i Wodorowej, nie zasługuje na uznanie. Powstała w 1956 roku Nihon Hidankyo jest częścią ruchu hibakusha („osoby dotknięte eksplozją"). Zebrane przez nich świadectwa tych, którym udało się przeżyć wybuchy bomb atomowych zrzuconych na Hiroszimę i Nagasaki, pozwalają nam zrozumieć koszmar, jakiego przyszło im doświadczyć. I nie chodzi tu tylko o choroby spowodowane promieniowaniem. W kulturze zachodniej cywilizacji chrześcijańskiej każde życie jest wartością i przejawiamy szczególną troskę wobec ludzi słabych, wobec tych, którzy sami bronić się nie mogą, upośledzonych i wobec ofiar tragedii. Tymczasem w Japonii koszmar tych, którzy przeżyli wybuchy bomb atomowach, polegał także na tym, że przez lata byli odrzuceni przez własne społeczeństwo. I właśnie o tym, z jaką dyskryminacją hibakusha spotykali się wśród własnych rodaków, trzeba mówić, a także o tym, jak dzięki pracy takich organizacji jak Nihon Hidankyo dziś ta sytuacja wygląda zdecydowanie lepiej. W przeszłości wielu z hibakusha nie rejestrowało się w urzędach jako osoby, które przeżyły wybuch bomby atomowej, i rezygnowały ze specjalnej opieki medycznej w obawie przed stygmatyzacją.

Mało kto chciał tworzyć rodziny z hibakusha. Obawiano się bowiem, że dzieci, które urodzą się ze związku z nimi, będą niepełnosprawne. Pojawiały się nawet sugestie, aby wysterylizować te osoby, które znalazły się najbliżej wybuchów. „Kazałem mojej żonie poddać się sterylizacji, ponieważ nie chciałem mieć nienormalnych dzieci. Uważam, że hibakusha, którzy byli 2 tys. metrów od hipocentrum, powinni przejść sterylizację" – taką wypowiedź jednego z polityków z Hiroszimy umieścił Robert Jay Lifton w swojej książce pt. „Śmierć za życia – ocaleli w Hiroszimie". Wielu hibakusha z własnej woli rezygnowało z posiadania dzieci. Ci, którzy zdecydowali się na potomstwo, musieli się liczyć z tym, że ich pociechy będą w szkołach wytykane i prześladowane. Ocaleni po wybuchu bomby atomowej musieli też stawić czoła temu, jak przeżyć z dnia na dzień, bo pracy dla nich nie było. Pracodawcy obawiali się zatrudniać hibakusha, bo to oznaczało, że potrzebują oni więcej odpoczynku i częściej idą na zwolnienia. A to znowu wiązało się ze stratami dla firm.

Trudno zrekompensować cierpienia związane z odrzuceniem i izolacją przez własne państwo i społeczeństwo. Patrick Hein, autor książki pt. „Jak Japończycy stali się obcy sami sobie", pisze, że wstyd i poczucie winy za to, co wydarzyło się w czasie II wojny światowej, nie znalazły odpowiedniej demonstracji w społeczeństwie Kraju Kwitnącej Wiśni. Heine określa sposób, w jaki po wojnie potraktowano hibakusha, jako patologiczny. Stygmatyzacja i dyskryminacja wynikały z faktu, że Japończycy nie potrafili, a często i nie chcieli wyrazić swojej odpowiedzialności za to, co stało się w czasie II wojny światowej. ■

PRAWDA, KTÓRĄ ODRZUCAJĄ LIBERALNO-LEWICOWE ŚRODOWISKA W EUROPIE, JEST TAKA, ŻE DZIŚ GWARANTEM BEZPIECZEŃSTWA DLA STAREGO KONTYNENTU JEST ŚCISŁA WSPÓŁPRACA Z NUKLEARNĄ POTĘGĄ – STANAMI ZJEDNOCZONYMI.

eprasa.pl c90328c217



Putin prowadzi wojnę hybrydową i próbuje przestraszyć Europę i Zachód

MINISTER SPRAW ZAGRANICZNYCH WŁOCH
Antonio Tajani

Antoni Rybczyński

Hybrydowa inwazja Rosji na Europę

eprasa.pl c903286217



FOT. ADOBE STOCK

W doktrynę wojskową Rosji wpisana jest próba uniknięcia starcia z NATO na polu konwencjonalnej wojny. Moskwa wie, że w takim starciu przegra. Dlatego podejmuje wrogie działania, ale tylko takie, które są poniżej progu konfliktu zbrojnego. Nasiliło się to po pełnoskalowej inwazji na Ukrainę, a od początku tego roku można wręcz mówić o regularnej hybrydowej wojnie Rosji z Zachodem.

Na początku maja urzędnicy bezpieczeństwa cytowani w głośnym artykule „Financial Times" mówili, że Moskwa przygotowuje wielką kampanię wybuchów, podpaleń i uszkodzeń infrastruktury – zarówno samodzielnie, jak i przez wynajętych pośredników. Dziennikarskie śledztwo „Spiegla" i portalu The Insider wykazało, że głównym celem działań służb wywiadowczych Rosji jest stworzenie w Europie „poczucia strachu o przyszłość dzieci i kolejnych pokoleń". Podświadomość obywateli Europy powinna zostać „porażona paniką i przerażeniem" poprzez „ataki poznawcze". Dlatego na celowniku Rosjan znajdują się infrastruktura krytyczna, przemysł obronny, transport, media, a nawet służba zdrowia.

„Chaos na europejskich ulicach"

Rosyjskie służby wywiadowcze mają misję generowania „trwałego chaosu na brytyjskich i europejskich ulicach" – mówił na początku października dyrektor MI5 Ken McCallum. Szef brytyjskiego kontrwywiadu wyjaśnił, że choć wydalenie przez państwa europejskie po rosyjskiej napaści na Ukrainę ponad 750 rosyjskich dyplomatów, w tym wielu szpiegów, osłabiło służby wywiadowcze Kremla, pozostają one z „ciągłą misją generowania chaosu na brytyjskich i europejskich ulicach" poprzez „podpalenia, sabotaż i inne działania". Tego samego dnia nowy szef fińskiej agencji kontrwywiadu (SUPO) Teemu Liikkanen oświadczył, że obce służby wywiadowcze za pośrednictwem mediów społecznościowych werbują potencjalnych wykonawców akcji sabotażowych w Europie. W Finlandii najbardziej zagrożone sabotażem są produkcja i transport materialnej pomocy wojskowej dla Ukrainy. Liikkanen sprecyzował, że chodzi o różnego rodzaju „akty wandalizmu czy podpalenia, a celem takich sabotaży jest wywołanie atmosfery strachu czy doprowadzenie do paraliżu jakiejś działalności". Według Liikkanena sprawcy ataków mogą nawet nie wiedzieć, skąd pochodzi zlecenie przeprowadzenia akcji, ponieważ są werbowani przez pośredników, co utrudnia dochodzenie w sprawie potwierdzenia przestępczej działalności obcego państwa. Potencjalnych sabotażystów przyciągają głównie korzyści finansowe.

Jak wielką wagę Kreml przywiązuje do wojny hybrydowej z Europą, potwierdza fakt, że kluczowe rosyjskie służby pracują na tym froncie ramię w ramię. Widać coraz ściślejszą współpracę różnych rosyjskich agencji zajmujących się wywiadem, co w przeszłości nie zawsze było normą. Pomimo niegdysiejszych nieporozumień, a nawet cichej rywalizacji, obecnie FSB, GRU i SWR współpracują ściślej niż kie-

eprasa.pl c90328c217

dykolwiek od czasów II wojny światowej. Co nie zmienia faktu, że zgodnie z tradycją największe doświadczenie w działaniach sabotażowych na terenie wroga ma rosyjski wywiad wojskowy.

Podpalacze z Rosji

Jednostka 29155 to elitarny oddział GRU. Pierwszy raz było o nim głośno po zamachu na Skripala. Ale jego oficerowie odpowiadają też za sabotaż w magazynie amunicji w czeskich Vrbeticach, zamach na bułgarskiego biznesmena z branży zbrojeniowej Emiliana Gebrewa, próbę zamachu stanu w Czarnogórze czy podsycanie separatyzmu w Katalonii. Teraz Jednostka 29155 specjalizuje się w zabójstwach sponsorowanych przez państwo i destabilizacji politycznej. Także poprzez akty sabotażu. Wystarczy rzut oka na ostatnie miesiące: zagadkowe pożary w Polsce i Finlandii czy seria wypadków kolejowych w Szwecji i Czechach. W brytyjskiej fabryce amunicji BAE Systems w Walii doszło zaś w kwietniu do eksplozji, a 3 maja w berlińskiej fabryce firmy zbrojeniowej Diehl wybuchł pożar. Obie firmy produkują broń dla ukraińskiej armii.

Wydział antyterrorystyczny Scotland Yardu bada, czy rosyjscy agenci umieścili urządzenie zapalające w samolocie lecącym do Wielkiej Brytanii i czy miało to związek z podobnym zdarzeniem w Niemczech. Ładunek nie zapalił się w samolocie, ale 22 lipca spowodował pożar w magazynie firmy DHL na przedmieściach Birmingham. Pożar został ugaszony i nikt nie odniósł w nim obrażeń. Gdyby ładunek zapalił się w trakcie lotu, skutki mogłyby być bardzo poważne. Uważa się, że paczka dotarła do magazynu DHL drogą lotniczą, choć nie wiadomo, czy był to samolot transportowy, czy pasażerski ani jaka była jego trasa. Podobny incydent miał miejsce w Niemczech, również pod koniec lipca, kiedy podejrzana paczka przeznaczona do transportu lotniczego zapaliła się w innym obiekcie DHL w Lipsku, a śledczy badają potencjalne powiązania między tymi dwoma zdarzeniami. Szef niemieckiego kontrwywiadu Thomas Haldenwang powiedział, że gdyby przesyłka z Lipska zaczęła płonąć podczas lotu, doszłoby do katastrofy. Z kolei latem w różnych miejscach na terenie Finlandii doszło do – niewyjaśnionych dotąd – serii włamań do obiektów infrastruktury wodociągowej, w tym na przykład wież ciśnień czy punktów dystrybucji wody.

To, co może niepokoić, to rozszerzenie aktywności rosyjskiego wywiadu na działania sabotażowe i wykorzystywanie tzw. agentów jednorazowego użytku. W kwietniu w bawarskim mieście Bayreuth aresztowano dwie osoby posiadające obywatelstwo rosyjskie i niemieckie. Jeden z agentów brał wcześniej udział w operacjach wojskowych w Donbasie i był w kontakcie z rosyjskimi służbami. Planowali sabotaż w RFN: ataki z użyciem materiałów wybuchowych i podpalanie obiektów wojskowych i obronno-przemysłowych. Agenci zbierali informacje na temat potencjalnych celów, w tym obiektów transportowych i wojskowych, także sił zbrojnych USA. Były szef Federalnej Służby Wywiadowczej (BND) Gerhard Schindler ocenił, że ujęcie tych osób to tylko „wierzchołek góry lodowej". 20 czerwca we Frankfurcie nad Menem zatrzymano kolejne trzy osoby podejrzane o szpiegostwo na rzecz Rosji. Zbierali informacje na temat obywatela Ukrainy przebywającego w Niemczech, który był zaangażowany w walkę z armią rosyjską. Można się tylko domyślać, że chodziło o zamach.

Skoro była już mowa o Finlandii, to nie można zapominać o Szwecji. Obaj nowi członkowie NATO są szczególnie narażenie na hybrydowe ataki Rosji. Firmy zajmujące się bezpieczeństwem w Szwecji odnotowały ostatnio wzrost prób sabotażu, w tym wykorzystywanie dronów nad obiektami firm zbrojeniowych w celu ich dokumentowania i mapowania, „bardziej agresywne" szpiegostwo, cyberataki i dezinformację. „Od pewnego czasu widzimy oznaki zwiększonej rosyjskiej skłonności do ryzyka, a dotyczy to działań zagrażających bezpieczeństwu. Jest to szeroki zakres, od operacji wpływu po sabotaż, który jest skierowany na Zachód, a tym samym na Szwecję" – mówił Karl Melin, rzecznik SÄPO, szwedzkiej agencji bezpieczeństwa. Wobec wsparcia Szwecji dla Ukrainy SÄPO uważa obiekty wojskowe i fabryki broni za najbardziej narażone na ataki. Szwedzkie stowarzyszenie przemysłu bezpieczeństwa i obrony (SOFF), które reprezentuje 250 firm, stwierdziło, że obserwuje „bardziej agresywne operacje wywiadowcze mające na celu gromadzenie poufnych informacji poprzez szpiegostwo. Odnotowaliśmy przykłady fizycznych i technicznych prób uzyskania dostępu do informacji i innowacji". Z przemysłem zbrojeniowym współpracuje państwowy koncern wydobywczy LKAB. Jak poinformował, pod koniec sierpnia na obszarze Per Geijer pod Kiruną na północy Szwecji doszło do sabotażu maszyn wykorzystywanych do wierceń eksploatacyjnych. W styczniu 2023 roku w tym miejscu odkryto największe w Europie złoża metali ziem rzadkich, które są kluczowe w produkcji baterii, silników elektrycznych i turbin wiatrowych, a także sprzętu wojskowego. Według oświadczenia LKAB w czterech maszynach nieznany sprawca lub sprawcy przecięli węże doprowadzające wodę, a także pocięli opony i opróżnili kanistry z paliwem, gdy

eprasa.pl c90328c217

robotnicy wykonujący wiercenia znajdowali się w środku maszyn.

Miękkie (podwodne) podbrzusze Zachodu

99 proc. światowych danych jest przesyłanych przez globalną sieć kabli podmorskich. Szacuje się, że transakcje finansowe o wartości 10 bilionów dolarów przechodzą przez te rozległe sieci kabli każdego dnia. Oprócz kabli danych, krytyczna infrastruktura podmorska obejmuje również kable elektryczne i rurociągi dostarczające ropę naftową i gaz. W styczniu 2022 roku uszkodzony został podwodny kabel do przesyłania danych łączący Norwegię z jej arktycznym archipelagiem Svalbard. W październiku 2023 roku wykryto uszkodzenie gazociągu Balticconnector pomiędzy Finlandią i Estonią. Wkrótce odkryto kolejne uszkodzenia pobliskich podwodnych kabli łączących Finlandię i Estonię oraz kabla łączącego Estonię i Szwecję. Ogromnym wyzwaniem dla NATO staje się obecnie ochrona podwodnej infrastruktury państw Sojuszu, w tym kabli i rurociągów, przed potencjalnym atakami hybrydowymi Rosji. James Appathurai z Kwatery Głównej NATO uważa, że Rosja jest w tym obszarze najbardziej aktywna pod powierzchnią Bałtyku. „Obserwujemy rosnący poziom zagrożeń i działań hybrydowych wobec krajów NATO, głównie ze strony Rosji. Chodzi o ataki cybernetyczne, dezinformację, ingerencję polityczną, wymuszoną migrację, zagrożenie dla infrastruktury, także rosnącą liczbę aktów sabotażu" – powiedział Appathurai podczas eksperymentalnych ćwiczeń państw NATO w Portugalii. Jak podkreślił, jednym z takich zagrożeń jest potencjalny sabotaż infrastruktury krytycznej państw NATO, która znajduje się na dnie mórz.

Rosjanie od dekad wykorzystują tzw. program badań podwodnych, aby mapować zachodnią infrastrukturę krytyczną. Nie tylko mapują, lecz także przygotowują się do potencjalnych ataków sabotażu. Posiadają zdalnie sterowane podwodne urządzenia, które mogą uszkodzić podwodne rurociągi lub kable. Akwenem, na którym Rosja jest najbardziej aktywna pod powierzchnią morza, jest Bałtyk, ale działa również na Atlantyku, Morzu Północnym, Morzu Śródziemnym i Morzu Czarnym. NATO zainaugurowało niedawno działalność nowego Morskiego Centrum Bezpieczeństwa Krytycznej Infrastruktury Podwodnej (CUI), które zapewni ochronę tysięcy kilometrów podmorskich kabli i rurociągów. Norwegia i Niemcy proponują również utworzenie pięciu regionalnych hubów CUI dla pięciu obszarów morskich: Morza Bałtyckiego, Morza Północnego, Oceanu Atlantyckiego, Morza Śródziemnego i Morza Czarnego. Norwegia oferuje utworzenie CUI dla Dalekiej Północy. Niemcy są gotowe do przejęcia odpowiedzialności na Morzu Bałtyckim.

Należy jednak pamiętać, że Rosja ucieka się nie tylko do sabotażu. Ważne są też działania destabilizujące społeczeństwa zachodnie. 3 czerwca francuska policja aresztowała trzech obcokrajowców, oskarżając ich o złożenie u stóp wieży Eiffla pięciu trumien udrapowanych we francuskie flagi. Flagi nosiły napis „Francuscy Żołnierze Ukrainy". Nagrania z telewizji przemysłowej doprowadziły policję do kierowcy furgonetki, która przewoziła trumny. 34-letni kierowca to Bułgar. Powiedział policji, że otrzymał 40 euro od dwóch innych mężczyzn za pomoc w transporcie trumien. Dwaj mężczyźni, którzy rzekomo zapłacili Bułgarowi, zostali aresztowani wkrótce potem, gdy przygotowywali się do wejścia na pokład autobusu do Niemiec. Jeden z nich jest obywatelem Niemiec, podczas gdy drugi posiada obywatelstwo ukraińskie, prawdopodobnie jest uchodźcą lub został zwerbowany przez Rosję na okupowanych terytoriach. Obaj mężczyźni powiedzieli policji, że zapłacono im 400 euro za transport trumien.

Przykładem destabilizujących działań Rosji były też antyizraelskie zamieszki na berlińskim Uniwersytecie Humboldta. Ważnym inspiratorem protestów był lewicowy portal Red, który nosił wcześniej nazwę Redfish i należał do Ruptly, platformy wideo należącej z kolei do rosyjskiego holdingu medialnego RT (poprzednia nazwa Russia Today). Redfish był skierowany do młodej lewicy i miał setki tysięcy obserwujących w mediach społecznościowych. Po umieszczeniu Ruptly na liście sankcji, portal zmienił nazwę i redaktora naczelnego, ale nie zaprzestał swojej prorosyjskiej działalności. Rosja poprzez dezinformację, sabotaż, ataki hakerów chce wywierać na Europę presję, zniechęcić do pomocy Ukrainie. 31 maja w serwisie PAP ukazały się dwie depesze dotyczące rzekomego ogłoszenia mobilizacji w Polsce. Hakerzy umieścili je w serwisach, przełamawszy wcześniej zabezpieczenia z użyciem szkodliwego oprogramowania, które zostało wykorzystane na koncie jednego z pracowników PAP. Liczba cyberataków na systemy związane z obronnością wzrosła w Polsce pięciokrotnie po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Hakerzy szukają słabiej zabezpieczonych systemów firm uczestniczących chociażby w transporcie pomocy dla Ukrainy. W 2022 roku doszło w Polsce do 40 tys. cyberataków, rok później było ich już 80 tys. Rosyjscy cyberprzestępcy testują teraz słabe punkty w systemach cyberbezpieczeństwa, instalują złośliwe oprogramowanie, dowiadują się, gdzie i jak zaatakować, nie robiąc tego teraz. Stoją za tym dwie grupy stworzone przez GRU.

eprasa.pl c90328c217

Rosyjski reżim, przestępcze metody

To właśnie specjalna jednostka rosyjskiego wywiadu wojskowego GRU organizuje sabotaż w Europie, rekrutując wykonawców za pośrednictwem Telegramu i TikToka, płacąc im kryptowalutą. Według ustaleń Centrum Dossier, na początku 2024 roku zwerbowała ona za pośrednictwem Telegramu mieszkańca Łotwy, który na polecenie rzucił koktajlem Mołotowa w Muzeum Okupacji w Rydze. Ten sam zespół stał za akcją pod koniec 2023 roku, kiedy w kontekście operacji wojskowej Izraela w Strefie Gazy kilku obywateli Mołdawii namalowało Gwiazdy Dawida na budynkach w Paryżu i na jego przedmieściach. Dochodzenie wykazało, że zostali oni zwerbowani za pośrednictwem TikToka. Zespół z GRU poszukuje agentów za pośrednictwem czatów z ogłoszeniami pracy: wśród prorosyjskich aktywistów i ludzi związanych z przestępczością lub radykałów – zarówno prawicowych, jak i lewicowych. GRU przyciąga również przestępców z Rosji, Ukrainy, Gruzji, Armenii, Mołdawii i Serbii, rekrutując potencjalnych sabotażystów za pośrednictwem pracowników MSW. Agenci ci czasami posiadają również paszporty UE. Rosjanie prowadzą aktywną rekrutację wśród lokalnej ludności w krajach o historycznych i kulturowych powiązaniach z Rosją, takich jak Bułgaria i Serbia. Pozwala to Moskwie konsolidować swoje wpływy i kontrolować krajowe procesy polityczne poprzez wykorzystywanie lokalnych zasobów i struktur przestępczych. Choćby wynajmować zabójców na zlecenie.

Rosja często rekrutuje cywilów, w tym wcześniej skazanych przestępców, za pośrednictwem sieci społecznościowych. Płatności dokonuje się w kryptowalucie. Czasami rekrutacja odbywa się za pośrednictwem kierowców Ubera. FSB rekrutuje zabójców z rosyjskich więzień, wysyłając ich za granicę do udziału w operacjach, w tym zabójstwach na zlecenie. Na przykład 2. Służba zwerbowała byłego członka ISIS Baurzhana Kultanowa. Po dostarczeniu mu dokumentów na nazwisko Muhammad Usmanow, wysłano go do Turcji w celu szpiegostwa i organizacji zabójstw. Został zatrzymany. Według zeznań początkowo był on przygotowany do wysłania do Ukrainy. Miał tam infiltrować jednostki wojskowe składające się z czeczeńskich ochotników lub Tatarów krymskich, mając na celu wspieranie rosyjskich narracji propagandowych o terrorystach w ukraińskiej armii. Takich ludzi jak Kultanow Rosja werbuje też do wykonania mokrej roboty. Najbardziej znany był przypadek zlecenia na szefa koncernu zbrojeniowego Rheinmetall, Armina Pappergera. Ta firma jest filarem niemieckiej pomocy zbrojeniowej dla Kijowa. W tym samym czasie pojawiła się informacja, że bazy wojskowe USA w Niemczech zostały postawione w stan podwyższonej gotowości ze względu na zagrożenie dywersją sponsorowaną przez Moskwę. Pappergerowi się udało, mniej szczęścia miał dezerter. Rosyjscy urzędnicy rezydujący w Wiedniu zapłacili zabójcom, którzy zastrzelili w lutym 2024 roku w Hiszpanii Maksyma Kuźminowa, rosyjskiego pilota, który wcześniej uciekł helikopterem wojskowym na Ukrainę.

Sytuacja staje się coraz poważniejsza. Jeszcze w maju minister spraw wewnętrznych Łotwy Rihards Kozlovskis oznajmił, że służby specjalne są „codziennie w stanie alertu". „Jesteśmy w stanie wojny hybrydowej" – dodał. Norwegia z tego powodu przestała wpuszczać Rosjan, którzy przyjeżdżają do tego kraju turystycznie i w innych celach o „drugorzędnym" znaczeniu. Środek ten ma zastosowanie niezależnie od tego, który kraj wydał wizę Schengen. Norweska Policja Bezpieczeństwa (PST) i Norweska Służba Wywiadowcza (NIS) ostrzegły w maju, że istnieje zwiększone zagrożenie rosyjskim sabotażem przeciwko norweskim dostawcom broni i innym instytucjom zaangażowanym w dostawy materiałów wojskowych na Ukrainę. Szefowa kontrwywiadu PST Inger Haugland oświadczyła, że Rosjanie planują akty sabotażu w zachodniej Norwegii. Tam znajduje się największa baza morska w Europie Północnej, Hakonsvern, a także ważne obiekty naftowe i gazowe, elektrownie i inna infrastruktura związana z energią elektryczną.

„The Washington Post" zdobył zalecenia sporządzone na prośbę rosyjskiego MSZ przez członków moskiewskiego Instytutu Wspólnoty Niepodległych Państw. „Należy kontynuować wspieranie prawicowych i izolacyjnych sił w USA" – pisze członek moskiewskiego instytutu Władimir Żarychin. Apelując też o wspieranie destabilizacji w Ameryce Południowej poprzez poparcie dla formacji skrajnie lewicowych i prawicowych. Inny dokument rosyjskiego MSZ z 2023 roku potwierdza, że Rosja prowadzi wojnę hybrydową ze Stanami Zjednoczonymi i ich sojusznikami. W dokumencie z 11 kwietnia 2023 roku, który jest załącznikiem do publicznie dostępnej koncepcji polityki zagranicznej rosyjskiego MSZ, zawarto apel o stworzenie mechanizmu, za pomocą którego Rosja będzie w stanie osłabić sojuszników Stanów Zjednoczonych. Mechanizm ten ma polegać na wykorzystywaniu słabych punktów w polityce wewnętrznej i zagranicznej krajów sojuszniczych USA. W tym tajnym załączniku MSZ apeluje o ingerencję w politykę wewnętrzną krajów zachodnich i innego rodzaju działania destabilizacyjne, jak i kampanie dezinformacyjne. ■

eprasa.pl c90328c217

OD GRUDNIA 2024

„NOWE PAŃSTWO”

DOSTĘPNE WYŁĄCZNIE W PRENUMERACIE!

Zamów na prenumerata.swsmedia.pl i zyskaj dostęp do treści, które mają znaczenie!



Więcej informacji

NAPISZ / prenumerata@swsmedia.pl ZADZWOŃ / 605 900 002 SPRAWDŹ / www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO

eprasa.pl c90328c217

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Chiny

Pekin prowadzi działalność wywiadowczą na niespotykaną dotąd skalę. Mobilizuje do tego agencje bezpieczeństwa, firmy prywatne i chińskich cywilów, a celem tych działań jest osłabienie Zachodu i wzmocnienia gospodarki ChRL. „Właściwie nie ma tygodnia bez ostrzeżenia ze strony zachodnich agencji wywiadowczych o zagrożeniu, jakie stanowią Chiny" – czytamy w artykule pt. „Skala chińskiego szpiegostwa przytłacza zachodnie rządy", jaki ukazał się na łamach „The Wall Street Journal" („WSJ") 14 października. Agencje szpiegowskie wielu państw apelują do firm i osób prywatnych w swoich krajach o zachowanie czujności w kontaktach z Chinami, co niestety nie jest łatwe, biorąc pod uwagę, jak głęboko ChRL jest obecnie związany z gospodarką światową. Latami handel z Chinami przyczyniał się do wzrostu gospodarczego Zachodu i dziś większość państw naszego bloku, gdy ma odpowiedzieć na wrogie działania ze strony Komunistycznej Partii Chin (KPCh), przejawia strach przed nałożeniem na Pekin sankcji czy wyrzuceniem jego dyplomatów.

„WSJ" podaje wiele przykładów niebezpiecznych działań Pekinu wymierzonych w wolny świat. Opublikowane we wrześniu br. wyniki śledztwa przeprowadzonego przez polityków Partii Republikańskiej zasiadających w Komisji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Komisji Specjalnej ds. Komunistycznej Partii Chin w Izbie Reprezentantów wykazały, że chińskie dźwigi przeładunkowe i suwnice kontenerowe wykorzystywane w amerykańskich portach morskich są wyposażone w technologię, która umożliwia Pekinowi dostęp do tych maszyn, a tym samym ułatwia szpiegostwo i zakłócenia. Producentem dźwigów jest firma ZPMC, spółka zależna China Communications Construction, wiodącego wykonawcy w ramach Nowego Jedwabnego Szlaku, inicjatywy chińskiego przywódcy Xi Jinpinga, której celem jest rozwój infrastruktury i połączeń handlowych w Azji i Afryce. ZPMC jest także obecny w Polsce. W BCT Gdynia (Baltic Container Terminal) znajdują sie cztery suwnice produkcji ZPMC. Dodatkowo jedyna duża suwnica kontenerowa jest w porcie wewnętrznym w Gdańsku (na terenie byłego Gdańskiego Terminalu Kontenrowego – GTK) i jedna suwnica w terminalu Hutchison Ports Gdynia.

Chińskie szpiegowanie może odbywać się też pod pozorem całkiem niewinnego zachowania Chińczyków. We wrześniu pięciu chińskich absolwentów University of Michigan zostało zatrzymanych w środku nocy, gdy robili zdjęcia niedaleko miejsca, w którym odbywały się ćwiczenia Gwardii Narodowej USA. W manerwach tych uczestniczył także personel wojskowy z Tajwanu. Zatrzymani Chińczycy twierdzili, że obserwowali gwiazdy. W tę niewinną wersję wydarzeń nie uwierzyły amerkańskie służby i obywatelom ChRL postawiono zarzuty m.in. brania udziału w spisku, składania fałszywych zeznań federalnym śledczym i niszczenia materiałów podczas śledztwa.

Ważnym elementem chińskiej infiltracji jest działalność hakerska. Jak podaje „WSJ", hakerzy wspierani przez KPCh liczebnie przewyższają cały personel FBI zajmujący się cyberbezpieczeństwem. Są to proporcje mniej więcej jak 50 do 1. Wśród bardziej spektakularnych działań chińskich hakerów w tym roku „WSJ" wymienia m.in. wtargnięcie do krajowego rejestru wyborców w Wielkiej Brytanii. Inny drastyczny przypadek jest w tej chwili badany przez rząd USA – prawdopodobnie chińska grupa hakerów na polecenie KPCh włamała się do głównych amerykańskich do-

eprasa.pl c90328c217

stawców szerokopasmowego internetu i w ten sposób mogła podsłuchiwać amerykańskie organy ścigania.

Wzmożona działalność szpiegowska ze strony ChRL odbywa się w momencie zwiększonej asertywności militarnej Pekinu. Chiny wspierają Rosję w ich wojnie na Ukrainie, a prezydent Xi nakazał Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, aby do 2027 roku była gotowa do ataku na Tajwan. Wojna o Tajwan będzie wymagać reakcji USA i ich sojuszników, którzy mogą być osłabieni w wyniku działań wywiadowczych ChRL. „Na początku tego roku FBI poinformowało, że Chiny przejęły setki routerów i wykorzystały je do infiltracji amerykańskich sieci wodnych i energetycznych, co wzbudziło obawy o prewencyjny atak na infrastrukturę USA, gdyby Waszyngton interweniował w chińskiej próbie roszczenia sobie praw do Tajwanu" – czytamy w artykule na łamach „WSJ". Podobne działania odnotowano także w innych miejscach. Chiny umieściły złośliwe oprogramowanie w sieciach energetycznych w Indiach i w sieciach telekomunikacyjnych na Guam, gdzie znajduje się duża amerykańska baza lotnicza.

Zachód słabo radzi sobie z działalnością wywiadowczą Pekinu m.in. dlatego, że jest ona zdecentralizowana i zaangażowane są nią na dużą skalę firmy i agencje prywatne oraz osoby prywatne. Jednym z ważniejszych „kanałów chińskiego szpiegostwa" na Zachodzie są chińscy studenci i naukowcy. Urzędnicy do spraw bezpieczeństwa od lat obserwowali chińskich badaczy, którzy studiowali na chińskich uczelniach mających bardzo bliskie powiązania z ChALW. Jednak jak stwierdza „WSJ": […] ostatnio […] szpiedzy podszywający się pod badaczy nauczyli się lepiej tuszować swoje ślady. Jednym z przykładów są studenci, którzy początkowo zapisują się na kursy językowe lub literackie, a następnie przechodzą na komputery kwantowe lub inne wrażliwe obszary".

Korea Północna

17 października Kyryło Budanow, szef ukraińskiego wywiadu wojskowego (HUR), w rozmowie z serwisem The War Zone stwierdził, że północnokoreański przywódca Kim Dzong Un wysyła około 11 tys. żołnierzy, by wsparli Rosję na Ukrainie. Amerykański konserwatywny think tank Hudson Institute zwraca uwagę, że wsparcie Kima dla Putina i zależność Pjongjangu od Chin sprawia, że Korea Płn. jest szczególnie niebezpiecznym elementem nowej osi zła.

Już we wrześniu 2023 roku Władimir Putin spotkał się z Kim Dzong Unem i obiecał wsparcie dla programu kosmicznego Pjongjangu. Zaledwie dwa miesiące później Korea Płn. pomyślnie wysłała na orbitę satelitę rozpoznawczego. Według wywiadu Korei Płd., Pjongjang dostarczył Rosji miliony pocisków artyleryjskich w celu wsparcia jej ofensywy na Ukrainie w zamian za dostawy żywności. A USA i Ukraina twierdzą, że wystrzeliwane w kierunku Ukrainy rakiety balistyczne dostarczane są m.in. przez Koreę Płn. Według prezydenta Korei Południowej Yoona Suk Yeola „rakiety i pociski artyleryjskie, które Korea Płn. dostarcza Rosji, przedłużą wojnę na Ukrainie, a potencjalna technologia wojskowa Rosji i w zamian pomoc gospodarcza dla Korei Płn. zagrażają pokojowi na Półwyspie Koreańskim i w regionie Azji Północno-Wschodniej".

Ale Pjongjang nigdy nie zaangażowałby się tak bardzo po stronie Moskwy, gdyby nie ciche przyzwolenie i wsparcie Pekinu. Taką samą cichą zgodę ChRL ma Kim Dzong Un na rozwijanie swojego programu nuklearnego. Donald Trump miał rację, mówiąc, że Pekin mógłby rozwiązać problem z Koreą Płn. „w dwie sekundy", ponieważ Korea Płn. jest zależna od Chin w zakresie energii, towarów i stabilności.

Hongkong

W wypowiedzi dla Głosu Ameryki podczas swojego pobytu w Czechach na Forum 2000 była prezydent Tajwanu Tsai Ing-wen wezwała Chiny do uwolnienia hongkońskiego wydawcy Jimmy'ego Laia. Lai, katolik i założyciel już zamkniętego antykomunistycznego hongkońskiego dziennika „Apple Daily", od końca 2020 roku trzymany jest w odosobnieniu w więzieniu w Hongkongu. 76-letni wydawca stanął przed sądem pod zarzutem zmowy z siłami zagranicznymi i podżegania do buntu. Lai odrzuca te oskarżenia, a wielu znających jego i sytuację w Hongkongu określa je jako motywowane politycznie. 20 listopada odbędzie się kolejna rozprawa Jimmy'ego Laia. Jego syn Sebastien Lai w wypowiedzi dla „Gazety Polskiej Codziennie" powiedział: „Mój ojciec jest w więzieniu, ponieważ stanął w obronie wolności i demokracji, które niszczą komunistyczne Chiny w Hongkongu". Sebastien ma nadzieję, że podczas mającej się odbyć niedługo wizyty ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii Davida Lammy'ego w Chinach poruszony będzie los jego taty, który ma obywatelstwo brytyjskie. Jednak wielu komentujących sprawę uważa, że mogą to być płonne nadzieje, bo lewicowy rząd w Londynie stawia na bliskie relacje z komunistycznymi Chinami i nie chce urazić Pekinu. Dlatego m.in. nie zgodził się, by w czasie swojej wizyty w Europie była prezydent Tajwanu Tsai Ing-wen odwiedziła Wielką Brytanię.

Sebastien Lai, który tak jak Tsai brał udział w Forum 2000 w Pradze, powiedział, że inne państwa powinny upominać się o jego tatę, „aby wywrzeć presję na rząd Hongkongu, by nie mógł on dalej prześladować mojego ojca". ■

eprasa.pl c90328c217





Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Rozczochrane myśli spisane w leniwym cieniu peruwiańskiej wiosny

Nawet najbardziej drobiazgowo przygotowany plan wyjazdu musi mieć pewien margines. Nie tyle błędu, ile wolności na nowe. Na to, co nieprzygotowane. Czego nie da się po prostu przewidzieć. A już na latynoskim lądzie taka gotowość na nowe wydaje się dziś wręcz nieodzowna.



Im biedniej, tym bardziej szczodre i otwarte serca...

Witamy w Peru. Poproszę jeszcze raz pański paszport – tajemnicze latynoskie oczy spoglądające zza szczelnej szyby celnej momentalnie stawiają do pionu. Długa podróż nad Atlantykiem sprawiła, że tempo percepcji na zdarzenia wokół mocno się spowolniło. Najwidoczniej niektóre rzeczy trzeba w tej chwili powiedzieć do mnie dwa razy, żebym zrozumiał. – Señor, pasaporte. Documento...

– Si, si... – odpowiadam wybudzony z letargu. – Proszę uprzejmie.

– Jeszcze tylko formalna kontrola bagażu i może pan iść, señor.

Póki co wszystko idzie jak po maśle. Dwadzieścia godzin powrotu na ukochany kontynent. W tej chwili zostają w głowie już tylko wspomnienia. Choćby tego przesympatycznego pogranicznika z Miami, który przez kilkadziesiąt minut męczył się z przeczytaniem mojego nazwiska.

– Zerneki, am I right? Dobrze czytam? – upewniał się, trzymając w potężnych czarnych dłoniach stronki mojego paszportu. By po wszystkim wybuchnąć głośnym śmiechem. – God bless You, man!

Potem ci mocno zaokrągleni amerykańscy policjanci oczekujący na podróżnych. Prawie sami czarnoskórzy i metysi. Niczym z serialu „Policjanci z Miami". Na koniec zaś uprzejmy steward, który dwoił się i troił, aby wszystkim na pokładzie niczego nie zabrakło. Rzeczywiście. Póki co jest wręcz bajkowo.

Samolot rozpoczął zniżanie jeszcze nad płaskowyżowym departamentem de Junín. Potem było już tylko lepiej. Obserwowane z lotu ptaka wyschnięte koryta rzek, pokryte czapami śniegu wierzchołki pasma Marcapomacocha czy wielka równina przed największą peruwiańską aglomeracją. O tej porze słońce dopiero co nieśmiało wygląda zza wschodniego pogórza, usilnie próbuje przecisnąć się przez wieczne zamglony nieboskłon nad miastem, Lima wygląda jeszcze bardziej posępnie niż za dnia. Wreszcie. Koła samolotu dotykają pasa lotniska imienia Jorge Chaveza. Zaraz będę za zewnątrz.

Dwa światy

Hala przylotów. Miejsce styku dwóch światów. Tego, gdzie człowiek czuje się jeszcze jako tako bezpiecznie. Gdzie ryzyko kradzieży wydaje się raczej margi-

eprasa.pl c90328c217

nalne. Gdzie największą trudnością staje się znalezienie najmniej obleganego WC. Tutaj wszystko się zmienia. Tłum gapiów. Szajki kieszonkowców. Mafia lotniskowa. Długo by wymieniać.

Przytulam mocno do siebie oba plecaki i przygotowuję się do walki.

„Señor, taxi?" – słyszę zewsząd. Na razie wystarcza mi cierpliwości, aby nie odpowiadać. Aby minąć tę pierwszą falę. Oszczędzając przynajmniej połowę proponowanej tu ceny za przejazd. Za kilkaset metrów taryfa będzie inna. Lokalna. Trzeba jedynie wytrzymać. I dojść.

– Taxi? Centro? Lima?

– A za ile? – wymyka mi się i po chwili łapię się za usta. Co ja najlepszego zrobiłem? Przecież facet teraz się już nie odczepi.

– Oferta specjalna. Tylko 150 soles, señor! Wyjątkowo dla ciebie. My friend, nikt tyle nie płaci.

Ta odpowiedź tylko utwierdza mnie w przekonaniu, aby przyspieszyć. I już się więcej nie oglądać. Po kilku chwilach wychodzę wreszcie poza lotniskowy hangar. Wąsaty jegomość, którego „specjalną ofertę" odrzuciłem, idzie jednak za mną. Można się było tego spodziewać. Pytanie o stawkę traktuje się tutaj jako zaproszenie do negocjacji. A te mogą u Latynosów trwać w nieskończoność. A i tak kończą się stawką znacznie powyżej tej standardowo przyjętej. Dlatego wolę nawet nie podejmować tej nierównej walki z góry skazanej na porażkę.

– Señor! Taxi... – nie odpuszcza mężczyzna.

– Grazias!

– Ale taxi... Potrzebujesz przecież...

On już się nie podda. Trzeba po prostu przestać o nim myśleć. Przenieść koncentrację myśli na coś innego. Cokolwiek. Choćby na pogodę. I delektowanie się nią. Oto bowiem początek listopada. Pora zacząć rozkoszować się słoneczkiem. Klimat w sam raz na zmarznięte polską zimą kości. Przez głowę przewijają się najróżniejsze myśli. Wertuję notatki z pozapisywanymi tanimi hostelami Limy. Notatki. Mapy przecież nie wyjmę, bo jak taksówkarze zobaczą... W pewnej chwili uświadamiam sobie, że mój latynoski wąsacz idzie dalej krok w krok za mną. Mimowolnie zaczynam się do siebie uśmiechać. Zabawny człek. Ukradkiem zerkam za siebie. Wpatrzony w asfalt facet cały czas coś tam do siebie pomrukuje. „Taxi...". „Señor, taxi...". Jakby chciał wyczyścić sumienie, że zrobił wszystko, by zdobyć białego klienta przybywającego na lotnisko. Będzie tak szedł za mną, aż znajdę tańszą okazję. Jego mocno zaokrąglona sylwetka musi budzić uczucie litości. W tym upale na pewno nie jest mu łatwo. Ale idzie dalej. Ile sił w nogach. Zdecydowanie przykrótki T-shirt szczelnie opina dumnie wypięty brzuch. Przepraszam... Przyjrzałem się dokładniej. Nie do końca szczelnie...

Co zabawniejsze, mój nowy amigo paraduje przez cały lotniskowy parking w takich miniaturowych klapeczkach. Zjawiskowy widok! Wielki kolos. I te maciupeńkie japonki klepiące o asfalt. To jest ten moment. Gdy złość i awersja przegrywają z humorem i groteską.. A litość pobudza sumienie. Przecież już się tyle nachodził...



W mieście, jak to w mieście: znajdzie się zajęcie dla każdego, kto tylko chce pracować.

Wsiadam do jego taryfy. Mężczyzna opuszcza na oczy najważniejszy element wystroju prawdziwego peruwiańskiego macho. Przeciwsłoneczne okulary to nierozłączny rekwizyt każdego szanującego się Latynosa. Oczywiście dumnie założone czoło. Ależ ja lubię tych ludzi!

Orkiestra

Sznur żółciutkich aut współtworzy chaotyczny pejzaż wylotówki z lotniska w kierunku centrum Limy. Taksówki, busy towarowe, rozklekotane autobusy. Smolisty, pełen czarnych oparów smog unosi się nisko nad powierzchnią jezdni. Gigantyczny korek, w którym tylko pozornie nie ma żadnych zasad. Bo te są, i owszem. Choćby ta zaobserwowana przed chwilą.

Zagadnięty przez jednego z pieszych taryfiarz na chwilę się zatrzymuje. Rozmawia z niedoszłym

eprasa.pl c90328c217



Do głównych dzielnic Limy dojedziemy specjalnymi busami.

klientem. Całość nie trwa więcej jak pięć sekund. W tym czasie taksówkarz z oczywistych powodów nie podjeżdża do przodu. Zostawiając siłą rzeczy przed sobą jakieś trzy–cztery metry wolnej przestrzeni od następnego zderzaka. Odzywa się orkiestra klaksonów. Piszcząca kakofonia. W wolne miejsce zręcznie wbija się (bo innego słowa nie sposób tutaj użyć…) kolejne auto. Delikatnie przekręcając lusterko stojącego taryfiarza wybrańca. Ten jedynie wszystkiemu się przygląda. Bierze głęboki wdech. I po chwili rusza dalej. Peru wita!

▶ Plecak w bagażniku

– Señor, a dałoby radę ściszyć nieco tę muzykę? Własnych myśli nie słyszę – proszę jak najpiękniej umiem wiozącego mnie taksówkarza.

Pan chyba nie usłyszał.

– Señor…

Wciąż cisza. A może to tylko efekt skupienia na zatłoczonej drodze?

– Señor!

– ¿Qué? – odpowiada wreszcie, jakby wybudzony z letargu.

– Piękna ta muzyka, ale czy nie dałoby rady…

– A dzięki, dzięki, gringo. Już pogłaśniam.

I w takiej oto „mini dyskotece na kółkach" przekraczam rogatki Limy. Nie mam już siły tłumaczyć memu didżejowi za kółkiem, że fakt ulokowania głośników pod tylną szybą sprawia dyskomfort pasażerom. I nieco ogłusza. Otępia umysł. Zaczynam więc, poddając się atmosferze, bezwiednie obserwować wszystko, co dzieje się za oknem. Mijanych murarzy pracujących na budowie. Dzieci ścigające się na rowerach. Jakąś samotną kurę wałęsającą się w poszukiwaniu jedzenia. Domokrążcę objuczonego w gigantyczny plecak.

Otrzeźwienie przychodzi jak grom z jasnego nieba. Plecak! No właśnie… Mój plecak. Co ja najlepszego zrobiłem? Jak można było? Tyle przestróg, tyle przekartkowanych przewodników, tyle rad bardziej doświadczonych ode mnie… Wszyscy przestrzegali przed wkładaniem plecaka do bagażnika. Podając konkretne przykłady, przygody, sytuacje. A ja w całym tym lotniskowym stresie nawet nie pomyślałem, gdy sam z siebie wkładałem plecak do dużego bagażnika z tyłu auta. Łamiąc w ten sposób jedną z podstawowych zasad podróżującego samotnie po Ameryce Południowej.

▶ * O BAGAŻOWEJ PRAKTYCE SŁÓW KILKA *

Latynosi są bez wątpienia jednym z najbardziej cwanych nacji na świecie. Jeśli zaś chodzi o profesję

eprasa.pl c90328c217



Historyczne centrum Limy.

oszukiwania nowo przybyłego na ich ląd gringo, palmę pierwszeństwa bezsprzecznie dzierżą taksówkarze. Począwszy od zrzeszonych w mafijnych korporacjach taryfiarzy wenezuelskiego Caracas, którzy wywożą niczego nieświadomych turystów poza granice miasta, by tam w najlepszym wypadku okraść. A w najgorszym… No właśnie. Pozostawić na pastwę współpracujących z nimi mafijnych band, dla których życie ludzkie jest warte tyle co równowartość około 200 zł. Czasem mniej. Skończywszy zaś na cwaniaczkach załadowujących nasz plecak do bagażnika – mimo usilnych prób załadowania ze sobą do środka auta…

– Wolałbym mieć go przy sobie… – tłumaczą grzecznie turyści.

– Ale tam nie ma miejsca – odpowiadają zwykle kierowcy. – I faktycznie nie ma… Wcześniej bowiem z premedytacją rozsypali pirackie płyty cd z południowoamerykańskim disco-latino na tylnej kanapie, by ograniczyć miejsce dla pasażera. Stary chwyt.

– To posprzątaj.

– Señor. Nie przesadzaj. Daj ten plecaczek i wchodź do środka. Czego tu się znowu bać?

Czego? Ano choćby tego, że ktoś podejdzie i ukradnie ten plecak, otwierając bagażnik. Choćby na najbliższych światłach. A po drugie…

Stop! I tutaj już warto ugryźć się w język. Zapala się bowiem czerwona lampka. Nie warto dalej tłumaczyć. Nasz taryfiarz przecież dobrze wie, w czym rzecz. I już samo pytanie o to, czego się boję, świadczy, że mamy do czynienia z osobnikiem o dużym prawdopodobieństwie przynależności do jednego ze wspomnianych bandyckich układów. W takiej sytuacji bierzemy plecak i spokojnie odchodzimy.

A po trzecie…

Zostawiając plecak w bagażniku, stawiamy się w sytuacji, gdy to my musimy pierwsi opuścić taksówkę i udać się w kierunku tyłu samochodu. A wówczas nasz kierowca może dodać gazu, zostawiając nas z pustymi rękami. Plującego pianą wściekłości i załamanego własną naiwnością. I niech nie łudzi nas wizja, że nie „odjedzie, bo przecież będzie mu zależało na tym, bym mu zapłacił za kurs". Spokojnie. Taksówkarska wizja klejnotów i srebra, jakie bez wątpienia nosi w swoim plecaku każdy biały przybysz z Europy, robi swoje.

***

Teraz już jednak za późno. Jeśli mój taryfiarz jest uczciwy, dojadę ze wszystkim do celu. A jeśli nie… A jeśli nie, wówczas lepiej nie proponować nawet

eprasa.pl c90328c217

krótkiego przystanku, aby przenieść bagaż do środka. Bo kto będzie musiał pierwszy opuścić samochód?

Z tej jakże skocznej, rytmicznej i utwierdzającej mnie w poczuciu własnej wartości mantry wybudzają mnie dopiero widoki za oknem. Lima... Sławna latynoska aglomeracja. Jedno z największych ludzkich skupisk na pacyficznym wybrzeżu Ameryki Łacińskiej. I zarazem chyba najbrzydsze miasto, jakie kiedykolwiek widziałem.

Miasto jest tak szpetne, że sam się orientuję, że od kilkunastu już minut robię zdjęcia właśnie w tym kluczu. Brzydocie także przecież można robić fotografie. Ona też potrafi być ciekawa. Obrazy oszpecenia, wizje chaotycznego rozgardiaszu. To również może okazać się egzotyką. Choć raczej jej drugą, mniej sławną stroną. W bogatszych krajach tak skutecznie zakrywaną przez to, co piękne, sławne i wystawne. Tutaj w biednym Peru wystawioną na pierwszy ogień. Stanowiącą powitalną bramę dla przybyłych drogą lotniczą. Smutny, wręcz zatrważający widok.



Wypadek

– Pierwszy raz w Peru? – taksówkarz wykorzystuje przerwę między piosenkami, aby wreszcie zagadać.

–Tak, pierwszy.

– I jak się podoba?

– Cóż... – próbuję znaleźć jakieś zręczne określenie, gdy wtem samochód wjeżdża w gigantyczną kolejnę.

– O żesz w mordę! – wrzeszczy kierowca – Pardon, señor.

– Nic się nie stało – oznajmiam, rozmasowując nabitego siniaka: pamiątkę po zderzeniu głowy z blaszanym dachem.

– Spodoba się panu tutaj. Lima jest faaantastyczna. A nasze kobiety... Eh... Lubi pan Latynoski?

– Uważaj! – z konieczności zmieniam temat, wskazując z przerażeniem na wjeżdżająca nagle na nasz pas miniciężarówkę.

Trach! Krrzzzsszzzzzz....! Za późno. Auto obciera nasz bok na całej długości.

– Debil.... – syczy mój nowo poznany amigo, zapalając papierosa.

– Nie zatrzymasz się? Przecież facet dopiero co zdemolował ci auto! – wykrzykuję zdziwiony. I przerażony całą tą sytuacją zarazem. Wszak ja również jestem w tym aucie. A ciężarówka była od nas zdecydowanie większa.

Taryfiarz jednak nic już nie odpowiada. Podkręca tylko radio. A mnie się naiwnie wydawało, że ten sprzęt głośniej już nie pociągnie…

Wyglądam przez okno, przyglądając się mijanym kierowcom. O, na przykład temu, na którym właśnie bezczelnie wymusiliśmy pierwszeństwo, wjeżdżając tuż przed jego zderzak. Facet ledwo wyhamował. Spoglądam z lękiem. A ten... się uśmiecha. Używa tylko klaksonu. Ale to nic. Zdążyłem się już przyzwyczaić, że w Ameryce Południowej to raczej znak przyjaźni. Sympatyczne pozdrowienie w stylu „O, stary, nieźle ci to wyszło!". Albo: „Dzień dobry, gnojku. Co u ciebie? Na następnych światłach to ja spróbuję być pierwszy". Zdrowa odtrutka dla nadętych dumą europejskich kierowców, z których każdy jest tym najlepszym.

Logo Universitario

– Możesz powtórzyć nazwę tej uliczki, na jaką mam cię zawieźć, señor? – odzywa się po dłuższej przerwie mój szofer.

– Jasne. Tu masz napisane – odpowiadam, z dumą podając mu skrawek notatnika z przygotowaną już na dziś marszrutą.

– Aha… A nie wiesz czasem, gdzie to jest?

– Wybacz. Nie znam jeszcze Limy na tyle dobrze. Mogłeś przeoczyć, więc przypomnę ci, że jestem tutaj od jakichś dwudziestu minut.

– No tak… Czekaj.

W tym momencie nasze auto zatrzymuje się na środku ronda. A mój towarzysz podróży (muszę przyznać, że naprawdę zaczynam go lubić – chyba jednak

eprasa.pl c90328c217



Wszędzie zdezelowane taksówki – pierwszy widok, na który natyka się wjeżdżający do miasta turysta.

nie jest z tych „złych") wychodzi, aby zagadać do jednego z przechodniów. Wskazuje mu otrzymaną karteczkę z adresem. Po chwili słyszę pierwsze klaksony. Ustawiający się za nami – blokującymi rondo – sznureczek samochodów robi się coraz dłuższy. Wreszcie mężczyzna żegna rozmówcę i z triumfalną miną zasiada za kierownicą.

– Źle pojechaliśmy.

– Dało się zauważyć. Ale już wiesz, gdzie mamy jechać, prawda?

– Nie.

–To o czym rozmawiałeś tyle czasu z tym staruszkiem?? – wykrzykuję w emocjach.

– Zobaczył moją nalepkę przy szybie z logo Universitario i zapytał o wczorajszy wynik meczu.

Nie mam już sił. To zbyt duża abstrakcja jak na pierwszy dzień.

– Przegrali 0:2.

– Aha… – wydobywam z siebie, zastanawiając się, kiedy ten facet przestanie mnie zadziwiać?

Bo to tylko przejściowe

Lima nie może zachwycać, bo jak może oczarować miasto wybudowane w pośpiechu? Byle jak. Byle szybciej. Stolica Peru to typowy przykład pragmatycznego podejścia w realizacji celu przybyłych tu w XVI wieku kolonizatorów. To tutaj planowano wodować statki obładowane inkaskimi kosztownościami i posyłać je prosto do omamionej wizją łupów ze „złotego lądu" Hiszpanii Karola I. Lima miała stać się narzędziem w rękach garstki rzezimieszków, spryciarzy i życiowych wykolejeńców, którzy dla złota oddaliby życie. Miała być, a nie wyglądać. Zatem nie wygląda. Także dziś. Oprócz zabytkowego placu Plaza de Armas ulokowanego w historycznym centrum stolicy Peru, nie ma tutaj nic interesującego do obejrzenia. Interesujące jest natomiast tempo, w jakim dzisiejsza Lima przesuwa coraz bardziej swoje granice. Bezkompromisowo, gwałtownie i niestety bez wizji. To jedna z najbardziej ekspansywnych aglomeracji świata. Miasto rozrasta się niemal na naszych oczach. W latach 70. zamieszkane przez 3 mln ludzi, dziś szacowane jest na aglomerację liczącą ponad 11 mln. Codziennie do stolicy Peru przybywają kolejni imigranci. Za chlebem. Za pracą. Za nadzieją. Najczęściej zupełnie złudną. „To tylko przejściowe" – myślą sobie, gdy lądują na którymś z osiedli nędzy – jednym z dziesiątek, jakie z czterech stron otaczają współczesną Limę. Tych samych, przez które miasto zaczyna przybierać postać bezkształtnego molochu. Miasta z tekturowych domków. Miasta bez prądu. Bez wody. Bez prawa. Wreszcie miasta odbierającego ostatnią nadzieję tym wszystkim, którzy mówili sobie, że „to tylko przejściowe". ■

eprasa.pl c90328c217



oprac. Antoni Rybczyński

Rosja zmienia swoją doktrynę nuklearną, ogłosił Władimir Putin 25 września. Moskwa znacznie rozszerza listę podstaw do użycia broni jądrowej. Eksperci wskazują, że jest to reakcja na dyskusję o możliwym zezwoleniu Ukrainie na użycie zachodnich rakiet do uderzenia w głąb Rosji. Kreml tego nawet nie kryje. Korekty w doktrynie nuklearnej Rosji należy uznać za sygnał dla krajów zachodnich, powiedział prezydencki rzecznik Dmitrij Pieskow.

Rosja zmienia doktrynę atomową. Pokazucha czy realne zagrożenie?

eprasa.pl c90328c217



FOT. ALEXANDER KAZAKOV/SPUTNIK/KREMLIN POOL/PAP/EPA

25 września prezydent Rosji przewodniczył posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa w sprawie odstraszania nuklearnego. Putin zaproponował zmiany w dokumencie o nazwie „Podstawy polityki państwa w zakresie odstraszania nuklearnego". Dokument ten został upubliczniony zaledwie cztery lata temu, kiedy przyjęto jego obecną wersję. – Obecna sytuacja wojskowa i polityczna zmienia się dynamicznie i jesteśmy zobowiązani wziąć to pod uwagę. W tym pojawienie się nowych źródeł zagrożeń militarnych i ryzyka dla Rosji i naszych sojuszników – powiedział Putin. Doktryna, według rosyjskiego prezydenta, będzie zawierać dwa nowe kluczowe postanowienia: w zaktualizowanej wersji dokumentu agresja przeciwko Rosji przez jakiekolwiek państwo nienuklearne, ale z udziałem lub wsparciem państwa nuklearnego, proponuje się uznać za ich wspólny atak na Federację Rosyjską; użycie broni jądrowej będzie rozważane już po otrzymaniu „wiarygodnych informacji o masowym uruchomieniu środków ataku lotniczego i ich przekroczeniu naszej granicy państwowej", w tym „samolotów strategicznych i taktycznych, pocisków manewrujących, dronów, samolotów hipersonicznych i innych" (Paweł Aksenow, „Putin ogłosił zmianę doktryny nuklearnej. Czy oznacza to, że Rosja przygotowuje nuklearną odpowiedź na ataki na swoje terytorium?", BBC Russian, 26 września 2024). Putin podczas transmitowanego w telewizji spotkania z najwyższymi urzędnikami powiedział, że Rosja będzie traktować „agresję na Rosję przez jakiekolwiek państwo nienuklearne, ale z udziałem lub wsparciem państwa nuklearnego" jako „wspólny atak na Federację Rosyjską". Wypowiedź ta była wyraźnym odniesieniem do Ukrainy, która nie posiada broni jądrowej i wsparcia wojskowego, jakie otrzymuje od uzbrojonych w broń jądrową krajów NATO, takich jak Stany Zjednoczone i Wielka Brytania (Anton Troianovski, Ivan Nechepurenko, „Putin ogłasza zmiany w rosyjskiej doktrynie nuklearnej", „The New York Times", 25 września 2024).

Ukraińska wojna i doktryna atomowa

Zaktualizowane podstawowe zasady polityki państwa w zakresie odstraszania nuklearnego rozszerzyły kategorię państw i sojuszy wojskowych, przeciwko którym można przeprowadzić reakcję nuklearną. Czas tych aktualizacji zbiega się z debatą na Zachodzie na temat tego, czy zezwolić Ukrainie na użycie broni dalekiego zasięgu przeciwko celom na terytorium Rosji i jest prawdopodobnie taktyką mającą na celu powstrzymanie tej aktuali-

eprasa.pl c90328c217

zacji. Aktualizacja doktryny z 2020 roku zawiera listę niejądrowych zagrożeń wojskowych, na które Kreml może odpowiedzieć użyciem broni atomowej. Znacząco rozszerzono pewne zapisy i/lub je uzupełniono/sprecyzowano. W starej wersji na przykład było: „Otrzymanie wiarygodnych informacji o wystrzeleniu pocisków balistycznych atakujących terytorium Federacji Rosyjskiej i (lub) jej sojuszników", w nowej mamy uzupełnienie: „Uzyskanie wiarygodnych informacji o masowym wystrzeleniu broni powietrznej w kierunku Federacji Rosyjskiej i przekroczeniu przez nią granicy rosyjskiej, w tym samolotów strategicznych i taktycznych, pocisków manewrujących, bezzałogowych statków powietrznych, samolotów hipersonicznych i innych". W starej wersji było: „Wrogie użycie broni jądrowej lub innych rodzajów broni masowego rażenia na terytorium Federacji Rosyjskiej i (lub) jej sojuszników", po aktualizacji mamy też „Agresja ze strony dowolnego państwa nienuklearnego, ale z udziałem lub wsparciem państwa nuklearnego (wspólny atak na Federację Rosyjską)". Doszedł też zapis: „Agresja przeciwko Białorusi jako sojusznikowi". Wcześniej było: „Agresja przeciwko Federacji Rosyjskiej z użyciem broni konwencjonalnej, gdy zagrożone jest samo istnienie państwa", teraz widać obniżenie progu użycia broni atomowej: „Krytyczne zagrożenie suwerenności Federacji Rosyjskiej przy użyciu broni konwencjonalnej". Zaktualizowane i uzupełnione warunki ustanawiają nowy, niższy próg, który hipotetycznie pozwala Rosji na użycie broni jądrowej, jeśli Ukraina zaatakuje terytorium Rosji zarówno bronią Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego (NATO), jak i bronią dalekiego zasięgu własnej produkcji. Miałoby to również zastosowanie do inwazji Sił Zbrojnych Ukrainy na terytorium Rosji – bez wątpienia odniesienie do wtargnięcia ukraińskich wojsk do obwodu kurskiego. Kreml zakłada, że inwazja nie miałaby miejsca bez wyraźnej zgody Stanów Zjednoczonych i NATO (Alexander Taranov, „Rosja aktualizuje doktrynę nuklearną, obniżając próg użycia broni jądrowej (cz. 1)", Eurasia Daily Monitor Volume: 21 Issue: 142, 2 października 2024).

Nowy przepis dotyczący „agresji na Rosję przez jakiekolwiek państwo nienuklearne, ale z udziałem lub wsparciem państwa nuklearnego", jest prawdopodobnie związany z dyskusjami w kierownictwie USA na temat możliwości zezwolenia Ukrainie na użycie zachodnich pocisków rakietowych przeciwko celom na terytorium Rosji. Ukraińskie siły zbrojne są uzbrojone w amerykańskie pociski balistyczne MGM-140 ATACMS i brytyjsko-francuskie pociski manewrujące Storm Shadow/SCALP. Zasięg tych pierwszych wynosi 300 kilometrów, a drugich 250 kilometrów. Ukraina stara się o pozwolenie na użycie tych pocisków do uderzeń w głąb terytorium Rosji, ale na razie może ich używać w granicach swojego państwa na okupowanych terytoriach (P. Aksenow, „Putin ogłosił zmianę doktryny nuklearnej. Czy oznacza to, że Rosja przygotowuje nuklearną odpowiedź na ataki na swoje terytorium?", BBC Russian, 26 września 2024). Pavel Podvig, szef projektu „Rosyjskie Siły Nuklearne" w Instytucie Badań nad Rozbrojeniem ONZ, uważa, że uzupełnienia i poprawki wprowadzone w celu umożliwienia użycia broni jądrowej w przypadku agresji ze strony państwa nienuklearnego wspieranego przez mocarstwo nuklearne mają strategiczne znaczenie. Twierdzi on, że sformułowanie to zostało specjalnie opracowane, aby wpłynąć na trwające debaty na temat zezwolenia Ukrainie na użycie broni dalekiego zasięgu przeciwko celom na terytorium Rosji. Taka możliwość istnieje już jednak w obecnych rosyjskich przepisach doktrynalnych. Rosja zobowiązała się do nieużywania broni nuklearnej przeciwko państwom nienuklearnym, z wyjątkiem przypadków, gdy działają one w połączeniu lub sojuszu z państwami nuklearnymi. Sformułowanie to zostało przyjęte w 1995 roku w wyniku Konferencji Stron Układu o Nierozprzestrzenianiu Broni Jądrowej z 1995 roku w sprawie przeglądu i rozszerzenia traktatu (A. Taranov, „Rosja aktualizuje doktrynę nuklearną, obniżając próg użycia broni jądrowej (cz. 1)", Eurasia Daily Monitor Volume: 21 Issue: 142, 2 października 2024).

Także eksperci, których rosyjski serwis BBC poprosił o skomentowanie zapowiedzianych przez Putina zmian w doktrynie, nie uważają, że dokument uległ zasadniczej zmianie. Według nich doktryna nuklearna jest dokumentem, który nie zobowiązuje przywódców kraju do automatycznego rozmieszczenia broni jądrowej w określonych sytuacjach w niej opisanych. Daje jedynie możliwość rozważenia takiej opcji, biorąc pod uwagę wiele czynników w środowisku międzynarodowym. Maksym Starczak z Centrum Polityki Międzynarodowej i Obronnej na Queens University powiedział BBC, że nowe przepisy doktryny nuklearnej wyjaśniają warunki użycia broni jądrowej, ale powody jej użycia nie ulegają zmianie. „To zagrożenie dla istnienia państwa i zagrożenie dla broni nuklearnej. Podczas gdy wcześniej warunkiem użycia broni jądrowej był atak pociskami balistycznymi, zostało to rozszerzone na wszystkie środki ataku lotniczego" – powiedział. „Ale w rzeczywistości było to już postrzegane jako zagrożenie mogące mieć negatywny wpływ na strategiczne siły odstraszania

eprasa.pl c90328c217

również w ramach obecnej doktryny" – dodał ekspert (P. Aksenow, „Putin ogłosił zmianę doktryny nuklearnej. Czy oznacza to, że Rosja przygotowuje nuklearną odpowiedź na ataki na swoje terytorium?", BBC Russian, 26 września 2024).

Białoruski parasol i taktyczna atomówka

Rosja rozszerzyła swój parasol nuklearny na Białoruś, co wkrótce zostanie sformalizowane w traktacie o gwarancjach bezpieczeństwa między tymi dwoma krajami do końca tego roku. Będzie on zawierał zasady użycia broni nuklearnej i konwencjonalnej, a także inne metody ochrony obu krajów w ramach Państwa Związkowego. Z tego powodu Putin wspomniał o koordynacji tych kwestii z białoruskim prezydentem Alaksandrem Łukaszenką. Oznacza to rozszerzenie rosyjskich warunków użycia broni jądrowej również na Białoruś (A. Taranov, „Rosja aktualizuje doktrynę nuklearną, obniżając próg użycia broni jądrowej (cz. 1)", Eurasia Daily Monitor Volume: 21 Issue: 142, 2 października 2024). W marcu 2023 roku rosyjski prezydent nakazał rozmieszczenie taktycznej broni jądrowej na terytorium Białorusi. Formalnie zrobiono to w odpowiedzi na transfer pocisków czołgowych ze zubożonym uranem do Ukrainy, ale w rzeczywistości reakcja ta była niezrównoważona i asymetryczna – pociski ze zubożonym uranem w żadnym wypadku nie są bronią jądrową, a ponadto są używane stosunkowo rzadko. „Białoruś oficjalnie otrzymała parasol nuklearny w przypadku jakiegokolwiek ataku na nią – było to już ustalone innymi słowami w doktrynie wojskowej państwa związkowego. Fakt, że udział w agresji państwa nienuklearnego z udziałem państwa nuklearnego może prowadzić do odwetowego uderzenia nuklearnego, został już ustalony w Memorandum Budapeszteńskim podpisanym przez Rosję w 1994 roku" – zauważa Maksym Starczak (P. Aksenow, „Putin ogłosił zmianę doktryny nuklearnej. Czy oznacza to, że Rosja przygotowuje nuklearną odpowiedź na ataki na swoje terytorium?", BBC Russian, 26 września 2024).

Dmitrij Pieskow, sekretarz prasowy prezydenta Rosji, nie ujawnił, czy w ramach zmian w doktrynie omawiano ewentualne odstąpienie od moratorium na testy nuklearne. Krótko przed posiedzeniem Rady Bezpieczeństwa szef Centralnego Ośrodka Testowego Federacji Rosyjskiej na archipelagu Nowa Ziemia, kontradmirał Andriej Sinicyn, powiedział, że ośrodek testowy, jego personel, laboratorium i baza testowa są gotowe do wznowienia prób broni jądrowej na pełną skalę, jeśli i kiedy nadejdzie rozkaz. Rosyjskie Ministerstwo Obrony rozpoczęło wewnętrzne konsultacje w sprawie zmiany procedur użycia taktycznej broni jądrowej (TNW) i strategicznych naziemnych sił jądrowych. Rosyjski Sztab Generalny miał rzekomo zrewidować strategię użycia broni jądrowej w związku z ryzykiem eskalacji z powodu wojny z Ukrainą. Rozszerzono zakres użycia TNW i nakreślono możliwość uderzenia prewencyjnego przez naziemne strategiczne siły rakietowe, wspierane przez uderzenia nuklearne okrętów podwodnych i lotnictwa strategicznego (A. Taranov, „Rosja aktualizuje doktrynę nuklearną, obniżając próg użycia broni jądrowej (cz. 1)", Eurasia Daily Monitor Volume: 21 Issue: 142, 2 października 2024).

Pod koniec maja 2024 roku Rosja przeprowadziła ćwiczenia z użyciem taktycznej broni jądrowej. Nie zostały one użyte, ale przetransportowane i rozmieszczone. Za każdym razem wypowiedzi Putina na temat broni nuklearnej i działania Rosji z różnymi rodzajami broni nuklearnej rezonowały ze społecznością międzynarodową. Z czasem jednak zaczęto podchodzić do tego spokojniej. 7 września dyrektor CIA William Burns przyznał w obecności swojego brytyjskiego odpowiednika, szefa MI6 Richarda Moore'a, że był taki moment pod koniec 2022 roku, kiedy powiedział, że istnieje realne ryzyko, że – w odpowiedzi na serię niepowodzeń na polu bitwy – Rosja użyje taktycznej broni jądrowej. Według Burnsa, następnie przedstawił rosyjskim urzędnikom konsekwencje takiego użycia. „Jednak nigdy nie wierzyłem – i jest to pogląd całego mojego departamentu – że musimy się tego nadmiernie obawiać" – kontynuował dyrektor CIA. „Putin ma zwyczaj reagowania na groźby. Od czasu do czasu będzie nas nadal straszył bronią" (P. Aksenow, „Putin ogłosił zmianę doktryny nuklearnej. Czy oznacza to, że Rosja przygotowuje nuklearną odpowiedź na ataki na swoje terytorium?", BBC Russian, 26 września 2024).

Atomowa pokazucha?

Od czasu rozpoczęcia inwazji w lutym 2022 roku Putin starał się wykorzystać potęgę swojego arsenału nuklearnego, aby przestraszyć Zachód i zmusić go do wycofania się z wojny, w której Ukraina walczy z bronią, funduszami i wywiadem wojskowym dostarczanymi przez zachodnią koalicję pod przewodnictwem Stanów Zjednoczonych. W odpowiedzi Zełenski i zwolennicy Ukrainy argumentowali, że obawy przed rosyjskim użyciem broni jądrowej są przesadzone, zwłaszcza że Rosja nie użyła tej broni pomimo wielokrotnego zwiększania zdolności wojskowych, które zapewniał Zachód (A. Troia-

eprasa.pl c90328c217

novski, I. Nechepurenko, „Putin ogłasza zmiany w rosyjskiej doktrynie nuklearnej", New York Times, 25 września 2024). W czerwcu Putin potwierdził, że Rosja rozważa zmiany w doktrynie nuklearnej. Powiązał potrzebę tych zmian z obniżeniem progu użycia broni jądrowej i opracowaniem przez Zachód ładunków nuklearnych o ultraniskiej wydajności. Jednocześnie zasugerował, że użycie broni jądrowej może zwiększyć tempo osiągania celów Rosji w wojnie z Ukrainą i konfrontacji z Zachodem. Później związek między rewizją doktryny nuklearnej a wojną z Ukrainą potwierdzili rosyjski minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow i jego zastępca Siergiej Riabkow, narzekając na eskalacyjny kurs zachodnich przeciwników Rosji (A. Taranov, „Rosja aktualizuje doktrynę nuklearną, obniżając próg użycia broni jądrowej (cz. 1)", Eurasia Daily Monitor Volume: 21 Issue: 142, 2 października 2024).

Głównym powodem zmiany doktryny odstraszania nuklearnego jest obecne zagrożenie dla bezpieczeństwa Rosji, mówi politolog i starszy wykładowca MGiMO Aleksiej Zudin. Nawet jeśli Ukraina nie zostanie przyjęta do NATO, USA i niektóre kraje UE mogą zapewnić jej gwarancje nuklearne, co jest również jednym z powodów działań rosyjskich przywódców, powiedział Zudin. Zmiany w doktrynie nuklearnej były prawdopodobnie konieczne ze względu na ciągłą eskalację kryzysu ukraińskiego, mówi Oleg Kriwołapow z Wydziału Studiów Polityczno-Wojskowych w Instytucie Stanów Zjednoczonych i Kanady Rosyjskiej Akademii Nauk. W szczególności dotyczy to wysłania samolotów F-16 do Ukrainy, dyskusji na temat użycia zachodniej broni do uderzenia w głąb terytorium Rosji oraz zamiarów USA dotyczących rozmieszczenia rakiet średniego zasięgu w Niemczech. Zmiany w rosyjskiej doktrynie nuklearnej mogą zniechęcić kraje zachodnie do podejmowania dalszych kroków eskalacyjnych, ale ekspert przyznaje, że Waszyngton i Bruksela mogą udawać, że Moskwa nie robi nic nowego, i kontynuować eskalację. Jednocześnie Rosja nie ma potrzeby używania broni jądrowej w konflikcie na Ukrainie, biorąc pod uwagę obecny stały postęp wojsk rosyjskich, powiedział Kriwołapow (Rusłan Ainetdinow, Władimir Kułagin, Gleb Miszutin, „Dlaczego Rosja zmienia swoją doktrynę nuklearną", Wiedomosti, 27 września 2024).

Zaktualizowana doktryna nuklearna obniża próg użycia przez Rosję broni jądrowej. Pozostaje ona jednak ogólna. Nie ma narzędzi do jej oceny ilościowej. Wynika to z jednej strony z dążenia Kremla do utrzymania atmosfery nuklearnej niepewności i dwuznaczności, wywierając w ten sposób psychologiczny wpływ na przeciwników. Z drugiej strony zaktualizowane zapisy nie precyzują roli taktycznej broni jądrowej i warunków jej użycia (A. Taranov, „Rosja aktualizuje doktrynę nuklearną, obniżając próg użycia broni jądrowej (cz. 1)", Eurasia Daily Monitor Volume: 21 Issue: 142, 2 października 2024). Fakt, że nowa doktryna zastępuje szereg sformułowań, takich jak zagrożenie dla istnienia państwa, zagrożenie dla suwerenności, jest dość logiczny, mówi Aleksandr Jermakow, ekspert wojskowy w Rosyjskiej Radzie Spraw Międzynarodowych. Poprzednie sformułowania miały zbyt dużą swobodę interpretacji. Jednak zarówno wtedy, jak i teraz oznacza to, że przed groźbą klęski militarnej na dużą skalę w konflikcie konwencjonalnym możliwe będzie użycie broni jądrowej. Należy jednak rozumieć, zauważa ekspert, że klęska militarna na dużą skalę oznacza naprawdę katastrofalną sytuację, taką jak „Wehrmacht pod Moskwą jesienią 1941 roku". Zdaniem Jermakowa, ukraińska armia nie może stworzyć takiego egzystencjalnego zagrożenia dla Rosji nawet w najśmielszych snach (R. Ainetdinow, W. Kułagin, G. Miszutin, „Dlaczego Rosja zmienia swoją doktrynę nuklearną", Wiedomosti, 27 września 2024).

Kreml i jego media po prostu ignorują nieprzyjemne wiadomości, takie jak ukraińska operacja w obwodzie kurskim. Jakiekolwiek drastyczne kroki wysłałyby bardzo niepokojący sygnał, że coś idzie nie tak, że prezydent traci kontrolę. Dlatego też wszelkie zdecydowane posunięcia – czy to mobilizacja, nagłe zmiany personalne, deklaracje wojny przeciwko krajom zachodnim, czy też ataki wojskowe na zachodnie bazy, na przykład w Polsce lub krajach bałtyckich – wydają się dziś Putinowi wysoce niepożądane. Nie mówiąc już o użyciu broni nuklearnej, nawet taktycznej, przeciwko ukraińskim siłom zbrojnym. Konsekwencje tych kroków są trudne do przewidzenia, choć te negatywne są bardziej oczywiste. Putin i jego otoczenie, którzy cenią sobie stabilność ponad wszystko, nie są przygotowani do podjęcia takich kroków bez nadzwyczajnych okoliczności. Dlatego też groźby Putina dotyczące uznania krajów NATO za uczestników wojny należy postrzegać w taki sam sposób, jak jego wcześniejsze groźby dotyczące „czerwonych linii" Kremla w Ukrainie. Kraje zachodnie wielokrotnie przekraczały te linie, ale Rosja nie zareagowała odpowiednio (Boris Bondarev, „Zachód musi ostrożnie rozważyć prawdziwe znaczenie czerwonych linii Putina", Eurasia Daily Monitor Volume: 21 Issue: 138, 25 września 2024). ■

eprasa.pl c90328c217

Tomasz Sakiewicz

Koniec epoki ideologii

Wiek XIX, a szczególnie XX, przyniosły coś, co w tej formie w historii ludzkości nie występowało – wielkie ideologie obejmujące sposób życia, organizacji państwa i społeczeństwa, a nawet podejście do kultury i nauki.

Była to próba zastąpienia systemów religijnych czymś, co nie wymagało wiary w Stwórcę, a nawet szacunku do pradawnych tradycji. Oczywiście zmiany były wywołane emancypacją grup społecznych, które chciały decydować o swoim losie. Marksizm tłumaczył to zjawisko walką klas o byt, niebezpiecznie redukując człowieka. Liberalizm – wyłącznie chęcią zrzucenia wszelkich ograniczeń. W jednym i drugim było trochę prawdy, ale oparcie się na tych koncepcjach jest jednak ahistoryczne. W zachodnim świecie zaczął się kryzys religii chrześcijańskiej, wynikający trochę ze zgorszenia starciami poszczególnych wyznań, a trochę z adoptowania innych systemów religijnych do wspólnej cywilizacji: szczególnie judaizmu, islamu i buddyzmu. Potrzeba poszukiwania uniwersalnych ideologii była odpowiedzią na te zmiany. Niestety rozwiązania były fatalne. Redukcjonizm marksistowski doprowadził do powstania niezwykle krwawego, niszczącego cywilizację komunizmu. Z kolei jako jego alternatywa, choć mająca trochę wspólnych korzeni, zrodził się faszyzm, dzielący ludzi tak skrajnie, że wielu pozbawił podstawowych praw, w tym prawa do życia. Faszyzm, szczególnie w wersji hitlerowskiego nazizmu, runął pod wpływem akcji militarnej. Komunizm w części krajów zmienił się w wyniku konwergencji, a w części padł w wyniku implozji gospodarczej.

Jednak na tym epoka ideologii się nie skończyła. Redukcjonizm marksistowski zaczęto wykorzystywać do budowy społeczeństwa w oparciu o seksualność albo wręcz zacieranie jakichkolwiek różnic pomiędzy ludźmi. Naturalną troskę o przyrodę zastąpiono ideologicznym podporządkowaniem człowieka „naturze", którą oczywiście definiowali nowi ideolodzy. To doprowadziło do kolejnych kryzysów. Chęć wymieszania kultur otworzyła granice dla społeczności, które postanowiły narzucić swój porządek, a pararegijne podejście do ochrony przyrody osłabiło gospodarki krajów zachodniej cywilizacji i umożliwiło wielu krajom spoza tego kręgu nadzwyczajne wzbogacenie się. Fala kryzysów, która w efekcie dotknęła świat cywilizacji zachodniej, spowodowała społeczny bunt. Rządy nowych ideologii, schowane pod pojęciem liberalnej demokracji, muszą ustępować albo upadają. Tak czy inaczej epoka ideologicznych eksperymentów się kończy. ■

REDUKCJONIZM MARKSISTOWSKI ZACZĘTO WYKORZYSTYWAĆ DO BUDOWY SPOŁECZEŃSTWA W OPARCIU O SEKSUALNOŚĆ ALBO WRĘCZ ZACIERANIE JAKICHKOLWIEK RÓŻNIC POMIĘDZY LUDŹMI.

eprasa.pl c90328c217

plus

polsat box

Światłowód + Telewizja



od **19** zł /mies.

przez rok po rabatach

Od 13. mies. 70 zł/mies. z rabatami,
od 25. mies. 99 zł/mies. z rabatem.
Światłowód S – do 300 Mb/s,
Telewizja Pakiet S – 57 kanałów.

Pobierz ulotkę

Umowa na min. 24 mies.

Dotyczy prezentowanych ofert łączonych dla nowych Klientów na min. 24 mies. **Światłowód Plusa S** z rabatami (e-faktura, smartDOM i specjalny) 19 zł/mies. przez 12 mies., od 13. mies. 40 zł/mies. z rabatami (e-faktura i smartDOM), od 25. mies. 59 zł/mies. z rabatem (e-faktura). Rabaty mies.: e-faktura 10 zł, specjalny 21 zł, smartDOM 9 zł. Szczegóły w Regulaminie „Plus Internet Stacjonarny – oferta łączona" na plus.pl. Na obszarach o podwyższonych kosztach instalacji możliwa jest wyższa opłata abonamentowa. **Telewizja Polsat Box Pakiet S** przez pierwszy rok bez opłat, w drugim roku 30 zł/mies., potem 40 zł/mies. „Bez opłat" nie obejmuje innych pakietów dodatkowych, usług technicznych i opłaty jednorazowej za aktywację dekodera. Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane. Min. prędkości 8 Mb/s dla kanałów HD i 25 Mb/s dla kanałów 4K na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie na polsatbox.pl. **Aby skorzystać z rabatu** smartDOM, należy dotrzymać warunków tego programu i wyrazić zgodę na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtelem Sp. z o.o. Szczegóły w Regulaminie „smartDOM 5 – Telewizja, Internet, Telefon" na polsatbox.pl i plus.pl

eprasa.pl 690328c217